



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 6 (65) 2001

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOSNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH · WROCŁAW



Spis treści

Życzenia świąteczne	1
Jerzy Masior – Stopklatka zimowa – wiersz	1
Danuta Śliwińska – Boże Narodzenie – Święta Miłości	1
Kazimierz Kulas – Wśród nocnej ciszy... Gdy zaświeci pierwsza gwiazdka	3
Jerzy Masior – Historio, krzycz!	4
Czesław Skiba – Kult Nieznanego Żołnierza we Lwowie	6
Czesław Skiba – Stawa Nieznanego Żołnierza – wiersz	9
Wiesław Richter – Lwowska mozaika	9
LWOWSKIE I KRESOWE SYLWETKI	
Anna Jednoróg (opracowanie) – Wojciech hrabia Dzieduszycki	13
Ewa Krzyżanowska (uczenica kl. I E Gimnazjum nr 1 we Wrocławiu) – Obrazy – zwierciadłem duszy	19
Ewa Ziolkowska – Seweryn Goszczyński – wieszcz i żołnierz polski (Przedruk z Biuletynu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa „Przeszłość i pamięć” nr 1/2/2001)	20
Krystyna Angielska – Seweryn Goszczyński. Uroczystości w Winnicy 26-28 października 2001 r.	22
Piotr Stefaniak – Lwowskie ślady brata Alberta	24
Andrzej Michałowski – Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia w Lublinie w dniu 17 listopada 2001 r. pomnika-tablicy upamiętniającej pomordowanych w lipcu 1941 r. Polskich Profesorów Wyższych Uczelni Lwowa (fot. T. Rodziewicz)	26
Stanisław Leszczyński – Franciszek Karpiński powrócił do Hołoskowa	33
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW	
Zbigniew Berling – Kolonia letnia w Sulistrowiczkach k. Sobótki dla dzieci polskich z Ukrainy (4-22 VI 2001 r.) ...	35
Krystyna Karbownik – Sprawozdanie z realizacji warsztatów artystycznych dla dzieci polskich z Ukrainy, organizowanych przez Oddział Wrocławski TMLIKPW (15-22 VI 01)	36
Helena Wiewiórska – Kresowanie na Obczyźnie i w Ojczyźnie	37
Krystyna Pustelnik, Izabela Kopeć – Znów wspomnijmy Orleńca	39
Danuta Śliwińska – Polski Teatr ze Lwowa w Bydgoszczy	41
Zbigniew Umański – Dni Lwowa i Kultury Kresów w Warszawie	42
– Pielgrzymka stanisławowian do Czarnego Lasu. „Jeśli zapomnisz o mnie...”	43
Alfred Janicki – Opowiadania Mamy	44
Władysław Wilgusiewicz – Lwowianie na Politechnice Śląskiej	46
Remigiusz Węgrzynowicz – 55 „Jubileusz Kolumbów” Lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej	49
Klementyna Dominas – Miliccy harcerze w akcji	52
Janina z Mikuszków-Hrycekowa – Wspomnienia z „podróży” w jedną stronę	52
Marek Rogalski – Obiekty sakralne na Kresach – Felsztyn	54
Kościół w Kulikowie	56
Errata do Nr. 5 (64) 2001 r.	56
Lista Ofiarodawców za m-ce X-XI 2001 r.	56
Zbiórka opieniężna (kwesta) na odbudowę Cmentarza Łczakowskiego w dniach 31 X – 4 XI 01	57
Poszukiwania	57

Pismo finansowane przez Senat RP (nr 5, 6 i 6a)

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.



*Świąt dobrych, spokojnych
i przepięknych nadzieją, która
niech zakoleduje w naszych
sercach w Dniu Narodzenia
i spełni się w 2002 roku!*

Jerzy Masior

Stopklatka zimowa

*Jedno mgnienie pamięci – stopklatka zimowa.
Na kartce świątecznej życzenia ze Lwowa.*

*I wszystko świątecznie i chcesz by się stało
tam, wtedy, już wszystko, bo tak już bywało.*

*Że tamtą porą roku, w tamtą Noc, Godzinę
znaleźli swoją Stajnię i swoją Przyczynę.*

*Lecz tego nie przeculi, tego nie wiedzieli,
że już przy nich STAMTĄD nie staną anieli.*

Boże Narodzenie, 2001

Danuta Śliwińska

Boże Narodzenie – Święta Miłości

Święta Bożego Narodzenia są ze wszystkich świąt najbardziej lubianymi przez polskie rodziny. Obchodzimy je zawsze bardzo uroczysto, staramy się podtrzymać tradycje i wpajać je młodym pokoleniom, chcemy aby obraz świąt, który wynieśliśmy z okresu szczęśliwego dzieciństwa, pozostał im na całe życie, a we wspomnieniach dom rodzinny był pełen ciepła, wrażliwości, miłości, dom w którym wszyscy czują się potrzebni i kochani.

Niezwykle pieczołowicie pielęgnują stare tradycje nasi Rodacy za wschodnią granicą. Tam święta mają inny wymiar, są może skromniejsze, ale wspaniałe zimowy pejzaż mocno wpleciony w naszą tradycję bożonarodzeniową czyni je bardziej uroklivymi. Na dworze mróz i śnieg, na granatowym niebie roziskrzona gwiazdka, skrzyjący śnieg pod nogami idących na Pasterkę. Każdego roku w czasie świąt myśli nasze lecą do dawnego okresu lwowskiego, wracają wspomnienia, dawne marzenia, które często przez okrutny los nie zostały spełnione.

Aby Boże Narodzenie miało ten wyjątkowy charakter nadajemy odpowiednią oprawę, odświętnie dekorujemy stół, całe mieszkanie, pięknie przyozdabiamy drzewko. Święta nasze, polskie cudownie pachną świeżym drzewkiem, grzybami, kapustą, pieczonym ciastem. Jak co roku wypatrujemy pierwszej gwiazdki na szafirowym niebie – nadchodzi wówczas ten najpiękniejszy moment – wilia – magiczny wieczór, czas przebaczenia, czas

dobrych życzeń. Zaczynamy łamać się *opłatkami*, co jest tradycją wyłącznie polską. *Opłatek* w naszych domach traktowany jest z wielkim nabożeństwem i szacunkiem. Symbol chleba, którym należy dzielić się z innymi, zwłaszcza głodnymi.

Czasami nam smutno, że nie wszystkie nasze życzenia skierowane do najbliższych i do Rodaków we Lwowie oraz na Kresach się spełniły, że nie wszystkie i nasze marzenia się ziściły – ale zawsze mamy nadzieję, że może teraz, może w Nowym Roku dopisze wszystkim szczęście, wierzymy mocno w czarodziejską moc życzliwości osób nam najbliższych.

Przy wigilijnym stole

*Przy wigilijnym stole,
łamiąc opłatek święty,
Pomnijcie, że dzień ten radosny
W miłości jest poczęty.*

*Że jako mówi wam wszystkim
Dawne, odwieczne orędzie,
Z pierwszą na niebie gwiazdą
Bóg w naszym domu zasiędzie.*

*Sercem Go przyjąć gorącym,
Nie ścieżką otworzyć wrota –
Oto co czynić wam każe
Miłość – największa cnota.*

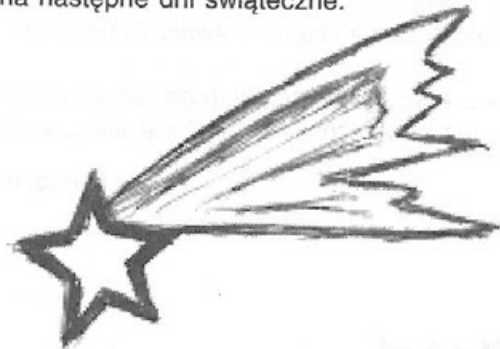
Jan Kasprówicz

W tym szczególnym dniu nie zapominajmy o tych, którzy potrzebują naszego wsparcia. Podzielmy się z nimi ciepłem naszych rodzinnych domów.

Dzielenie się opłatkiem, zapach drzewka, migoczące płomyki świec, przystrojone mieszkanie, prezenty, zapach wigilijnych potraw, śpiewanie kolęd, celebrowanie świąt – stwarza niepowtarzalny nastrój i jedyny w swoim rodzaju klimat. Klimat i atmosferę, w której zobaczymy najbliższych jakby w innym świetle, okażmy im dużo życzliwości i ciepła, to sprawi, że wszyscy poczują się wspaniale i bezpiecznie, bardziej sobie bliscy, a kłopoty dnia codziennego staną się dużo prostsze do rozwiązania.

Przy przygotowaniu świąt wykorzystujemy tradycyjne potrawy wigilijne i świąteczne przekazywane przez nasze matki i babki. Włożmy w nie wiele serca i miłości, żeby bliscy długo wspominali ich niepowtarzalny smak.

Te grudniowe bożonarodzeniowe dni spędzamy jak za czasów dzieciństwa w rodzinnych domach ze wszystkimi bliskimi w imię miłości do naszych pradziadków, dziadków, rodziców, dzieci i nas samych. W poprzednich latach przekazałam wiele przepisów na dania podawane w czasie wili, tym razem będą to również dania i na następne dni świąteczne.



1. Śledzie na przystawkę

Składniki: 4 filety, jedna cebula, 1/2 szklanki oliwy, szklanka mleka, 5 ziaren pieprzu tureckiego, 5 ziaren jałowca, 1 goździk, 3 ziarna ziela angielskiego.

Przygotowanie: filety moczymy w wodzie, następnie pokrojone już w dzwonka zalewamy na 2 godziny słodkim mlekiem. Potem oplukujemy i obsuszone wkładamy do słoika, przekładamy pokrojoną w plasterki cebulę i zalewamy oliwą z przyprawami. Pozostawiamy w zalewie 2 dni w lodówce. Potem możemy przyrządzić na 3 sposoby:

a) dzwonka wyjmujemy z zalewy, układamy na półmisku, posypujemy świeżą drobno pokrojoną małą, słodką cebulą. Dekorujemy plasterkami cytryny, pokrojoną papryką i natką pietruszki,

b) dzwonka wyjęte z zalewy posypujemy curry, posiekany, zielonym szczypiorkiem (1 łyżka) i kropimy oliwą,

c) na dzwonka wyjęte z zalewy układamy suszone śliwki bez pestek i polewamy (jedna łyżeczka na dzwonko) sosem wykonanym w różnych proporcjach ze śmietany, chrzanu, majonezu i startego na tarce łagodnego, żółtego sera.

2. Prawdziwki w szynce panierowane – przystawka do obiadu świątecznego

Składniki: 20 czapeczek prawdziwków, 20 małych, cienutkich plasterków łagodnego sera żółtego (np. królewskiego), 20 plasterków wędzonej szynki, łyżka maki,

2 jajka, szklanka bułki tartej, sól, biały pieprz i cząber do smaku, tłuszcz do smażenia.

Przygotowanie: prawdziwki-czapeczki moczymy, a później gotujemy w osolonej wodzie prawie do miękkości. Po ugotowaniu posypujemy lekko białym pieprzem oraz cząbrem, na każdy dajemy mały plasterek żółtego sera, całość zawijamy w plasterki wędzonej szynki, posypujemy mąką, obtaczamy w rozmąconych jajkach i w bułce tartej, smażymy na tłuszczu z obu stron.

3. Pstrąg w cieście koperkowym lub szczypiorkowym

Składniki: 2 pstrągi, jajko, 4 łyżki maki, 1 żółtko, 2 łyżki gęstej śmietany, 1,5 łyżki drobno posiekanego koperku, sól, biały pieprz, tymianek, cytryna, tłuszcz do smażenia.

Przygotowanie: pstrągi po oczyszczeniu posypujemy solą, pieprzem, tymiankiem, kropimy sokiem z cytryny, maczamy w cieście z maki, jajka i żółtka, śmietany, koperku, szczypty soli i smażymy na tłuszczu z obu stron. Zamiast koperku możemy do ciasta dodać 1,5 łyżki drobno posiekanego szczypiorku.

4. Rolada ze schabu z nadzieniem

Składniki: 1 kg schabu, 30 dkg pieczarek, 15 dkg wątróbki drobiowej, cebula, łyżka bułki tartej, łyżeczka posiekanego koperku, 2 łyżeczki startego żółtego sera, szklanka białego wina, sól, biały pieprz, curry i cząber do smaku, tłuszcz do smażenia.

Przygotowanie: mięso rozbijamy na prostokątny płat, posypujemy przyprawami (solą, pieprzem, curry i cząbrem) i wkładamy do lodówki na 3 godziny. Pieczarki obieramy, kroimy w wąskie paseczki i dusimy w niewielkiej ilości tłuszczu razem z drobno pokrojoną cebulą, przy samym końcu smażenia dodajemy posiekaną wątróbkę, koperek, bułkę tartą, ser żółty, doprowadzamy do smaku i rozkładamy na mięsie. Zwijamy w rulon, owijamy grubą nitką, nakładamy na natłuszczonym żaroodpornym naczyniu, polewamy tłuszczem i co jakiś czas winem, a potem wytworzonym sosem. Po upieczeniu, zdjęciu nitek kroimy w poprzeczne kawałki, układamy na półmisku, polewamy doprawionym sosem (grzybowym). Podajemy z krokietami z ziemniaków, surówką z kapusty pekińskiej.

5. Nadziewane piersi indycze

Składniki: 2 piersi indycze, 20 dkg wątróbki drobiowej, jedno jabłko, cebula, łyżeczka posiekanego koperku, łyżeczka bułki tartej, sól, pieprz, curry do smaku, tłuszcz do smażenia. Na sos: szklanka śmietanki, 2 łyżki startego, łagodnego sera żółtego, łyżka startych na tarce orzechów włoskich, sól, pieprz, estragon.

Przygotowanie: w oczyszczonych i oplukanych piersiach robimy dość duże otwory, solimy, pieprzymy, posypujemy curry i nadziewamy. Nadzienie: do posiekanej surowej wątróbki dodajemy cebulę drobno pokrojoną i przysmażoną, jedno małe jabłko starte na tarce o dużych otworach, koperek, bułkę tartą, sól i pieprz do smaku. Nadziane piersi obsmażamy na tłuszczu ze wszystkich stron, a następnie zapiekamy w natłuszczonym, żaroodpornym naczyniu. Przy końcu pieczenia polewamy sosem ze śmietanki, sera, orzechów, doprawionym solą, pieprzem i estragonem. Podajemy z duszonymi ziemniakami, marchewką z groszkiem i surówką z sera, jabłka i orzechów.

6. Tort kawowo-orzechowy z masą czekoladową

Składniki: na ciasto: 8 jaj, szklanka cukru pudru, 50 ziaren drobno zmielonej kawy, 20 dkg zmielonych orzechów włoskich, 2 łyżki startych na tarce biszkoptów, skórka starta z jednej cytryny.

Na masę: 3 jajka, 4 łyżki cukru pudru, kostka masła, kieliszek rumu, sok z 1/2 cytryny, tabliczka gorzkiej czekolady, słoiczek wiśni osączonych z konfitury.

Do nasączania: poncz z 4-ch łyżek herbaty, 4 łyżek soku pomarańczowego i kieliszka rumu.

Do przybrania: 2 dkg migdałów bez łupin oraz połówki orzechów włoskich.

Przygotowanie: 8 jaj ubijamy w całości na parze ze szklanką cukru pudru, ubijamy dalej po zdjęciu garnka znad pary aż masa wystygnie, dodajemy wówczas kawę, orzechy, biszkopty i skórkę z cytryny. Wszystko lekko mieszamy i pieczemy 2 placki w 2-ch wysmarowanych masłem tortownicach. Po przestygnięciu smarujemy następującą masą: 3 jajka ubijamy na parze z cukrem, po ostygnięciu wprowadzamy do utartego w makutrze masła z rumem i sokiem z cytryny (stopniowo wlewamy przy ciągłym ucieraniu), dodajemy startą na tarce tabliczkę gorzkiej czekolady. Po dokładnym wymieszaniu obydwie części tortu nasączamy ponczem, w środek między 2 części do masy dodajemy wiśnie z konfitury. Smarujemy tort na zewnątrz: boki i wierzch, który przybieramy orzechami włoskimi i migdałami.

Uwaga: pstrąg w cieście szczypiorkowym, rolada schabowa nadziewana oraz nadziewane piersi indycze obecnie podawane są z ogromnym powodzeniem w Restauracji Lwowskiej w Bydgoszczy.



A tak o przygotowaniach do świąt w Jego rodzinnym domu pisał w lwowskim bałaku Witold Szolginia:

Gdy nadchodzi Świenta...

*Siedzmy sy w chawirzy, du budy ni chodzmy,
Bu zimowy ferii zaczęli si wczoraj.
Ni mogim puwiedzić, ży si tera nudzym,
Ni puzwala na tu przydświunteczna pora.*

*W kuchni si udbywa ugromny piczeni
Na stół wigilijny różnych fajnych rzeczy:
Na gutowych buchtach skórka si rumnieni,
A wielgi makownik w bratrurzy si pieczy.*

*Mamcia na stulnicy ciastu znów walkuji,
A ja – jajka z cukrym furt krencym w makutrzy;
Słodki miszaniny cichcym pudlizujim,
Zichir jij zabrakni, nim si całkim utrzy...*

*Woń gwałdzików z mniodym wszychwładni panuji,
Nu bu piernik fajny Mamcia piec tyż bedzi;
I wanilii zapach tagży słodki czujim,
A zy słoja pachniu smakuwici śledzi.*

*Co w ocyt wsadzony z cybulku i pieprzym,
Bedu du sfrygania w pości przydświuntecznym;
Dziś nizakunieczny – jutru bedu lepszy,
Już tera mam na nich uchoty syrdieczny...*

*W szafliku dwa karpy w wodzi pudskakuju,
Rzucam troszku bułki – nie chcu frygać wcali;
Ży my ich sfrygamy – pewni już tu czuju,
Co stani si wtedy, kiedy już zapalim*

*Świczki na mym drzewku cudni przystrujonym,
Chtóry na ty chwili w kurytarzu czeka.
Du jegu pachnionych gałonzek zilonych
Wciongli z ciepłyj kuchni ukradkim uciekam...*

*W tym zilonym drzewku, w piniowym mniodzi
Przydźwignę czaru siła je zaklenta:
W ubłoku ich woni Wigilia nadchodzi,
A za niu – cudowny, najśliczniejszy Świenta...*

Kazimierz Kulas

Wśród nocnej ciszy... Gdy zaświeci pierwsza gwiazdka

Podstawowa prawda – tajemnica betlejemskiej nocy: Chrystus narodził się z Maryi, żeby narodzić się w nas – w Tobie i w Tobie, i we mnie. Przez narodzenie Jezusa Chrystusa Bóg wszedł w historię rodziny ludzkiej. Dzięki Jego człowieczeństwu dokonał się awans człowieka. Chrystus mówi: ty jesteś mój i wtedy człowiek może powiedzieć do Niego tak samo: ja jestem również Twój. Zrodziła się więc nowa szczególna więź między człowiekiem a Bogiem. Innymi słowy: Bóg dał nam moc byśmy dzięki narodzeniu się Jezusa stali się Jego dziećmi.

*„Podnieś rękę Boże dziecię
Błogosław Ojczyznę miłą
W dobrych radach, dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę swą siłą.*

*Dom nasz i majątność całą
I wszystkie wioski z miastami
A Słowo ciałem się stało
i mieszkało między nami...”*

Szczególnie zapamiętałem dzień wigilijny Bożego Narodzenia 1945 roku, zapowiadał się dość pogodnie na Ziemi Lubuskiej w mojej wsi Kotowice, Parafii Sztabówka (obecnie Drągowina). Było mroźno, ale nie padał śnieg. Moja mama krzątała się po kuchni, już wszystkie potrawy wigilijno-świąteczne przygotowane. Ojciec dokarmił zwierzęta; mieliśmy krowę, dwie kozy, pięć kur przywiezione transportem z Kresów: Dżwinogrodu k. Buczacza. Ja z siostrą Anastazją stroiliśmy choinkę: obrazkami, orzechami, jabłkami, ciastkami, cukierkami, które trudno było kupić. We wsi nie było światła elektrycznego, sklepu, szkoły, komunikacji. Wieś liczyła kilka rodzin, było wolnych 50 gospodarstw rolnych. Mieszkająca wówczas rodzina miała po krowie, kozie, owce, kury.

Gdy zaświeciła pierwsza gwiazdka na niebie, wyszliśmy zobaczyć na nasze podwórko. Stół wigilijny był już gotowy: sianko pod obrusem, na białym stole królował

opłatek. Były potrawy: kutia, czyli potrawa z pszenicy, orzechy włoskie, barszcz z grzybami, gołąbki z kaszy jaglanej, placki, kompot. Był też chleb z własnego wypieku, pierogi z makiem. Ojciec przyniósł snop owsa i ustawił w kącie izby. Matka popatrzyła za okno i zapłakała. Zaprosiliśmy sąsiadów. Było też wolne miejsce pozostawione dla „przybysza”... Uklękliśmy razem, ażeby odmówić wspólnie pacierz. Zgasilem lampę naftową, ojciec zapalił gromnicę, którą przywieźliśmy z Bucza, naszej dawnej parafii. Łamaliśmy się oplatkiem, składaliśmy życzenia świąteczne.

Kolęda rozświetliła nastrój tego jedynego w roku wieczoru. Wieczoru pojedynania, nadziei i miłości. Kawalek oplatka to kawalek serca ofiarowanego najbliższemu. Oplówek podzielony, miłość przesłania... W tym symbolicznym geście jesteśmy dla siebie jednością. Poszliśmy na pasterkę...

Pamiętanie, ale jakie Jerzy Masior Historio, krzycz!

*„... Bo pierwsze ma być pierwsze,
A tym jest pojęcie prawdy”*

Czesław Miłosz – „Traktat teologiczny”

Nasze młodzieńcze marzenia nie spełniły się. Marzenia pokolenia wojennego do lat 20. nazywanego po dziś dzień – jak pamiętacie – pokoleniem Kolumbów. Wydaje mi się, że nie wszyscyśmy na to miano zasłużyli, ale niech już tak pozostanie. Uogólnienie, w miarę upływu czasu, ma kotwiczącą moc. To co było potem, to już tylko plecionka przymusu, okoliczności i wielkiego udawania, że żyje się tak, jak się chce lub też jest się kimś, kim być by się chciało. Takie miotanie się zwierzęcia zamkniętego w klatce z tą tylko różnicą, że nasza „zakluczona” świadomość funkcjonująca po latach dojrzewania upływała z roku na rok z coraz to mniejszą wrażliwością na otaczającą rzeczywistość. Samoobrona naszych marzeń i egzystencji przed brutalnym przymusem zanikała nieuchronnie, bo też i wpuszczono nas w kanały podstępne, nierzadko polukrowane, zniewolenia.

Kiedyś, kiedyś, w wiejskich dworach, przepięknie posadowionych w krajobrazie, dziś powszechnie nazywanym „otoczeniem” – rozwieszano w oknach muślinowe firanki. Pokoleniu, które nie wie co to muślin wyjaśniam, że jest to taka delikatna, zwiewna, fruwająca pod ładą powiewem materia, której cechą była jej przejrzystość w obie strony, choć to, co za i przed oknem było dość mgliste. Za oknami najbliższy pejzaż, najczęściej parkowo-stawowo-klombowy jak i ten dalszy, „bez-kresny” majaczył jakby we mgle. Trudno było orzec czy w nieprzejrzystości za muślinowymi firankami odbywa swój taniec chochoł, czy tylko wiatr gnie konary – mającą czern splecioną z zielenią płynącą w zaokiennej przestrzeni.

Widoczność w odwrotnym kierunku, od strony kwietnych rabat i zaglądających w okna małw ku dworowym wnętrzom, do salonu z kominkiem i dziewczęciem przy klawikordzie, ograniczona była do wychwytywania dźwięków. Powiewy wiatru uchylały okienne zasłony i wtedy widok wyłaniał się rzeczywisty, ale to były prze-

Boże Narodzenie, obchodzone każdego roku, jest świętem dającym nam wiarę i radość – Dzieciątka Bożego Jezusa w Stajence Betlejemskiej w każdym kościele parafialnym czy filialnym.

Przy wigilijnym stole znikają smutki i troski – wszyscy wierzymy po prostu, że będzie lepiej, z głęboką nadzieją dzielimy się oplatkiem. Przy wigilijnym stole nastrój świąteczny, świeży zapach choinki. Płyną słowa smutnej kolędy „Lulajże Jezuniu”. Jesteśmy razem.

Tamte święta Bożego Narodzenia utkwily mi w pamięci, pierwsze w wyzwolonej Ojczyźnie, na pięknej Ziemi Lubuskiej, znów do Macierzy wróciła, jak moja chata, matka, brat, siostra, bliska, piękna i bogata – Ziemia Lubuska.

Tamte święta Bożego Narodzenia utkwily mi w pamięci mając 12 lat.

Szczęście Boże.

bliski chwil, moment łaskawości zefirów, by zaspokoić ciekawość światów za- i przedokienego. Czy ja wiem czego jeszcze.

Skąd te muśliny, ta nieprzejrzystość w moim rozważaniu? Przecież nie danym mi było buszować w przestrzeni (krajobrazie) w czasie „dworkowym”. Mam też świadomość, że takowy istniał i ta nieprzejrzystość też. Ile jej jeszcze zaistnieje? Ile jeszcze nieprzewidywalnego stanie się oczywiste i racjonalne? I będzie tak, jakbym poznawał zaokienny świat do końca dopowiedziany i dokładnie poznany.

Marzą tylko ludzie wolni – zniewoleni pragną. Marzenia błędą w czasie. Pragnienia zazwyczaj są bliższe – na jutro, na pojutrze. I są jeszcze refleksje, że DZIŚ nie spełnia się, a jutro i tak nic się nie urzeczywistni. Z marzeń pozostaje pustka, zle dni opuszczenia nawet w myślach. Wówczas to zapatrzenie w przestrzeń z tej i tamtej strony zasłony staje się bezprzedmiotowe, zbyteczne, a nawet groźne. Tu i tam niczego nie ma. Niczego co wypełniałoby życie i sprawiałoby, że żyć się chce.

Do dziś żadne ze słów nie jest w stanie oddać uczuć przepełniających nas, gdyśmy opuszczali Lwów. Byliśmy na tyle dorośli, że zdawaliśmy sobie sprawę, iż nadszedł czas nieodwracalny, czas końca. Niektórzy wierzyli w powroty, albo chcieli wierzyć. Nauczani latami 2 sowieckich i niemieckiej okupacji, ocierając się nieustannie o hajdamacką nienawiść i zbrodniczą determinację „hałyczan”, zdawaliśmy sobie boleśnie sprawę, że w wagonach uwożących nas na zachód, za San i Bug, zabieramy STĄD, w stukocie kół, zwęglone okrucieństwa i niespełnioną do końca młodość. Do chwili tej ostatniej podróży z odebraniem paszportem marzenia towarzyszyły nam nieustannie w naszych lwowskich domach, w gimnazjum, w drużynie harcerskiej. Było ich tyle ile spadających gwiazd na sierpniowym, lwowskim niebie. Być może, że na szczęście czas okupacji zaciągał przed naszą przyszłością kurtynę erozji, mimo woli profilaktyczną, mając na uwadze ex post wszystko to, co nas w nadchodzącym czasie spotkało. To dzięki niej zderzenie z pojałtańską, polską rzeczywistością umożliwiło w miarę prawidłowe jej odczytanie.

Nieprzejrzystość z obu stron historycznej i politycznej zasłony zgęstniała. W wypadku nas, lwowian, chęć wiedzy tego co za nią stała się prakseologicznie nie-

możliwa, choć podgląd chcielibyśmy mieć tylko w jednym kierunku: wolności, kontynuacji marzeń, ich realizacji. Przez lata zniewolenia, a właściwie mimo nich, ustawiano nas, młodzież, w szeregu niepodległościowo-patriotycznym. Duch Lwowa, kresowej stolicy polskości, był nieustannie w jego murach obecny. Nie tak dawno przecież umilkły strzały lat 1918, 1920 i 1939. Erupcja polskiego patriotyzmu, która przydarzyła się w tamtych latach na Kresach nie była pożywką dla internacjonalizmu w kominternowskim wydaniu. Ten kresowy patriotyzm był koniecznością, bo był także orężem, z którym TAM się zasypiało i budziło. W czasie, gdy nasze Miasto stroiło się w pióropusze stolicy Zachodniej Ukrainy, myślenie i działanie w tym duchu było surowo „zapieszczone”, bo kontrrewolucyjne, bo wrogie molochowi ZSRR i jego wszechogarniającej nas wtedy (z apetytem na świat) indoktrynowanej per fas et nefas ideologii.

I oto rozproszono nas w pojałtańskich granicach, zagęszczając tu i tam nasze enklawy. Trzeba było żyć. Żyć po nowemu. Żyć przyciśniętym głazem zniewolenia także i tu, w rzekomo wolnej już ojczyźnie. Żyć nadal w kagańcu słów i czynów, zresztą dobrze już poznanym TAM i nie tak dawno. A jeszcze tliła się nadzieja, że wszystko się dobrze skończy. W rytm tej nadziei biły nasze AK-owskie serca na Łyczakowie, Zamarstynowie, Lewandówce, w leśnych oddziałach 14 pułku jałowieckiego w winnickich lasach. Wydawało nam się, że kresem powojennej szczęśliwości będzie wolność jeszcze lepsza i na zawsze. Nigdy nie przydarzy się Wrześień, bo przecież jesteśmy o tak wiele mądrzejsi i doświadczeni. Chcieliśmy stanąć na rusztowaniach młodości, bo ona jeszcze nas nie opuszczała. Była w ustawicznym poszukiwaniu gniazd.

Moje pokolenie ma te szanse i jakby... zadośćuczynienie, że na tamte lata Wielkiego Końca Marzeń może spoglądać z perspektywy przeszło półwiekowej. To sporo czasu. To bardzo uprawdopodobnia ocenę. Zastanawiam się więc jakie jest dziś nasze uczucie dla Lwowa i jaka wiedza o nim. Czy jest to wiedza otwarta, do końca pełna i jasna, czy też hermetyczna, poprzestawiana na różne, nieraz pokrętne, sposoby na szachownicy dziejów i mimo upływu przydługiego czasu – naszego czasu, który jest nam jeszcze dawany, czy ta nasza wiedza – pamięć o Lwowie – nie przystanęła pod nieprzejrzystym oknem historii, przed wspomnianymi na początku muślinowymi firankami.

Zastanowmy się czy wiemy wszystko o biegu tej historii i jej sprawczych przyczynach. Upływa 65 lat od Teheranu, Jałty i ustanowienia kordonów granicznych powojennej Europy. Jeszcze któryś tam raz przesunięto wschodnie rubieże Rzeczypospolitej na zachód. Warto uprzytomnić sobie ileż to razy przemieściliśmy się, albo robiono to za nas, od podmoskiewskich roległych nizin po Bug i San. Zostawialiśmy nasączone polskością Grodno, Lwów, Stanisławów, Wilno po tamtej, wschodniej stronie. Czy wiemy dokładnie, dlaczego tak się stało? Czy tylko przemoc była jedyną przyczyną? A klęska czerwonego imperium u wrót Warszawy w 1920 roku niczego nas nie uczy? Dlaczego w historii Europy najczęściej wypadało dzielić nasz kraj? Od Polski Jagiellonów do Polski Piłsudskiego. Duże to uproszczenie, ale nam Kresowianom trzeba nad nim przystanąć,

zadumać się. I odpowiedzieć jak i na ile byliśmy moiżni mieć wpływ na bieg historii. Dlaczego w Teheranie, Jalcie i Poczdamie nie mogliśmy stanowić o losie ojczyzny, a więc o jej granicach i powojennych granicach Europy? Dlaczego wykrawanie się polskiego żołnierza na wszystkich frontach Afryki i Europy nie miało tej ceny, co losy żołnierzy sowieckich na froncie wschodnim. Nikt w powojennych gabinetach rządzących Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych na to nie odpowiedział. Czyżby cena krwi była zróżnicowana? Czyżby do dziś musiało to stanowić tajemnicę stanu, tak, jak jest nią nadal śmierć generała Sikorskiego w brytyjskim samolocie w falach Atlantyku, kilkaset metrów od pasa startowego Gibraltaru? Tajemne sejfy stolic europejskich, tych na zachodzie i tej wschodniej, pokryły po dzień dzień utajnione warstwy pożogi II wojny światowej. W nich to zaległy również decyzje o stanowieniu naszej granicy wschodniej. Dlaczego pakt Ribbentrop-Mołotow nie akceptowany przez społeczność nie tylko polską, ale i aliancką w pierwszym roku wojny stał się tematem niewygodnym dla tych u boku których żołnierz polski walczył. Czy tylko za własną wolność? Jak bumerang powraca banalna odpowiedź znana z „docieklivosti” niektórych historyków: niejednakowa politycznie cena krwi. Ale to z pewnością nie jest cała i jedyna prawda. Młode polskie pokolenia tej prawdy już nie dociekają. Dla ich życia i przyszłości, w którą głównie są zaopatrzone, nie jest to potrzebne. Oni się bez niej w Europie urządzają. Ale my! Żyjące pokolenie stamtąd. Dlaczego koniec wojny przyniósł tyle sprzeniewierzeń i to wobec narodu, który równał krok do zwycięzców, a doznał niezmierzonej klęski. Dlaczego pierwszy prezydent III Rzeczypospolitej – Lech Wałęsa zaakceptował pakt Ribbentrop-Mołotow, gdy polska racja stanu przenigdy tego haniebnego paktu, nawet z historycznej perspektywy, zaakceptować nie powinna. My, lwowianie, żołnierze III Obszaru AK i innych kresowych obszarów powinniśmy poznać prawdę do końca. Całą prawdę. Bo wtedy poznalibyśmy cenę, którą przyszło nam dramatycznie zapłacić. Czy nie płacimy jej do dziś?

Historio krzycz! Powiedz ile jest prawdy w zapisywanych przez powojenne lata i osaczających nas stronicach. A może to tylko jej okrucieństwa. Może to tylko „prawdy” podane nam do wierzenia, powodujące z tej odległości, do jakiej żeśmy dotarli, niewiarę i bunt. I jeszcze rozgoryczenie – wielkie, ogromne rozgoryczenie zaprawione bezsilnością. Nie mamy złudzeń: utracone wartości, uwarunkowane miejscem i czasem, nie powtórzą się. Zaiste, hamletowski to dylemat! A przecież przez wiele powojennych lat mieliśmy nadzieję uczepleni myśli, że ona nie zawsze przekracza progi życia. Życia także naszego.

Każdemu pokoleniu może przydarzyć się przejście przez czas cierpienia. Zwłaszcza pokoleniom Polaków nie bywają one oszczędzone. Tylko nasza młodość była wyspą szczęśliwości, była naszym niebem. A później...? To pytanie egzystencjalne. Ale czyż pod niebem lwowskim nie było ono do nas adresowane? Nie mogliśmy nigdy i nadal nie możemy odpowiadać pełnym głosem. A tak chciałoby się przeglądać indeksy naszych wnuków z Uniwersytetu Jana Kazimierza, Lwowskiej Politechniki, Dublan, z AHZ.

Nowy Sącz, 22 XI 2001

Czesław Skiba

Kult Nieznanego Żołnierza we Lwowie

Dzień 11 listopada 1918 roku to koniec pierwszej wojny światowej. Przyniósł on Polsce niepodległość, ale nie oznaczał początku czasu pokoju. Jeszcze przez trzy lata rozstrzygały się granice odrodzonej Polski: Powstania Śląskie i Wielkopolskie oraz walki na wschodnich rubieżach kraju. Przyniosły one dalsze tysiące poległych za Ojczyznę.

Potrzebę złożenia poległym najwyższego hołdu społeczeństwo polskie odczuwało od zarania odrodzenia się Ojczyzny. Ale – jak wiemy – uroczyste złożenie prochów Nieznanego Żołnierza w grobowcu pod kolumnadą pałacu Saskiego w Warszawie odbyło się dopiero 2 listopada 1925 roku, czyli siedem lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Przyczyną tej zwłoki były walki o utrwalenie granic na wschodnich i zachodnich rubieżach Polski, wyniszczona przez zaborców i I wojnę światową gospodarka narodowa, ale także ciągnące się przez kilka lat bezowocne dyskusje nad formą i miejscem dla pomnika, mającego uczcić żołnierzy polskich poległych za Ojczyznę. Ta ostatnia przyczyna wywoływała w społeczeństwie niezadowolenie, wprost oburzenie. Szczytowym jego przejawem było anonimowe, pod osłoną nocy, złożenie 2 grudnia 1924 roku u stóp pomnika ks. Józefa Poniatowskiego na placu Saskim w Warszawie kamiennej płyty z wyrytym napisem: „Nieznanemu Żołnierzowi poległemu za Ojczyznę”. Liczne delegacje przyozdobiły ją wieńcami i wiązkami kwiatów. W niedługim czasie zapłonął przy niej znicz. Później, przez bez mała rok, pełniła funkcję oczekiwanego, urządzanego Grobu Nieznanego Żołnierza. Wydarzenie to, będące swoistym protestem społeczeństwa wobec oficjalnych czynników, spowodowało zdecydowane włączenie się do sprawy gen. Władysława Sikorskiego, ówczesnego ministra spraw wojskowych. Na jego wniosek rząd postanowił, że pomnikiem ku czci poległych będzie Grób Nieznanego Żołnierza, urządzone pod kolumnadą pałacu Saskiego. Kierownictwo nad pracami powierzone zostało – spośród 15 wytypowanych – jako miejsce, z którego mają być wzięte prochy poległego żołnierza polskiego, by złożyć je w mauzoleum w Warszawie. Niewątpliwie, to wyróżnienie Lwowa w znacznej mierze przyczyniło się do rozpowszechnienia się kultu Nieznanego Żołnierza na Kresach Wschodnich.

Anonimowy początkowo ofiarodawca płyty ku czci Nieznanego Żołnierza na placu Saskim zapewne nie przypuszczał, że stanie się ona przykładem, wzorem dla kilkunastu miast w Polsce. Ponad dwadzieścia z tych miast leżało na Kresach Wschodnich międzywojennej Polski.

Niespełna pół roku po złożeniu płyty ku czci Nieznanego Żołnierza pod pomnikiem ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie, płyta w tej samej intencji, jako pierwsza na Kresach i jedna z pierwszych w Polsce, spoczęła u stóp pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie. Można przyjąć, że tak jak Warszawa zapoczątkowała składanie płyt ku czci Nieznanego Żołnierza w całej Polsce, tak Lwów zainspirował miasta leżące na Kresach.

W nocy poprzedzającej święto narodowe 3 Maja 1925 roku, u stóp pomnika Mickiewicza na placu Mariackim, spoczęła kamienna płyta z wyrytymi słowami: NIEZNANEMU ŻOŁNIERZOWI.

W płycie znajdowała się skrytka, w której była garść ziemi z poboju pod Zadwórzem, gdzie w sierpniu 1920 roku oddział złożony głównie z młodzieży lwowskiej w bohaterskich walkach z konnicą Budionnego poniósł ogromne straty w ludziach. Nad skrytką wyryty był w płycie napis: „Ziemia z pola bitwy z Zadwórzem”. Płytę zdobił wyryty Krzyż Obrony Lwowa. Fundatorem płyty była młodzież akademicka Lwowa, co niewątpliwie miało związek z oddaniem czci ziemi z pola bitwy pod Zadwórzem, gdzie pięć lat wcześniej młodzież polska



Fot. 1. Płyta ku czci Nieznanego Żołnierza pod pomnikiem Mickiewicza, 3. 05. 1925 r.

uświęciła ją przelaną krwią. Płytę Nieznanego Żołnierza – i zapewne jej fundatorów – widzimy na Fot. 1. Władysław Dunin-Wąsowicz w albumie „Polska poległym swoim obrońcom” podaje, że fundatorem płyty był Włodzimierz Dzieduszycki, a wykonawcą rzeźbiarz Kurczyński. Fundatorzy składając płytę przekazali ją specjalnym pismem pod opiekę Związkowi Oficerów Rezerwy. Płyta Nieznanego Żołnierza u stóp pomnika Mickiewicza była miejscem składania hołdu poległym żołnierzom polskim aż do końca października 1925 roku, tzn. do czasu uroczystego pogrzebu prochów Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Wybór miejsca nie był przypadkowy; plac Mariacki stanowi centrum Lwowa. Nie bez znaczenia była też tradycja wykorzystywania tego miejsca do publicznych

manifestacji, a wysoka schodkowa podstawa pomnika służyła w takich przypadkach jako trybuna dla mówców.

Ale związek Lwowa z kultem Nieznanego Żołnierza przejawiał się już wcześniej. Relację jednej z uroczystości ku czci Nieznanego Żołnierza zamieścił „Żołnierz Polski” nr 27 (306) z dnia 2. 07. 1922 roku. Pod nagłówkiem „Święto Nieznanego Żołnierza” tygodnik donosił: „W Zamarstynowie pod Lwowem odbyło się święto Nieznanego Żołnierza, obrońcy Lwowa, urządzone z inicjatywy Towarzystwa Szkoły Ludowej. Na uroczystość złożyli się: nabożeństwo, na którym kazanie wygłosił ks. Górniśiewicz, pochód na mogilę żołnierską z orkiestrą wojskową i defilada.”. O innym wydarzeniu dotyczącym kultu Nieznanego Żołnierza dowiadujemy się ze „Światowida” z dnia 13. 09. 1924 roku, który donosił o złożeniu przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego wieńca na mogile Nieznanego Żołnierza na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. W mogile tej spoczywa pięciu nieznanymi obrońcami Lwowa z Persenkówki. Ten fragment cmentarza Łyczakowskiego stał się później cmentarzem Obrońców Lwowa. Wówczas mogiła ta usytuowana była przed drewnianą kaplicą cmentarną. Po wybudowaniu kaplicy Orłąt, na miejscu pierwotnej, drewnianej kaplicy wzniesiony został pomnik Chwały. Na tejże mogile, nazywanej do dziś Grobem Nieznanego Żołnierza i darzonej szczególnymi honorami, 28 lutego 1926 roku, przybyli do Lwowa gen. Władysław Sikorski w celu objęcia stanowiska dowódcy Okręgu Korpusu VI, uroczystie złożył wieniec.

Najbardziej podniosłe uroczystości Nieznanego Żołnierza we Lwowie odbyły się w dniach 29-31 października i 1 listopada 1925 roku, w związku z ekshumacją i przewiezieniem prochów poległego, Bezimiennego Obrońcy Lwowa do Warszawy. Dość szczegółowo opisała je Wanda Mazanowska (patrz np. *Semper Fidelis*, listopad 2000 r.). Tu uzupełnię jej relację wydarzeniami mającymi związek z płytą Nieznanego Żołnierza.

Po uroczystym nabożeństwie i egzekwiiach odprawionych 31 października o godzinie 9 w bazylice, gen. Juliusz Malczewski złożył u stóp sakrofagu z trumną Nieznanego Żołnierza – w imieniu armii polskiej – wieniec w brzoju wykonany przez prof. A. Dróżyńskiego. Na wieńcu widniał napis: „Towarzyszowi Broni – Wojsko 31. X. 1925”. Nastąpił teraz ceremoniał przewiezienia zwłok Nieznanego Żołnierza do specjalnie na tę okoliczność udekorowanej sali recepcyjnej na Dworcu Głównym. Udekorowana godłem państwowym i herbem Lwowa oraz Krzyżem Virtuti Militari, zaprzężona w osiem karych koni laweta z prochami Bezimiennego Bohatera podążała ku placowi Mariackiemu. Tu, przed pomnikiem Mickiewicza, u stóp którego spoczywała płyta ku czci Nieznanego Żołnierza, powóz z relikwią narodową zatrzymał się, stanęły w milczeniu tysiące uczestników konduktu. Ze stopni pomnika – tradycyjnego miejsca manifestacji patriotycznych – przemówił dowódca Okręgu Korpusu VI gen. Malczewski:

„Nieznanego Żołnierzu! Nie wiemy czy wyszedłeś z chaty, warsztatu, biura czy pałacu; nie wiemy, jak w pocie czoła, w znoju i trudzie wyrastałeś, męźniałeś i gotowałeś się na żołnierza Rzeczypospolitej; lecz w kornym hołdzie chyłimy dziś wszyscy czoła nasze, pełni czci dla bohaterstwa, pochylamy sławą okryte chorągwie i sztandary nasze przed Tobą Nieznany Żołnierzu, który uosabiasz znane dobrze Narodowi

całemu i wrogom naszym – bohaterstwo Żołnierza Polskiego!

Ochodzisz do stolicy Państwa Polskiego, by stać się tam żywym zniczem i promieniować na całe Państwo cnotami żołnierskimi, jako przykład dla przyszłych pokoleń, aby krzepły i mocy nabywały, by móc:

*Pod wicher sztandary wzniesić,
W broń przekuć milion dusz,
Miłością spręgnąć tłum,
A w serce wchłonąć moc –
Rycerskich polskich dum!
Z Narodu chwały – czynić żywota swego treść!”.*

Po tych słowach przemawiali jeszcze z tego miejsca: wojewoda Paweł Garapich i prezydent Lwowa Józef Neumann. W gorących słowach pożegnali Nieznanego Obrońcę Lwowa, złożyli mu najwyższy hołd i cześć. Odszpiewanie Roty zakończyło tę manifestację. Kondukt ruszył przez udekorowane ulice miasta do Dworca Głównego.

Pozostając jeszcze przy sprawie płyty Nieznanego Żołnierza zauważmy, że – nie tylko we Lwowie – ten spontaniczny wyraz hołdu poległym żołnierzom wprawiał władze miasta dość często w zakłopotanie, stwarzał sytuację niełatwą do rozwiązania. Oddawanie hołdu poległym za Ojczyznę było czynem ze wszech miar chwalebnym, ale jego tymczasowa forma stawiała władze w trudnej sytuacji, wymagającej w krótkim czasie dokonania właściwego, zgodnego z intencją fundatorów, wyboru odpowiedniego miejsca i urządzenia stosownej oprawy dla płyty Nieznanego Żołnierza. Tak więc, już 10 maja odbyło się pod przewodnictwem wojewody P. Garapicha zebranie komitetu obywatelskiego z udziałem przedstawicieli wojska, wyższych uczelni, władz miasta i społeczeństwa. Oprócz sprawy ekshumacji i przewiezienia prochów Nieznanego Żołnierza do Warszawy, omawiano kwestię miejsca i oprawy dla płyty Nieznanego Żołnierza. Pierwotnie, po wylosowaniu poboju lwowskiego, przewidywano, że jedna trumna ze szczątkami bezimiennie poległego żołnierza będzie ekshumowana na Cmentarzu Obrońców Lwowa, jedna na polu bitwy pod Bartatowem i jedna na polu bitwy pod Zadwórzem – jako, że bitewne pola należały do tzw. poboju lwowskiego. Spośród tych trzech trumien, jedna – losowo wybrana – miała być przewieziona do Warszawy, a pozostałe dwie miały być pogrzebane we Lwowie. Ustalono, że właśnie na tej mogile zostanie złożona płyta Nieznanego Żołnierza spod pomnika Mickiewicza, a miejscem dla niej miał być Kopiec Unii Lubelskiej. Jednak wkrótce od ekshumacji na trzech cmentarzach odstąpiono i postanowiono wszystkie trzy trumny ekshumować na cmentarzu Obrońców Lwowa. Zatem pod koniec maja odbyło się kolejne zebranie w tej sprawie. Stwierdzono wówczas, że płyta Nieznanego Żołnierza nie jest kamieniem grobowym, a ma charakter pomnika, więc nie powinna być na cmentarzu. Uznano, że najodpowiedniejszym miejscem dla niej będzie Ogród Kościuszki naprzeciw Uniwersytetu. Postanowiono przeniesienie jej połączyć z obchodem na cześć Bolesława Chrobrego oraz przyjazdem Sokolstwa polskiego z Ameryki. Miało to się odbyć 22 czerwca 1925 roku. Uroczystości się odbyły, ale płyta nie została przeniesiona. Trzy miesiące później Towarzystwo Straży Mogił Polskich Bohaterów zaproponowało przeniesienie płyty Nieznanego Żołnierza na Cmentarz Obrońców Lwowa i zło-

żyć ją wśród projektowanej kolumnady Pomnika Chwały. Do realizacji tego projektu też nie doszło. Pozostaje zatem przyjąć informację W. Dunin-Wąsowicza o umieszczeniu płyty na opustoszałej mogile po Nieznanym Żołnierzu. Chyba jednak leżała ona tu niedługo, bo jeżeli tak było, to wkrótce zastąpiona została przez trwałą płytę z piaskowca. Niestety, nieznane są dalsze losy tego spontanicznego i szlachetnego wyrazu hołdu poległym za wolną Polskę.

Najsilniejszy i najtrwalszy związek Lwowa z kultem Nieznanego Żołnierza objawia się poprzez Cmentarz Obrońców Lwowa, z którego przeniesione zostały do stolicy prochy Nieznanego Obrońcy Lwowa, jako relikwia narodowa, jako symbol ofiarności i męstwa żołnierza polskiego.

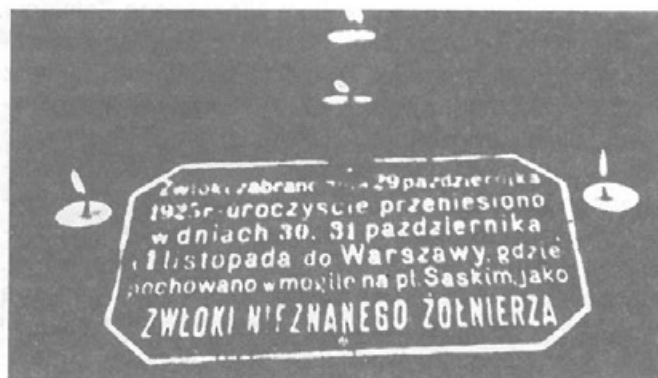
Mówiąc o Cmentarzu Obrońców Lwowa nie można pominąć jego tragicznych losów, jakie dotknęły go po 1945 roku. Najwyżej czczony w okresie międzywojennym cmentarz w Polsce uległ niemal całkowitej dewastacji. Wiele czynników do tego się przyczyniło. Czynnikiem obiektywnym był czas i niemożność nielicznych Polaków mieszkających we Lwowie zapewnienia niezbędnej konserwacji. Jednak najgorszym było świadome niszczenie cmentarza przez miejscowe czynniki, za wiedzą władz miasta. Cmentarz został zbezczeszczone, sprofanowany i zdewastowany. Dwa miejsca tego cmentarza są szczególnie związane z kultem Nieznanego Żołnierza: opustoszała mogiła po ekshumowanym Nieznanym Obrońcy Lwowa i mogiła Pięciu Nieznanym z Persenkówki. Oba te uświęcone miejsca okrutnie zostały zniszczone.

Wspomniany W. Dunin-Wąsowicz podaje, że po ogólnonarodowych uroczystościach Nieznanego Żołnierza w 1925 roku, płyta ku czci Nieznanego Żołnierza przeniesiona została spod pomnika Mickiewicza na pustą mogilę po Nieznanym Obrońcy Lwowa. Nie natrafiłem na żadne zdjęcie potwierdzające ten fakt. Natomiast są zdjęcia ukazujące leżącą na mogile wśród wieńców krzyż z tabliczką informującą o wzięciu z tej mogiły

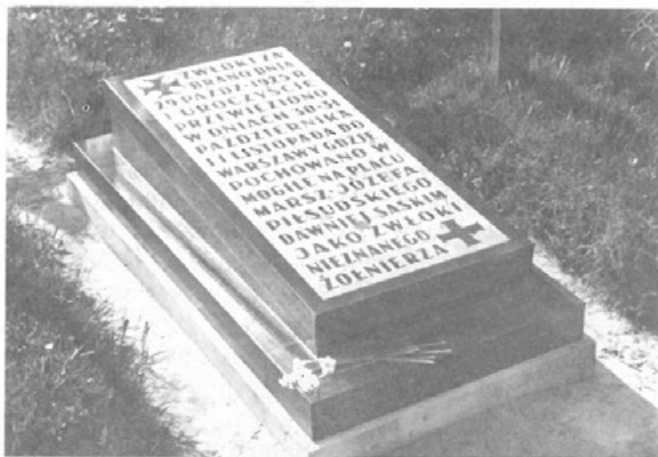


Fot. 2. Tabliczka na opustoszałej mogile Nieznanego Żołnierza, 29. 10. 1925 r.

prochów Nieznanego Żołnierza. Tabliczkę tę widzimy na Fot. 2. Na Fot. 3 pokazana jest pierwsza, już trwała płyta nagrobna, wykonana z piaskowca. Tekst na niej jest identyczny z figurującym na tabliczce prowizorycznej. W 1937 roku, w ramach renowacji Cmentarza Obrońców Lwowa, płytę z nietrwałego piaskowca zastąpiono nową płytą granitową projektu Kazimierza Sokalskiego, Fot. 4. W związku ze zmianą 11 listopada 1928 roku nazwy placu Saskiego na plac marszałka Józefa Piłsudskiego odpowiednio został zmieniony i napis na

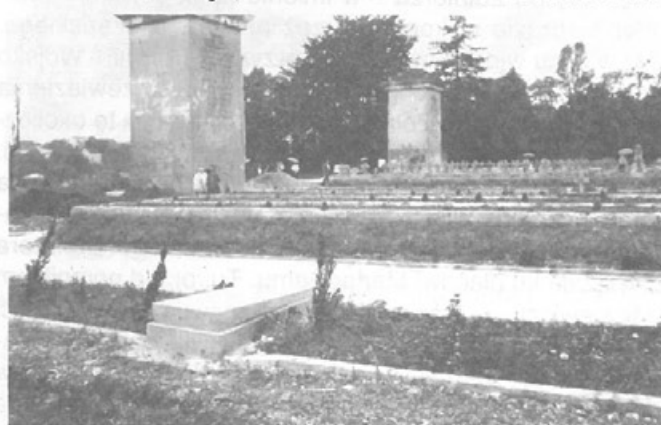


Fot. 3. Płyta na miejscu skąd ekshumowano Nieznanego Żołnierza (Cm. Obr. Lwowa) i przeniesiono do Warszawy (stan do 1937 r.)



Fot. 4. Płyta grobowa z granitu, leżąca na mogile od 1937 roku

nowej płyty nagrobnej. Ta płyta zaginęła. Odwiedzając w 1991 roku Cmentarz Obrońców Lwowa zastałem na tym miejscu prowizoryczną, betonową obudowę pustej mogiły po Nieznanym Żołnierzu, wykonaną przez pracowników „Energopolu”. Nie miała ona wówczas żad-



Fot. 5. Tymczasowa płyta grobowa na mogile, czerwiec 1991 r.

nych napisów, ale wyglądem wyróżniała się spośród najbliższego otoczenia, Fot. 5.

Równie tragiczny los spotkał mogilę Pięciu Nieznanym z Persenkówki. Płyta nagrobna z tej mogiły, wykonana z czerwonego granitu według projektu Stanisława Koniecznego, leży teraz na grobie miejscowego lekarza wojskowego, znajdującym się na lewo, tuż za głównym



Fot. 6. Płyta grobowa Pięciu Nieznanym z Persenkówki, teraz na grobie lekarza, czerwiec 1991 r.

wejściem na cmentarz Łyczakowski. Na zdjęciu, które wówczas zrobiłem, widać otwory na bocznej ścianie po wydartych brązowych literach napisu: „MOGIŁA ZBIOROWA”, Fot. 6. Najważniejszą rzeczą dotyczącą Cmentarza Obrońców Lwowa jest oficjalne uznanie go przez władze Lwowa jako cmentarz. Pozwoliło to na prowadzenie prac porządkowych i jego odbudowę. Lecz nadal pozostaje – mimo wielu rozmów i uzgodnień władz polskich z władzami Ukrainy – nie rozstrzygnięta kwestia napisów, głównie na płycie grobu Pięciu Nieznanym z Persenkówki. Należy mieć nadzieję, że wkrótce ta sporna kwestia zostanie zakończona.

Jak wspominałem, Lwów był pierwszym miastem na Kresach, które ufundowało płytę ku czci Nieznanego Żołnierza. Niedługo później płyty w tej intencji miały: Borysław, Brody, Dobromil, Drohobycz, Czortków, Dub-

Wiesław Richter Lwowska mozaika

„Pamięci moich Dziadków, Rodziców,
Rodzeństwa i Krewnych”



Wiesław Richter
(autor wspomnień).
Lwów, luty 1945 r.

I – Cisza dzieciństwa

Zamykam oczy i widzę znowu jasną, rozległą krainę barw i zapachów. Pod wolno sunącymi obłokami nad Roztoczem i Podolem wiatry niosły rozgrzaną woń tarniny, dzikiej róży, malin, macierzanki i czeremchy. Splątane zarośla jeżyn broniły dostępu do naszych kryjówek na wzgórzach okalających dom na Zniesieniu. Tam, zanurzony w pachnącą, chłodną zieleni, przeżywałem z rówieśnikami niezwykle przygody pośród bajkowego dla nas otoczenia. Obraz mojego lwowskiego dzieciństwa jawi się niekiedy jak wielobarwna mozaika tworzona przez lata życia ze szkiełek zdarzeń – jedyna i niepowtarzalna. Tak prawdziwa, że nie potrzeba jej upiększeń i tym piękna, że z perspektywy czasu widać jej bogactwo. Jak dawna impresja malarska, miejscami niekompletna, rozbita, porysowana i poblada, gdzieś tam tylko

świecąca jeszcze intensywnym, czarodziejskim światłem...

no, Kołomyja, Korzec, Łuck, Pińsk, Równe, Sambor, Stanisławów, Śniatyn, Tarnopol, Wilno, Włodzimierz, Złoczów, Żółkiew. W szczególny sposób uczcili pamięć Nieznanego Żołnierza Baranowicze. Otóż, w lipcu 1925 roku – kilka miesięcy przed uroczystością w Warszawie – z losowo wybranego cmentarza, gdzie pochowani byli bezimiennie polegli polscy żołnierze, ekshumowano szczątki jednego z nich i złożono w krypcie specjalnie wzniesionej w centrum miasta pomnika. Był on jednym z czterech istniejących w Polsce przed wojną – w dosłownym znaczeniu – Grobów Nieznanego Żołnierza. □

Czesław Skiba

Sława Nieznanego Żołnierza

Ojczyźnie z trudu pokoleń wyrosłej,
Skarbnicy dziejów stuleci,
Geniusze myśli i piękno wzniosłe –
Tyś jej swe życie poświęcił.

Oni słowem,

Oni pieśnią

Mają rozgłos imieniu nadany.

Tyś sławny,

Tyś wielki,

Bo Twe imię – NIEZNANY.

Oni, bywalcy wielkich salonów –
Imię ich muza wyniosła.

Tyś także na ustach milionów –
Sława Twa z męstwa wyrosła.

6. VI. 1990 r.

świecąca jeszcze intensywnym, czarodziejskim światłem...

Zasłyszana po latach piosenka kresowa, efemeryczna, zbyt krótka, audycja radiowa lub telewizyjna o Lwowie, odszukane pamiątkowe fotografie, listy i widokówki – to wszystko staje się wtedy brakującymi szkiełkami kompozycji, z trudem odtwarzającymi miniony bepowrotnie czas – jego klimat i treść. Te odległe wspomnienia iluminowane są blaskiem jej ocalałych odprysków – resztę rozrzucił, osłabił lub zniszczył płomień wojny, pęd szalonych, pełnych gwałtownych zdarzeń dni. Ale nie dość wspomnień i powrotów, nie dość serdecznej pamięci, nie dość obrony przed zapomnieniem „Polskiej Troi” – Miasta Wiernego Zawsze Rzeczypospolitej, o którego polskość walczyło w listopadzie 1918 r. heroiczne pokolenie młodocianych obrońców. Miasta „Siedmiu Wzgórz Podolskich” – jak opiewali je polscy poeci natchnieni jego rozległymi widokami. Jego wieczne i sprawdzalne piękno będzie trwać w pamięci tych, którzy jeszcze żyją, a w strofach wierszy – tych, co kochali to Miasto i odeszli.

Szkiełka zapamiętane – to przeżyte chwile, zaznaczone dziecięcymi wrażeniami, gdzie był pierwszy dom pośród pachnących sadów i ścieżka tam prowadząca, zabawy z rówieśnikami na Zniesieniu, pierwsze utrwalone obrazy Tamtego Świata. W pamięci odmieniam alfabet ulic i domów, parków i kościołów, wzgórz i ogrodów, stawów i strumieni – miejsc zakreślonych trwałym kręgiem mojego poznania i wzrastania, życia Rodziców i Rodzeństwa, Krewnych i Znajomych. Tych wszystkich



Rodzice i rodzeństwo – Lwów, luty 1945 r.
Od prawej: Ojciec Bolesław, Mama Wanda,
Wiesław (autor), Siostry: Hala i Krzysia

miejs, które zapalają się niekiedy w chwilach wyciszenia, zadumy i nostalgii blaskiem czarownym od gorącego wciąż serca, które czuje i wie, że pozostał po nich tylko popiół, czysta szczerza pamięć i miłość...

Odmieniam Halicką, Boimów i kościół OO. Bernardynów, przywołuję Rynek i Teatyrską, Legionów i Chorążczyzny, Zniesienie i Św. Jakuba, Ogród Jezuitski, Snopkowską, Klonowicza i tyle innych niezapomnianych



Dziadek autora: Marian Richter – Kraków 1877 r.
(przemysłowiec – górnik
naft. n/t Galicji)

miejs, przesiąkniętych polskością! Wydobywam z tej czasowej otchłani: nie jedno „słowo-czar”, które przetrwało dla każdego wyrzeźbionego przez czas wzgórze, owianego egzaltacją młodości Rodziców i legendą przeżyć, prawdą i siłą historycznych zdarzeń – dla Kopca Unii Lubelskiej, Czartowskiej Skąły czy Kaizerwaldu; „słowo-baśń” dla Łysej Góry, Palicówki, wzgórze „Za Saniem”, Pohulanki; „słowo-heroiczne” dla Góry Stracenia i Persenkówki; dla Łyczakowa i in.; „słowo-zaklęcie” dla wzgórze okalających Stare

Zniesienie, dla Lonszanówki, Lewandówki – dla tych miejsc, które są, niczym źródła najczystszych wspomnień, dziecięcych zabaw, szkolnych lat i młodości mojej Matki Wandy, Ojca Bolesława i Rodzeństwa: Romana, Hali i Krzysia.

Stąd i ja zbiegałem, ze zboczy Palicówki ku ulicy Św. Jakuba, gdzie pod numerem 9 stał dom mojej Babci Julii Prokopowicz, otoczony bujnym ogrodem, pełnym



Babka autora: Wilhelmina Richter (z domu Haranth)
z synem Bolesławem (moim Ojcem) – Lwów 1906 r.
Pochowana na Cment. Łyczakowskim we Lwowie.

rubinowego blasku świeżych malin. Wieczory tu, wśród gęstwiny drzew i krzewów rozległego sadu były pełne srebrnego dźwięku i niezwykłego blasku jakiejś rozproszonej poświaty, pełne dalekich woni ziół i dojrzałych jabłek – myślę teraz, że to pachniał spokój i cisza dzieciństwa! Te ukryte słowa przepływają przez świadomość, wybiegają niespodziewanym kształtem, nagłym obrazem dawno niewidzianych miejsc i ludzi, którzy odeszli, widokiem buszującej gromady lwowskich dzieci pośród szmaragdowej zieleni. „Słowa-czary” – dla bodjaków, badyli, tarniny i chabazi porastających debry, jary i ostępy tej drogiej sercu Krainy. Przesiane przez pamięć pozostały znikome drobiny słów i iskry pamięci o pierwszym naszym mieszkaniu na Nowym Zniesieniu, przy ulicy... Nowozniesieńskiej nr 42 (w nowym domu zbudowanym przez p. Mańkiewicza). A wokół krajobraz wzgórz, pól rozległych i sadów za tzw. „sztreką”, biegnącą wykopem na Starym Zniesieniu.

Nad wzgórzami – skąpany w złotym słońcu przestwór szerokiego błękitu Krainy Roztocza.

II – Lwów w ogniu

To cudowne niebo zostało nagle przekreślone i wypełnione złowrogim, huczaco-dudniącym hałasem nadciągających niemieckich bombowców. Posypały się śmiercionośne pociski i odłamki, prysła w sekundzie kolorowa mozaika tworzona przez spokojne dni dzieciństwa. W poszukiwaniu zagubionych „szkiełek” pomagała niegdyś, za życia, Mama Wanda wydobywając z głębi czasu słowa, płacz, a niekiedy upór prawie 3-letniego „szkraba”, który buntował się przeciw zamknięciu w piwnicy, pomimo upalnej wrześnieowej pogody. Trwały naloty na Lwów, pierwsze nagle bombardowania 1939 roku, a ja wyrwałem się na spacer po Wysokim Zamku oraz w odwiedziny do milej Babci aż na Zniesienie! Wśród



Krewny Babki autora:
baron gen. Krzysztof Haranth
z Polżic. Przywódca powstania
narodowego Czechów przeciw
Habsburgom w XVII w.
(wg oryg. sztychu)

na Nowym Zniesieniu – bombardowania, które zaskoczyły nas na piętrze w drodze z mieszkania do piwnicy. Widok z okna wstrząsający i niespotykany w swej grozie: atak na pobliską stację kolejową Podzamcze oraz wycie i wybuchy bomb na cmentarzu Starego Zniesienia (zbombardowanego niejako z rozpędu i niedokładności), dudnienie ciężkich samolotów, fontanny ziemi i ognia, zburzone groby i wylatujące w górę trumny... a niżej, na tle płomieni – czarne sylwetki uciekających w przerażeniu i popłochu ludzi. Koszmarny teatr cieni z rozsypującym się szkłem, harmonijnego niegdyś mozaikowego krajobrazu! A wcześniej – oświetlony przez lotnictwo teren – kolorowe, świetlne, nieruchome flary, na kształt lampionów – zrzucone na spadochronach na sąsiednie wzgórze Starego Zniesienia, dla odszukania wybranych celów. Wrażenia zbyt silne aby je całkiem zniszczył czas, a wśród nich głośna modlitwa Mamy: „Pod Twoją Obronę!” W czasie naglej ucieczki zdążyła mnie owinąć tylko w kapę, zerwaną pośpiesznie z łóżka i skryć się na klatce schodowej. Tutaj modląc się i gładząc mnie



Wujek – Marian Lasocki
– Lwów 1904 r. (kupiec
i restaurator lwowski)

mieszkańców domu „U Mańkiewicza”, którzy schronili się przed nalotami w piwnicy – uparcie szukałem... młotka, aby... „wbić gwóźdź w tyłek wstrętnemu Hitlerowi”, za to, że nie mogłem pójść na upragniony spacer. Ten drobny, tragikomiczny przerwany był często przez Rodzinę po latach z ciepłym uśmiechem powtarzany, jako świadectwo dziecięcej wyobraźni wobec niepojętej wojny. Zamykam oczy i widzę, jakby przez czarowną optykę oddalenia, siebie jako dziecko, w objęciach Matki, podczas straszego nocnego nalotu

nych zdarzeń? Oglądane i zapamiętane fragmenty wojennej mozaiki i rozbite pociągi, zburzone domy, mosty, zbombardowane linie kolejowe, odłamki pocisków wydobywane z ciał rannych przynoszonych do domu na Zniesieniu, alarmy nocne, ucieczki z mieszkań przed nalotami, falujące ściany wstrząsane podmuchami wybuchów bomb – zmieszane z płaczem dzieci i głosem modlących się w nikłych płominkach świec...

III – Dom przy Halickiej

Oto jedno ze szkiełek nagle zajaśniało i przybliżyło chwilę, kiedy to nastawał zimowy wieczór, a na lwowskim Rynku kamienne lwy „pilnujące” wejścia do ratusza drzemały pod śniegiem, usypiane szmerem czterech pobliskich fontann. Z okien naszego narożnego mieszkania przy ulicy Halickiej nr 1, na 2-gim piętrze majaczyła w odbitej od śniegu poświacie, w gotycką tajemniczość zaklęta, Katedra Łacińska, akcentując zarysem niepowtarzalnej wieży obecność w krajobrazie prastarego centrum. Wtedy to mój Ojciec Bolesław, ulegając niekiedy tajemniczemu nastrojowi, śpiewał, wtórując sobie na ustnej harmonijce – znaną wtedy piosenkę „Valse Brune”, podobno hymn miejscowej cyganerii, autorstwa Henryka Zbierzchowskiego, słynnego lwowskiego poety. Do dzisiaj zapamiętałem jej refren i urzekającą melodię:

„Gdy ciemność zapada
I światła latarni zapłoną,
Do naszych serc się zakrada
Jakaś tajemna moc.
Hej serce nam bije,
W winie niech troski zatoną!
Szerzej i piękniej się żyje –
Cudna, ach cudna jest noc...”

Te okupacyjne wieczory nie sprzyjały zabawie, ale często piosenka podtrzymywała na duchu w chwilach zwątpienia. Uświadamiam sobie niekiedy ten dreszcz przedziwnej atmosfery, ale i klimat rodzinnego ciepła, radosnego uniesienia, zmieszany z odgłosami miasta, a wśród nich – tramwaju jadącego ulicą Kilińskiego, dobiegającymi przez oszronione okna mieszkania. Szkiełko ciemniejsze i gaśnie bezgłośnie, a z nim bezpowrotnie dawna piosenka. Magiczne światło gazowych latarni na ulicach okalających Rynek rozpoczynało wtedy wieczorny spektakl, kładło odbłaski na fasadach zabytkowych kamienic, na posągach Diany, Amfitrydy, Neptuna i Adonisa – zdobiących narożne studnie, ukazywało drogę przechodniom, rozświetlało mroki odwiecznych bram, tworzyło srebrzystą kompozycję wieczoru w kamiennej, plastycznej oprawie.

Mozaika znów się ożywia, gdy pada nań światło lamp naftowych, które czasami przygotowywała, w pamiętnym mieszkaniu na Halickiej, nasza nieoceniona i troskliwa Mama, stwarzając przedziwne światłocienie i ciepły koloryt wieczoru. Fragmenty innych odprysków pamięci, a wśród nich misterium przygotowań: ostry zapach nafty, czyszczenie „szkiełka”, przycinanie knota, regulacja płomienia, nakładanie „umbry” – a wszystko wieńczył spektakl światło-cieni... A w tym klimacie – długie wieczorne opowiadania, rozmowy, wspomnienia – czasem miłe sielsko-anielskie, niekiedy diabelskie, straszne, fantastyczne lub z malowniczej i bogatej w zdarzenia rodzinnej przeszłości. Był to również czas na oglądanie i czytanie, z przejęciem i radością, kolorowych, pachnących świeżym drukiem, książeczek-bajek,



Reprezentacyjna kawiarnia „Renesans” we Lwowie przy ul. 3 Maja. Założona przez M. Lasockiego w okresie międzywojennym

opowiastek, przygód – kupowanych przez Ojca w księgarniach przy ulicy Batorego. Wśród nich przez potok czasu przepływają tytuły: „O Elfach”, „O diable Borucie”, „O sierotce Marysi...”, „O Robinsonie Crusoe”, wreszcie pamiętne „Serce” Amicisa. Rozbudzane i rozwijane od dzieciństwa przez Rodziców zamięłowanie do książek i nakreślonego w nich „opisania świata” zabrałem ze sobą w drogę, na resztę „przypógd z życiem”. W świetle tych lamp naftowych powstawał przecież i ożywał zaklęty świat dziecięcej wyobraźni, składany miesiącami i latami w oryginalną kompozycję. W tych światło-cieniach widziałem niekiedy ożywiony wzrok Rodzeństwa, a często zmartwione twarze Rodziców z wyrazem troski, trudów życia i grożących niebezpieczeństw w okupowanym Lwowie.

IV – Impresje rodzinne

Naturalne pragnienie przypomnienia życia, które odeszło, pochylenia się nad nim w momentach tragicznych sprawia, że przywołuję dzieciństwo mocno przeżywane, rozbite, naznaczone na zawsze piętnem wojny, okupacji i Sybiru. Lata często „głodne i chłodne”, trudne, ale niepowtarzalne, przeniknięte urokiem tego kochanego Miasta i wyniesionymi pierwszymi naukami. Tam też jego historię i dzieje Rodzin poznawałem z relacji Rodziców i Krewnych, podbudowanych wieloma, często unikalnymi, pamiątkami rodzinnymi oraz wycieczkami po Mieście i okolicach. Oto do dziś zachowany zbiór, jako barwny kalejdoskop, widokówek XIX-to i XX wiecznych z wizerunkami świata, który odszedł wraz z ludźmi tych czasów, krajów i miast – Galicji, Odrodzonej Polski, Lwowa i regionów z nim związanych. Wśród nich odnajduję unikalne fotografie piwnic winnych, salonów restauracyjnych przy Placu Mariackim nr 9, sklepu „delikatesowego” oraz słynnej we Lwowie kawiarni „Renaissance” przy ulicy 3-go Maja i Kościuszki. Obiekty te, tzw. wtedy „realności”, należały do mojego Wujka – Mariana Lasockiego¹⁾, były przez niego założone i zarządzane w okresie międzywojennym, przyczyniając się do wzrostu znaczenia Zawsze Wiernego Miasta. Słynęły z bogatego wystroju, znakomitej kuchni, artystycznych muzycznych programów – pulsowały bogatym życiem towarzyskim. Fakty te dotarły do mojej wyobraźni poprzez wspomnienia Krewnych oraz m. in. ciekawą relację zawartą w unikalnej gawędzie Józefa Wittlina pt. „Mój Lwów”.

Rys rodzinnej historii warto uzupełnić wzmianką o działalności mojego Dziadka Mariana Richtera²⁾, znanego w Galicji przemysłowca – górnika naftowego. Pozostając w spółce z kanadyjskim naftciarzem Mac Garvayem, przemierzali całe zagłębie tzw. „drohobycko-borysławskie” w poszukiwaniu wydajnych złóż. Działali od Gorlic, Jasła, Krosna, Glinika Mariampolskiego do Borysławia, a dalej zapędzali się nawet na Węgry. Oto z kart albumu rodzinnego i starych map pn. „Mapa Galicji i Bukowiny z Wielkim Księstwem Krakowskim” oraz „C. K. austr. koleje państwowe w Galicji” z r. 1910 wyłania się mozaika węgierskich miast z obszaru ówczesnej monarchii C. K., znaczonej podrózkami i pracą Dziadka oraz jego kolegów – trasa wiedzie m. in. przez Zborów, Szaroszer, Kapuszwary, Mohacz, Saczał, Lewocz, Munkacz. Wprawdzie w tej wędrówce nie znalazł bardzo wielkiej ropy, ale wybrankę serca i towarzyszkę swego życia – urodziwą, pełną temperamentu Węgierkę Wilhelminę Haranth³⁾ (spadkobierczynię nazwiska i tradycji słynnego XVI-wiecznego Rodu) czyli moją Babkę (matkę mojego Ojca Bolesława). Zdobyte środki pozwoliły nabyć okazały niegdyś i malowniczy majątek w Polsce, w miejscowości Falkowa (k/Bobowej) w woj. krakowskim dokąd sprowadził poślubioną Węgierkę. Z posiadłości tych pozostał podobno staw i drzewa sadzone ręką Dziadka. Natomiast Dziadek ze strony Matki – Józef Prokopowicz⁴⁾ patriotyzm swój wykazał oddając trzech synów do Legionów, a sam, będąc odpowiedzialny za ruch stacji Lwów-Podzamcze, kierował w r. 1918 wieloma transportami wojsk polskich przybyłych z odsieczą do zajętego zdradziecko przez Ukraińców Miasta. Fragmenty rodzinnej historii i 700-letniej historii Lwowa pozwalają zrozumieć wierną pamięć i przywiązanie do zabranej ojczystej ziemi przodków, którzy wiedzieli i czuli, że Polska i Lwów to jedność. Ich kości spoczywają na Cmentarzach: Łyczakowskim i Janowskim, a ich trud kształtował przez wieki oblicze Tej Ziemi.

V – Pod niebem Zniesienia

Im ciemniejsze tło malowała wojenna rzeczywistość tym jaśniejszym blaskiem świeciły nieliczne szkiełka chłopięcej wyobraźni, wzbogacone emocjami pierwszych przeżyć. Choćby takich jak trochę batiarskie wyprawy do tatarskich, polskich czy ukraińskich sadów po jedyne w smaku soczyste gruszki i jabłka; brodenie boso w gwałtownie wezbranych strumieniach; budowanie z piasku i błota młynów, tam i zamków w ich nurcie... Te spontaniczne, „wariatuńciewe” pomysły: aby kupiony z polecenia Mamy duży, okrągły „Chlib Kulikowski” – katulać z „makabundą” – koleżką Erykiem po ścieżkach, po kałużach... dla ułatwienia i zabawy! I to słońce po deszczu, rozbite na odłamki świata w potokach i strugach, kryształ powietrza i zapach wilgotnej, parującej ziemi Tamtej Krainy. Srebrne nitki babiego lata chwytają nas w przelocie, jakby chciały zatrzymać na Tej Ziemi na zawsze... A nieraz bywało, że szalony bieg znanymi i krętymi ścieżkami stromych stoków Łysej Góry, Za Sasem czy Lonszanówki, przez zbitą gęstwinę ku nieznanemu przygodzie – hamowały dołem splątane i skręcone zarośla pachnących powojów. To wszystko – zachowane szkiełka w oprawie bujnej zieleni, przetykanej różem tych kwiatów... Tylko wiatr wiejący często od dzikich pól chłodził rozpalone od pędu i emocji policzki i czoła, a świeże powietrze zdawało się rozsadzać plu-

ca! Jak łatwo było wtedy mieć pełne garście zerwanej bujnej trawy, koniczyzny, glogów czy płatków dzikich róż z łąk tej Krainy w rozgrzanym, drgającym powietrzu podolskiego lata, wśród oceanu zapachów! Jak łatwo było...

Gdzie jesteście moi Druhowie chłopięcych wypraw ze Zniesienia, Halickiej, Boimów, Rynku, od OO. Bernardynów – Eryku, Andrzeju, Janku? Odezwijcie się choć raz! Gdzie jesienne dymy ognisk, palonych „chabazi”, smak i zapach kartofli strzelających w płomieniach, harce z przyprowadzaniem bród i wąsów z „kukurydzy”, wrzucaniem za kołnierz „bodziaków” i „ecze-pecze”, gdzie maski z dyni do straszenia w długie wieczory, skoki przez ogniska, gdzie blask złota tych jesieni? Nie policzę już tych wszystkich rozproszonych świetlistych inkrustacji, które zatrzymywały moją wyobraźnię, nie policzę Was wszystkich – przyjaciół, postaci z rodziny, opowiadań lub bajek kształtujących dzieciństwo...



Grobowiec Rodziny Lasockich i Richterów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie (stan obecny)

LWOWSKIE I KRESOWE SYLWETKI

Wojciech hrabia Dzieduszycki



Wojciech hrabia Dzieduszycki urodził się w 1912 roku. Jest publicystą telewizyjnym i muzycznym, śpiewak, z zawodu inżynier mechanik. Od 1945 r. animator życia muzycznego we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku; założyciel kabaretu literackiego „Dymek z papierosa”. Píše recenzje i eseje muzyczne (własna rubryka w miesięczniku „Odra”), audycje radiowe i telewizyjne oraz felietony. W 1988 roku współtworzył Towarzystwo Miłośników Lwowa we Wrocławiu. Jeździł z kabaretem, który tworzył wraz z żoną Haliną, prezentując piosenki lwowskie. Miał przez to spore problemy u ówczesnej władzy, ale – jak sam mówi – nie przerażało go to. Przeżył obóz

„Gdyby tak odnaleźć sprzed lat starą bramę,
Wejść na piętro, zapukać do drzwi...
Widzieć Rynek i Park Jezuitski i Panoramę
I studnię Neptuna, gdzie woda wciąż łśni.

Żeby tak odetchnąć znów lwowskim powietrzem.
I w niepamięć puścić stracony ten czas...
By Halicką zobaczyć raz jeszcze,
I przez Bernardyński móc przejść Plac.”

(Trawest. wg H. Zbierzchowskiego)

Przypisy:

- 1) Marian Dołęga Lasocki – ur. w Sowinie (Matka z rodziny Książąt Sulmiskich). Kupiec lwowski, założyciel i współwł. sklepów kolonialnych i lokali kaw. Właściciel reprezent. restauracji „Renaissance” we Lwowie. Pochowany w r. 1921 w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.
- 2) Marian Ludwik Richter ur. w Gorlicach w 1827 r., zm. 1903 r. Przemysłowiec – górnik naftowy, działał na terenie Galicji i Węgier w Spółce polsko-kanadyjskiej Mac Garvaya. Ożeniony z Węgierką Wilhelminą z d. Haranth. Właściciel dóbr w m. Falkowa (k/Bobrowej w woj. krakowskim).
- 3) Wilhelmina Richter – Węgierka ur. w 1918 r. w Zborów. Pochodzi z wielkiego rodu węgierskiego Haranth. Zm. w 1927 i pochowana na cment. Łyczakowskim we Lwowie w grobowcu Rodziny Lasockich i Richterów. Z w/w rodu wywodzi się Krzysztof Haranth z Polžic – jeden z bohaterów powstania narod. Czechów przeciw Habsburgom, generał i głównodowodzący wojsk, które w bitwie pod Białą Górą w 1621 r. uległy przewadze sił cesarskich. Z rozkazu ces. Ferdynanda II stracony w 25. 02. 1691 r wraz z 26-cioma przywódcami powstania na rynku Starego Miasta w Pradze. Wg źródeł czeskich – K. W. Haranth był wszechstr. uzdolnionym w wojsk., lingwistycie i kompozytorem muzyki sakralnej (vide nagrania „Supraphon” z lat 70) (W/w wydarzenia zostały upamiętnione płytą pamiątkową na rynku Pragi, gdzie stał szafot oraz nakręconym serialem TV w l. 76-77 pn. „Lekarz utraconego czasu”). Postać w/w bohatera zamieszczona w podręcznikach historii Czech.
- 4) Józef Prokopowicz – wieloletni prac. polskich kolei we Lwowie, zawiad. stacji Lwów-Podzamcze i Stare Zniesienie. Zasądzony na śmierć przez samowolny sąd ukraiński, uwolniony przez wojska polskiej odsieczy w listopadzie 1918 r. Pochowany na cment. Janowskim we Lwowie.

koncentracyjny, stąd może ma wiele dystansu do tego, co nas otacza.

Niewielu wie, że był wicedyrektorem młynów dolnośląskich. Założył, nieistniejącą już, szkołę młynarską na wrocławskiej Wyspie Słodowej. Napisał nawet podręcznik dla młynarzy. Ale nie przepadał za tą pracą. Jego żywotnym powołaniem była scena i to, co się wokół niej dzieje. Pomimo swego sędziwego wieku nie opuszcza ważniejszych premier. Jest dla Wrocławia taką postacią, jaką był dla Krakowa Piotr Skrzynecki – uważa wielu.

Wojciech Dzieduszycki jest przewodniczącym Sekcji Krytyków i Publicystów Muzycznych Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków oraz prezesem Wrocławskiego Koła Towarzystwa im. Fryderyka Chopina, które prowadzi liczne koncerty promujące młodych artystów i organizuje Międzynarodowe Forum Młodych Chopinistów we Wrocławiu.

Wojciech hrabia Dzieduszycki otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Przyznał mu go

prezydent Aleksander Kwaśniewski w uznaniu za popularyzację historii i kultury kresowej. Order wręczył hrabiemu wojewoda wrocławski Witold Krochmal. Uroczystość miała miejsce 9 kwietnia 1999 r. o godz. 9 w sali kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego.

Nazywają Pana, Panie hrabio, zdrobniale Tunio. Z czym to się wiąże?

— Odziedziczyłem to zdrobnienie po moim dziadku Wojciechu hr. Dzieduszyckim. Nazywali go Wojtunio, czyli krótko Tunio.

Ile Pan otrzymał orderów i który ceni sobie najbardziej?

— Tak, mam ich dużo. Trzymam je wszystkie w biurku, zamknięte na kluczyk. Ale najbardziej cenię sobie właśnie Order Komandorski Odrodzenia Polski nadany przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Żaden order nie przyniósł mi tyle radości, co ten. Myślałem, że na starość jestem już nic nie wart, ani nikomu niepotrzebny, a tu order. To mnie podbudowało. Wśród odznaczeń mam nawet zagraniczny, czeski order Białego Lwa. Otrzymałem go za zdobycie praskiego więzienia Pankratz w 1945 r. Dzięki niemu mogę bezpłatnie jeździć praskimi tramwajami i autobusami.

Czy może Pan nam coś opowiedzieć o orderze Białego Lwa.

— Byłem w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, potem w Heid Lager, Gross-Rosen (obecnie Rogoźnica), Domierzycach na granicy czeskiej koło Terezina.

Niemcy nas przewozili z Gross-Rosen do Domierzyc. Wyjechało nas 13 tys., 13 kwietnia stanęliśmy naszym transportem pod Dreznem, wtedy kiedy były te słynne dywanowe naloty na Drezno. Niemcy za to na nas się mścili. Zostało nas 1300 osób. 8 maja zostaliśmy zwolnieni z obozu w Domierzycach.

Po wyjściu z obozu w Domierzycach znaleźliśmy się w Terezynie, a był tam obóz żydowski i getto. Tam były takie stosy trupów, że nie można było przejść przez ulicę. Uciekając stamtąd Niemcy wszystkich rozstrzelali. Potem poszliśmy do takiego uzdrowiska gdzie było sanatorium, puste zupełnie. Łóżka zaścienione, więc położyliśmy się spać.

W nocy słyszymy, że zajeżdżają jakieś ciężarowe samochody, myślimy, że znowu Niemcy. A to przyjechali partyzanci czescy. Wprawdzie wojna się już skończyła 8 maja, ale Praga była jeszcze ciągle w rękach niemieckich. Więc oni się pytają, czy my chcemy iść i walczyć w Powstaniu Praskim. Nas tam zebrało się 30 osób, a mnie wybrano na komendanta tej grupy. Dano nam pancernausty i powiedziano, że mamy zdobyć Pankratza. Pankratz to było więzienie takie jak u nas Pawiak. Dojście do tego więzienia było bardzo trudne, ze względu na bardzo wąskie uliczki. Dlatego nam kazali go zdobyć. Po ciężkich bojach udało się. Wypuściliśmy wszystkich więźniów. Było ich tam około 800 politycznych. Na noclegi dano nas do klasztoru żeńskiego Loretto.

Tego wieczoru przyszedł drugi transport więźniów z Sachsenhausen, w którym był Cyrankiewicz, z którym siedziałem w więzieniu w Krakowie na Montelupich. Muszę powiedzieć, że był niezwykle porządnym kolegą i szlachetnym człowiekiem.

Rano o godz. 6.00 budzą nas tacy z opaskami, jacyś delegaci i prowadzą do ratusza. A tam jest ogromna akademia ku czci tych, co zdobyli Pankratza i obcokra-

jowców, którzy brali udział w jego zdobywaniu. No i mnie dali tego Białego Lwa. Okazało się, że jest to ich najwyższe odznaczenie, takie jak u nas Virtuti Militari. Jak teraz jadę do Czech, to jeżdżę za darmo autobusami i tramwajami.

Panie hrabio, proszę nam coś opowiedzieć o swoich rodzicach, dziadkach, przodkach, miejscu gdzie mieszkaliście.

— Ostatnio robiłem film o Lwowie. Dziwne to były przeżycia. Lwów, wydawałoby się, że to moje najbardziej ukochane miasto, tymczasem pusto, nie ma nikogo. Tylko pozostały piękne zabytki lwowskie. Lwów to byli ludzie. A ci ludzie są teraz tu, we Wrocławiu.

Będąc we Lwowie odwiedziłem ludzi i naszą dawną posiadłość w Jezupolu, gdzie się urodziłem i wychowałem. Nasz pałac jest obecnie przerobiony na sanatorium dla dzieci niepełnosprawnych. Pałac ten był dwa razy spalony i dwa razy odbudowany. Komnaty pałacowe były połączone bardzo dziwnie.

Ta moja linia Dzieduszyckich jest pierwszą, która sprowadziła do Polski konie arabskie czystej krwi i je hodowała. Uczynił to Jerzy Dzieduszycki, z rodu Potockich. Był pierwszym koronnym koniuszym króla Władysława IV. Kiedy przestały już być potrzebne te wielkie ciężkie konie do dźwigania husarii, a były potrzebne zwinne koniki przeciwko Tatarom i Turkom, król wysłał swojego koniuszego koronnego na Wschód z 300 kozakami – jak pisze on w swoich pamiętnikach. Sprowadził rzeczywiście po kilku miesiącach sto kilkadziesiąt koni. Połowę dał królowi, a połowę sobie zostawił. Później ta stadnina królewska przechodziła z króla na króla i w końcu trafiła do Sobieskiego. Jakub Sobieski nie miał dzieci i ofiarował to swojej siostrze, która wyszła za Dzieduszyckiego. Z powrotem cała stadnina wróciła do Dzieduszyckich. Była to ta słynna stadnina.

Stajnia ogierów arabskich była połączona z dworem tak, że z salonu wchodziło się prosto do stajni, bo ciągle się pokazywało gościom te konie. Jak moja matka twierdziła, że ojciec tak kochał te konie arabskie, że w stajni arabskiej były znacznie lepsze dywany i lustra, niż w salonach. A teraz to wszystko jest podzielone na małe kłiteczki i dlatego jest mi bardzo smutno.

Dwór był otoczony tarasami z kolumnami. Tarasy zostały zlikwidowane, które moim zdaniem dobrze by służyły, aby dzieci mogły się wylegiwać na leżakach. Był cudowny widok na Bystrycę, ponieważ dwór stał na wzgórzu, tam gdzie Bystrzyca wpadała do Dniestru. Drzewa, które chroniły od wiatru dwór, zostały wycięte, a w miejsce to postawili olbrzymi pomnik z szarego cementu z napisem: „Chwała Radzieckiej Armii”. Żałowałem, że tam pojechałem, bo zepsułem sobie piękne wspomnienia z dzieciństwa, że ten piękny, wspaniały pałac jest teraz takim szarym blokiem.

Dowiedziałem się tam, że pokojówka, Handzia, ulubienica mojej matki, którą matka nauczyła mówić po francusku i jeździła z nią po całym świecie, żyje, ma 91 lat i mieszka w takiej swojej chatce. Poszedłem do tego domku, ona siedziała i opalała się, było to we wrześniu, słońce pięknie grzało. Podchodzę do niej i mówię: „Handziu, ja jestem Tunio”. Jak ona usłyszała to moje zdrobniałe imię, to rzuciła mi się na szyję, zaczęła płakać, chłopcy wylazły ze wszystkich sąsiednich chat do mnie i wszyscy do mnie „Panyczu wernysia” – „Paniczu, niech Pan wraca”. Ludzie nie otrzymali pensji za cały

rok, deszcz zniszczył zboże, woda zniszczyła ziemniaki. Panuje taka straszna nędza, że aż żal patrzeć.

Mój ojciec oprócz tego, że hodował konie arabskie, hodował też krowy symandelskie i stale sprowadzał je ze Szwajcarii. Jak się urodziły jałówki to rozdawał je na wsi chłopom, a oni sprzedawali nam mleko. Myśmy mieli rodzinną mleczarnię, z której masło codziennie rano szło pociągami do Lwowa. Był tam bardzo zamożny chłop, nazywał się Magnowski, który od ojca dostał 6 jałówek i miał piękną oborę. Poszedłem do niego, on już staruszek. Pytam się go, panie Magnowski a co z oborą, a on mówi niech pan pójdzie zobaczyć. No więc ja idę do tej obory zobaczyć, a tam jedna koza stoi.

Moja matka Ewa hrabina Dzieduszycka była przed wojną znaną podróżniczką. Jako jedna z pierwszych kobiet, prawdopodobnie druga, doszła do Tybetu. W męskim stroju Szerpa zwiedzała nawet świątynię, co podobno groziło kobietom śmiercią. Matka nauczyła mnie ciekawości świata.

Mój stryjeczny dziad był znanym ornitologiem i założył muzeum, jedyne w Europie, w którym było kilka tysięcy rzadkich ptaków (najprawdopodobniej największy zbiór na świecie), ryb, ssaków oraz doskonale zachowane ciało mamuta.

(Dlatego zapraszam na wystawę ekspozycji z tego Muzeum Dzieduszyckich do Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu w dniach od 20 kwietnia 1999 r. do połowy czerwca.)

W tej chwili „handlujemy” z Ukraińcami, aby całe muzeum przeprowadzić do Wrocławia. Pałac Dzieduszyckich we Lwowie, w którym jest muzeum stoi na palach, wbitych w Peltew, nie jest konserwowany i się zapada. Brakuje finansów na jego utrzymanie. Kto wie, czy się uda ściągnąć go tutaj do Wrocławia, to by w Arsenale zrobiło się muzeum.

Jeśli chodzi o Ossolineum, to do Wrocławia przywieziono 1/5 wszystkich zbiorów, reszta pozostała we Lwowie. Pozostały tam wspaniałe zbiory literatury, zbiory z galerii obrazów. Cała biblioteka Dzieduszyckich z Poturzy 1300 rękopisów polskich pisarzy tam została. W tej sprawie też „handlujemy” z Ukraińcami. W warszawskim Muzeum Narodowym są zbiory rękopisów Szewczenki i chcemy z nimi je wymienić. Między innymi pertraktuje z nimi moja córka Małgorzata Dzieduszycka-Ziemilska, która pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jest dyrektorem Departamentu Mniejszości Narodowych.

Co Pan może powiedzieć o samym Lwowie?

— Lwów to było bardzo piękne miasto. Przede wszystkim miasto młodych. Był tam Uniwersytet, była Politechnika, była Szkoła Rolnicza, do której zresztą i ja chodziłem. Było ogromne Konserwatorium, w którym się kształciła większość tych słynnych muzyków polskich. Trzyletnia Szkoła Gospodarstwa dla dziewcząt, która uczyła życia. Uczyły się w niej gotować, szyć, prowadzić dom i prowadzić rachunki. Było to miasto młodzieży i miasto bardzo dobrej muzyki, dlatego że była świetna opera prowadzona przez znakomitego dyrygenta pana Lerera, w której były wystawiane trudne dzieła, nie wystawiane nigdzie w Polsce. Najtrudniejsze opery dlatego, że był znakomity zespół, zestaw śpiewaków, m. in. Lewandowski, Zamorska i inne wielkie sławy. Później zresztą już jako starsza pani przyjechała do Wrocławia. Prawie cała opera Lwowska przeniosła się do Wrocławia.

Panie hrabio, uprawiał Pan też sport, proszę nam coś o tym opowiedzieć.

— Najpierw chodziłem do gimnazjum w Stanisławowie, a później już do 6, 7, 8 klasy we Lwowie. Wtedy były 4 klasy podstawowe i 8 klas gimnazjalnych.

Otóż nasze neoklasyczne gimnazjum w Stanisławowie graniczyło z gimnazjum Urszulanek. Dzielił je tylko płot. Uprawiałem lekkoatletykę, byłem nawet dobrym sportowcem. Biegałem na 100 m w reprezentacji Polski. Nawet na olimpiadzie w Berlinie biegałem w polskiej sztafecie. W gimnazjum rzucałem też dyskiem, najdalej ze wszystkich chłopców. Przerzuciłem kiedyś tym dyskiem na stronę Urszulanek – trzeba powiedzieć specjalnie. Przeskoczyłem płot, żeby wziąć ten dysk. Dziewczęta do mnie: chodź, chodź do klasy i ja z tym dyskiem poszedłem do ich klasy. Wchodzi nauczycielka, a ja z tym dyskiem pod ławkę. Złapała mnie. Efekt był taki, że wyrzucono mnie ze szkoły, taka była rygorystyczna dyscyplina. Panienki też miały nieprzyjemności.

Wtedy przeniosłem się do Lwowa i chodziłem do gimnazjum „siódemki”, które było przy ul. Sokoła na przeciw wielkiego gmachu Sokół Macierzy. Należałem do klubu sportowego Sokół Macierz, który był czołowym klubem lekkoatletycznym we Lwowie. Piłkarstwo to była Pogoń i Czarni. Myśmy mieli boisko w centrum Łyczakowa. Była to dzielnica Lwowa, dzielnica samych batiarów.

We Lwowie to była naprawdę wysportowana młodzież, która garnęła się do niego, miała znakomite kluby sportowe i wspaniałe wyniki

Jak toczyło się życie kulturalne młodzieży?

— Jak przyjechałem do Lwowa, trafiłem do klasy, w której byli Baraniecki, znany później karykaturzysta w Polsce, po wojnie prowadził w Łodzi pismo humorystyczne, w którym rysował karykatury, Stefan Barycz znany poeta, Niedental, poeta. To była gromadka ludzi zajmujących się literaturą, sztuką. Stworzyliśmy taki kabaret szkolny, który nazywał się „Nasze Oczko”. Zrobił się on taki popularny, że potem graliśmy co sobota i co niedziela w wielkiej sali Sokoła. Cały Lwów się schodził, bośmy co tygodnia wymyślali nowe kuplety na różne osobistości lwowskie. Z tego kabaretu powstała znana „Wesoła Lwowska Fala”. To była audycja w polskim radiu we Lwowie. Była tak popularna, że rzeczywiście w niedzielę od godz. 7.30 przez godzinę wszyscy ją słuchali, cała Polska ją słuchała. Tam był ten słynny Szczepcio i Tońcio, które to postacie później przeniosłem do wrocławskich kabaretów.

Na Akademii Muzycznej najpierw skończyłem sekcję skrzypiec oraz śpiewu. Zacząłem śpiewać w teatrze operowym Lwowa. W teatrze operowym Lwowa były wystawiane opery, które nie były wystawiane nigdzie w Polsce, bardzo trudne, takie jak: Masaneta, Afrykanka, Bajadera i wagnerowskie opery. Naprawdę była to ogromna kultura muzyczna we Lwowie. Świetna orkiestra symfoniczna przy Lwowskim Towarzystwie Muzycznym, którą prowadzili Mieczysław i Adam Sołtysowie – ojciec i syn.

Właściwie myśmy byli zarodkiem takiej młodej literatury, młodej sztuki w naszym gimnazjum we Lwowie. Potem założyliśmy gazetę, która najpierw była gazetą szkolną, a potem stała się ogólnolwowską. Nazywała się „Nasze Oczko”, bo mieliśmy patrzeć z przymrużonym okiem na to co dzieje się we Lwowie. Potem większość nas przeszła do takiego tygodnika, który nazywał

się „Sygnały”. One były zarodkiem lwowskiej młodzieży intelektualnej. Działo też Kasyno Literackie, gdzie co tygodnia odbywały się spotkania z wielkimi literatami z całej Polski.

Pamiętam, że przyjeżdżał Tuwim, Hemar, których wcześniej już znałem. Staraliśmy się przenieść ten klimat do Wrocławia. Wrocław jest właściwie najbliższy tej atmosferze intelektualno-młodzieżowej Lwowa. Wrocław jest znakomitą konglomeracją, mieszaniną ludzi z różnych stron Polski, a nawet narodowości. We Lwowie też w znakomitej symbiozie żyli ze sobą Polacy, Rusini, Ormianie, Węgrzy, Niemcy, Żydzi. Nie czuło się tam żadnej różnicy między tymi ludźmi. To dopiero później, gdy zaczęła się II wojna światowa, rozpętały się antagonizmy między Ukraińcami i Polakami. Na Dublanach studiowało bardzo dużo ruskich (ukraińskich) kolegów i żyliśmy w najlepszej przyjaźni i zgodzie.

Proszę coś powiedzieć o architekturze Lwowa?

— Miasto bardzo ciekawe. Piękna architektura. Dlatego, że od czasów Kazimierza Wielkiego zjeżdżali się do Lwowa włoscy architekci. Lwów tak jak Florencja budował się rękami tych wielkich włoskich architektów. Cała część Lwowa, która była przed górą zamkową, to była budowana przez włoskich architektów. Była to część renesansowa Lwowa. Przepiękny Kościół Dominikanów, Ratusz, słynna Katedra Wołoska – cudo renesansowe. Od rynku do centrum, do wałów to był barok – bardzo piękny. Co jest ciekawe we Lwowie, że nie ma chyba tego żadnego miasta na świecie, to to, że centrum miasta było położone na rzece. Przez środek miasta płynęła rzeka Peltew. Ponieważ ona rozgradzała na 2 części miasto, powbijano pale dębowe i przykryto ją. Całe Wały Hetmańskie leżały na Peltwi. W ten sposób Peltew przepływała pod Lwowem. Chowała się pod Lwów 23 km przed nim i 20 km za nim wypływała.

Przepiękny, słynny Wielki Teatr Lwowski stojący na „wodzie” (nad Peltwią) jest bardzo podobny do Opery Wrocławskiej, gdyż ten sam architekt budował operę lwowską, wrocławską i wiedeńską.

Czy ludzie o Pańskiej osobowości i pochodzeniu byli represjonowani w poprzednim systemie politycznym?

— Tak. Ja za rzekome kolportowanie lwowskich piosenek w 1959 r.

Przez 2 lata byłem tenorem w operze florenckiej i śpiewałem w różnych operetkach włoskich. Na gościnne występy przyjeżdżałem do swojego rodzinnego teatru do Lwowa. A już wtedy była bardzo popularna Wesoła Lwowska Fala, w której śpiewał chór Juranda. Jak przyjechałem to razem śpiewaliśmy piosenki dla Lwowskiej Fali. Po wojnie oni przenieśli się do Warszawy. W latach 50. przyjechali do Wrocławia. Wtedy była odwilż, we wrocławskim radiu szła audycja „Józko i Miśko”. To byli tacy wrocławscy „Szczepcio i Tońcio”. Więc ja idę do nich i mówię słuchajcie, tutaj jest taki program kabaretowy Józko i Miśko, zaśpiewamy dla nich taką wiązaną lwowskich piosenek. Poszliśmy do radia i śpiewaliśmy chyba około pół godziny wiązaną lwowskich piosenek.

Tymczasem do Polski przyjechał pisarz emigracyjny Aleksander Piskor, autor powieści „Siedem ekscelencji i jedna dama”, w której większość była o rodzinie Dzieduszyckich. On bardzo długo siedział u mnie we Lwowie, zbierając materiały do tej książki. A kiedy tu przyjechał bo było drugie wydanie w „Czytelniku”, kiedy dowiedział

się, że ja jestem we Wrocławiu, skontaktował się ze mną i przyjechał do Wrocławia. Żona robiła kolację, po kolacji puściłem te lwowskie piosenki. Poszliśmy do radia, przegrać. Piskor dał przegrywającemu cztery funty angielskie.

I od tych funtów się zaczęło.

Piskor wyjechał z tymi taśmami, a ja po kilkunastu dniach wracam do domu, a on cały obstawiony milicją. W gabinecie żona zaplakana, jakiś facet wertuje książkę po książce z mojej biblioteczki. Mówię, że będzie miał sporo roboty, bo książek mam bardzo dużo. A on mi, że zaraz przestanę dowcipkować, bo jestem oskarżony o złamanie kodeksu karnego, grozi mi kara od 12 lat więzienia. Za co, pytam. On – że za szpiegostwo kulturalne. „Pan sprzedał swoje piosenki do BBC i rozgłasza je puszcza z pańskim komentarzem, że odbierzemy Lwów”. To ja mu mówię, że nie czuję się na siłach niczego odbierać. Zapakowali mnie do suki. W kryminale nie było źle, siedzieli sami znajomi. Nawet znajomy lekarz, jeszcze ze Lwowa. Najśmieszniejsze było to, że dwa tygodnie wcześniej wygrałem plebiscyt „Słowa Polskiego” na najpopularniejszego człowieka we Wrocławiu.

Wypuścili mnie po ośmiu miesiącach. Okazało się, że BBC puszczało nie moje piosenki. Tyle miesięcy potrzebowali, żeby przesłuchać te 15 minut muzyki?

Innym, ale już zabawnym przypadkiem było zwracanie się zawsze do mnie jednego sekretarza KW w Wałbrzychu, zawsze mówił do mnie: „Towarzyszu Hrabio”, na co ja mu odpowiadałem „Panie Towarzyszu”. I tak się wyrównywało.

Co Pan robił po wyjściu z więzienia?

— Po wyjściu z więzienia nie miałem gdzie pójść, gdyż wszystkie posady po mnie były pozajmowane przez moich przyjaciół i nikt nie chciał ustąpić. Ale przyjechał do mnie z Warszawy mój przyjaciel – znany dyrygent i kompozytor Adam Lenczowski, który pisał piosenki, nawet Kiepusa śpiewał jego piosenki. I mówi, wiesz co, może założylibyśmy taki kabaret starych piosenek. W ten sposób powstał „Dymek z Papierosa”. Moja żona recytowała, ja prowadziłem konferansjerkę i śpiewałem, Hania Damm śpiewała piosenki.

Wygraliśmy 2 konkursy w Polsce na zespoły estradowe. Pojechaliśmy do Londynu, Stanów Zjednoczonych, mieliśmy tam być 6 tygodni, a siedzieliśmy tam pół roku. Jak wróciliśmy, powiedzieliśmy sobie, że dosyć tej zabawy.

Teraz znowu zwariowałem na stare lata, bo zrobiliśmy sobie z moim młodym przyjacielem, moim asystentem w telewizji, taki wieczór piosenek dawnych. On gra na fortepianie, ja śpiewam.

Jaki związek ma „Mąka wrocławska” z Pana osobą?

— Okazało się, że zaraz po wojnie byłem jedynym specjalistą od uruchamiania niemieckich młynów. Nikt się na nich nie znał tak dobrze jak ja, gdyż ukończyłem odpowiednią szkołę w Hamburgu. Dlatego zostałem dyrektorem technicznym Polskich Zakładów Zbożowych na Dolny Śląsk i Opolszczyznę.

Jak zostałem dyrektorem młynów, zaopatrywaliśmy właściwie w mąkę całą Polskę i nawet część Czechosłowacji. Były tu największe młyny w Europie. Musieliśmy wymyślić taką mąkę, która byłaby dobra do wypieku i na kluski. Uzyskaliśmy taką mąkę, w której była

część twardej pszenicy, część miękkiej pszenicy. Mąkę o takiej granulacji nazwaliśmy **MAKĄ WROCŁAWSKĄ**.

I choć ona jest dzisiaj bardzo zła, wciąż jest lepsza od poznańskiej. Do mąki wrocławskiej dodawaliśmy twardą pszenicę, żeby szybko rosła. Obecnie dodaje się tylko miękką, bo twarda nie jest uprawiana. Dlatego mąka obecna jest mialka i nie może dobrze rosnąć. Tak samo nie produkuje się dzisiaj makaronu mego pomysłu, którym był „Makaron 4-jajeczny”, a jego recepta to: tona mąki, cztery jaja. Do dzisiaj pozostała tylko nazwa.

Panie hrabio, ile Pan zdobył zawodów i który sobie Pan najbardziej ceni?

— Ktoś mi powiedział, że doliczył się ich dwadzieścia cztery: inżynier budowy maszyn młyńskich, rolnik, tłumacz z francuskiego, konferansjer, śpiewak operowy, wodzirej, piosenkarz, krytyk muzyczny, redaktor telewizyjny itd., itd. Z tych dwudziestu czterech zawodów może dziesięć mi wyszło. Z pozostałych szybko się wycofywałem, kiedy zauważyłem, że inni w danej dziedzinie są lepsi ode mnie. Dobrze szło mi śpiewanie, ale najbardziej polubiłem dziennikarstwo, gdyż można tu wyrazić swoje opinie, jakie się ma naprawdę. Nazywali mnie św. Mikołajem recenzji, ponieważ nikomu nie chciałem zrobić krzywdy. A ja uważam, że cała sztuka w tym, żeby powiedzieć, co się myśli, nie robiąc drugiemu przykrości.

Jak Pan został dyrektorem młynów?

— Kiedy przyjechałem z obozu koncentracyjnego do Krakowa, założyłem tam teatr kameralny. Ponieważ moja żona Halina dostała angaż do teatru wrocławskiego, dlatego ja też przenieśliśmy się do Wrocławia i pracowałem w teatrze. Ale jak kiedyś wyszedłem z teatru, spotkałem na ulicy mojego przyjaciela z więzienia, z którym siedzieliśmy bardzo długo i wszystko o sobie wiedzieliśmy. Był on tutaj pierwszym sekretarzem PPS-u. Spytał, co ja robię, a ja mówię, że pracuję w teatrze. On mówi, coś ty zwariował, będziesz się wygłupiał na scenie, ludzie nie mają co jeść, ty jesteś inżynierem budowy maszyn młyńskich, masz zostać dyrektorem naczelnym młynów i elewatorów zbożowych na Dolnym Śląsku, na Ziemi Lubuskiej, Poznańskiej, Opolskiej. Pół Polski. Młyny i elewatory były rozszabrowane przez Sowietów i wywiezione do Rosji. Więc trzeba było je odbudowywać. I tak właściwie zostałem niespodziewanie dyrektorem młynów.

Na kierowników młynów pchali się sami złodzieje. Im bardziej chodziło o to, by coś ukradnąć. Ciągłe miałem wizyty z Urzędu Bezpieczeństwa, tam ukradli mąkę, tam ukradli zboże, tam paszę itd., coś strasznego.

Rosjanie chcieli od nas mąkę dla swoich wojsk. Poszedłem do komendanta i powiedziałem: „Chcecie od nas mąki, a my nie mamy czym ją wam produkować, bo wszystkie młyny żeście nam rozszabrowali. Oddajcie nam te maszyny”. On mówi: „Panie, czyście zwariowali, te części już dawno są w Rosji. Ale my wam dostarczymy”.

Rozszabrowali młyny w Niemczech i nam je dali. W ten sposób myśmy odbudowali nasze młyny.

Takie młyny jak Różanka, Dzierżoniów, Jawor to są największe młyny w Europie. Do tego stopnia, że tam były podstawiane 3-4 zestawy pociągów dziennie.

Budowę maszyn kończyłem w Hamburgu i byłem jedynym w Polsce specjalistą od renowacji i budowy maszyn młyńskich. Dlatego mnie tak tolerowała ówczesna władza. A potem jako pisarzowi i komediantowi dali

już spokój. W tym czasie założyliśmy pismo „Sygnały”, obecnie nazywa się „Odra”. „Sygnały” były na wzór lwowskich „Sygnałów”. Stworzyłem na Politechnice katedrę „Budowy Maszyn Młyńskich” i w Wyższej Szkole Ekonomicznej katedrę „Produkcji Zbożowej”. To mi umożliwiło wyrwanie się ze stanowiska dyrektora młynów. To było pasjonujące zajęcie, jak się budowało.

Podobno dom, w którym Pan mieszka ma ciekawą przeszłość?

— Po przyjeździe do Wrocławia zamieszkałem z żoną w śródmieściu. Zbyt późno zaczęliśmy myśleć, aby znaleźć sobie jakąś willę. Wszystkie willie porządne były już pozajmowane, pozostała jedna z zerwanym dachem. Zdecydowaliśmy się na nią. Niczego w tym domu nie było. Kaloryfery i kontakty były powyrwane. W piwnicy było mnóstwo jakichś starych papierzyśk. Pośród nich był stary album ze zdjęciami. Na pierwszej stronie tego albumu, ku mojemu zaskoczeniu, podobna gestapowca-esesmana, który mnie w Krakowie aresztował, przesłuchiwał, bił w rękawiczkach itd. Zapytałem pracujących na ulicy Niemców kto to jest, a oni, jak to kto: esesman Kirche, właściciel tego domu. Proszę sobie wyobrazić, że ja mieszkam w domu swojego oprawcy.

Tak, dom w którym mieszkam należał wcześniej do Niemca, gestapowca, który mnie aresztował w Krakowie. Gdy wprowadzaliśmy się do tego domu we Wrocławiu, w dachu była potężna dziura, a na środku salonu tkwiła bomba. Dom był zniszczony, ale w ogrodzie kwitły śliczne róże, którymi zachwyciła się moja żona, powiedziała, że będziemy mieli różane życie. Z początku mieszkaliśmy w kuchni, bo tylko tam był sufit w dobrym stanie. Jak deszcz padał, trzeba było jednak spać pod parasolami. Było bardzo romantycznie. Pewnego dnia budzę się rano i słyszę, jak nasza gospodyni, pani Karolina, wdowa po organiście z Jasnej Góry, rozmawia z kimś po niemiecku. Zbiegamy na dół, jakaś starsza bardzo godna pani przedstawia się, że jest Kirche. Gratuluje nam wyboru domu, tego żeśmy ten dom odbudowali itd. i zaprasza do Wiesbaden, gdzie mieszka. Okazało się, że tą osobą jest żona tego gestapowca. Mówię do niej „Przepraszam, ale ja z tym Panem w niewielkiej byłem zgodzie”. A ona na to: „Ja też. Jestem Żydówką”.

Jej mąż, jak wstąpił do NSDAP to, co prawda, nie wsadził jej do obozu, ale podwiózł do granicy ze Szwajcarią, wysadził i powiedział: „Rób co chcesz”. Ona całą wojnę przeżyła w Portugalii. Po wojnie wróciła do Wiesbaden, gdzie jej rodzice mieli jakiś majątek, odebrany Żydom przez Niemców. Teraz ona odebrała go od Niemców. Zaprzyjaźniliśmy się z nią tak bardzo, że gdy jeździliśmy do Niemiec, nocowaliśmy u niej w Wiesbaden, a jak ona była we Wrocławiu, mieszkala u nas. Wystąpiłem za jej sprawą nawet w telewizji niemieckiej – proszono, abym powiedział jak się mieszka w niemieckim domku, więc ja powiedziałem, że doskonale, bo się przyjaźnię z panią Kirche. Powiedziałem, że jestem w takiej samej sytuacji, bo mnie wyrzucono z mojego pałacu we Lwowie, a niestety tam nie mogę wrócić, bo tam jest akurat placówka NKWD.

W Gross-Rosen otarł się Pan o śmierć. Proszę opowiedzieć.

— W obozie Gross-Rosen trafiłem do orkiestry obozowej. Grałem na skrzypcach i śpiewałem. Rano przygrywali ludziom idącym do kamieniołomów. Potem sami szliśmy do roboty. W sobotę graliśmy esesmanom

w mesie. Komendant kazał mi śpiewać słynne arie z „Toski”. Pewnego razu z mojego bloku uciekło trzech więźniów. Złapali biedaków i powiesili. Nas ustawili rano na apel-platzu i co dziesiątego wybierano na „rozwałkę”. W sumie trzydziestu mężczyzn, wśród nich ja. Staliśmy pod krematorium. Komendant przyszedł z dużym psem i pyta: – Singer, co ty tu robisz? – Na rozwałkę idę – mówię. A on: – Nie ma mowy, raus. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że idę na śmierć. Dopiero po tym „raus”, gdy poszedłem za blok, poczułem, że mam miękkie kolana. Drugi raz przeżyłem własną śmierć przez pomyłkę w „Gazecie Robotniczej”. Napisali, że umarłem ja, a to umarł mój ukochany syn Antoni.

Co to jest za pierścień na Pana palcu?

– Ten pierścień to pamiątka z Gross-Rosen. Jak mówiłem, z 1300 zostało nas przy życiu 63. Zrobiliśmy 64 takie pierścienie. Jest w nim kamień granit, który żeśmy wydobywali, a to jest metalowy pierścień (*tu Pan hrabia nam pokazuje*) zrobiony z narzędzi, którymi pracowaliśmy. Na jego bokach wygrawerowano mój numer obozowy i literę P w trójkącie. Zrobiliśmy o jeden więcej. Pojechaliśmy do papieża i ja wręczyłem go Papieżowi.

Papieża znałem jeszcze, jak on był kanonikiem. Prowadził teatr kameralny w Krakowie, a on był w teatrze rapsodycznym. Zapraszałem go zawsze do naszego teatru. Tak że dobrze go znałem. Jak mu wręczałem ten pierścień, przedstawiłem się, – mówię – Dzieńduszycy „Ależ wiem, znam, znam z Krakowa, z *Życia Literackiego* – powiedział Papież. Wtedy wychodziło *Życie Literackie*, do którego ja też pisałem. Kiedy Ojciec św. mnie błogosławił, to ja poprosiłem o błogosławieństwo dla mojej żony, która jest chora. A on pomyślał i mówi – ach, ta aktorka – co się stało. No proszę sobie wyobrazić: po 30 latach pamiętał, że ja się ożeniłem z aktorką. Coś nadzwyczajnego.

Jak doszło do założenia festiwalu szopenowskiego w Dusznikach, prawdopodobnie wiążą się z tym ciekawe okoliczności?

– Tak. Założyłem między innymi festiwal szopenowski w Dusznikach, festiwal Wieniawskiego w Szczawinie, organizowałem filharmonię wrocławską, telewizję wrocławską razem z inżynierem Ryłskim. Był we mnie taki niespokojny duch.

Pamiętam taką historię z Ignacym Potockim. Kiedy wyszedł z obozu jenieckiego, przyjechał do Wrocławia. Chciał jechać na Wschód, ale tam nie było po co. Był przed wojną właścicielem uzdrowiska Rymanów. Ze względu na swoją elegancję i kulturę został kierownicą wojewody wrocławskiego – Piaskowskiego. Wtedy we Wrocławiu był zjazd intelektualistów z całego świata. Wojewoda obwoził różnych gości zagranicznych, ale nie znał języka angielskiego i francuskiego, a wszystko tłumaczył Potocki. Pyta się go wojewoda, skąd on zna tak dobrze te języki. A on odpowiedział: „no bo ja jestem Ignacy Potocki”. Zdziwienie wojewody było bardzo duże. A nam potrzebny jest dyrektor wszystkich uzdrowisk. I nagle z szofera zrobili go dyrektorem uzdrowisk, tak jak mnie z aktora dyrektorem młynów. I to on właściwie odnalazł pomnik Szopena w Dusznikach. To on zmobilizował mnie i swojego byłego szefa orkiestry z Rymanowa – Kazimierza Halpona, który był tutaj Kierownikiem Wydziału Kultury w województwie wrocławskim. Razem pojechaliśmy do ministra. Minister Kowalski bardzo się ucieszył, że będzie festiwal na Ziemiach

Odzyskanych i pierwszy festiwal muzyczny w Polsce. Powiedział, pieniędzy wam nie dam, bo nie mam. Ale chwala Bogu, że uzdrowiska dał. I tak powstał festiwal szopenowski w Dusznikach.

Co jest obecnie największym Pana marzeniem?

– Znów dopadł mnie wariacki pomysł. Wrocław jest jedynym miastem, gdzie Szopen koncertował, a nie ma swojego pomnika. Chciałbym mu go postawić. Mogłyby powstać wrocławskie Łazienki, np. w Parku Południowym, nad tym przepięknym stawem. Z jednej strony pomnik Szopena, z drugiej amfiteatr letni.

Rozmawiałem o tym już z prezydentem Zdrojewskim, żeby ten park, który jest strasznie zaniedbany, w którym chuligani rzucają ławki do stawów, powstały drugie warszawskie Łazienki. Chcę do tego zmobilizować wszystkie towarzystwa muzyczne: Tow. im. Hoffmana, Tow. im. Liszta, Dolnośląskie Towarzystwo Muzyczne. Tam był kiedyś bardzo piękny amfiteatr.

Czy piosenki lwowskie w Kalamburze to dzieło Pańskiej małżonki?

– Tak. Po obecnej odwiedził dyrektor Kalamburu, pan Litwiniec, wydał taką książkę „Lwowskie piosenki” i na podstawie tej książki moja żona wyreżyserowała taki show tych lwowskich piosenek. Myśmy z tym nawet pojechali do Lwowa. Muszę powiedzieć, że to było coś zabawnego, jak ci Ukraińcy śpiewali lwowskie piosenki. Ja wtedy pierwszy raz po 50 latach, nie chciałem jechać do Lwowa, żeby nie zatrzeć sobie tych wspomnień z czasów młodości. A potem jeździłem często do Lwowa z Teatrem Wielkim z Warszawy jako recenzent.

Po przeprowadzonym wywiadzie Pan hrabia był ucieszony naszym zainteresowaniem sprawami kresowymi i jego osobą. Przy okazji pochwalił nasze mundurki, które – jak się wyraził – są kontynuacją najlepszych, polskich tradycji uczącej się młodzieży.

My z kolei, żegnając Dostojnego Gospodarza, życzyliśmy mu dużo, dużo zdrowia i spełnienia marzeń związanych ze stworzeniem drugich Łazienek Warszawskich w Parku Południowym we Wrocławiu.

Całość zebrała, opracowała i wykonała **Anna Jednoróg** Współpraca: **Dominika Trylska, Małgorzata Kraska** Wrocław, 22 kwietnia 1999 r.

Prywatne Żeńskie Liceum Sióstr Urszulanek we Wrocławiu pl. Biskupa Nankiera 16, 50-140 Wrocław



Po przeprowadzonym wywiadzie Wojciech hrabia Dzieńduszycy pozuje do pamiątkowego zdjęcia z uczennicami

Ewa Krzyżanowska (uczennica kl. I E Gimnazjum nr 1 we Wrocławiu)

Obrazy – zwierciadłem duszy

Organizowany przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich konkurs pod nazwą „Rajd szlakiem zabytków Lwowa we Wrocławiu” skłonił mnie do napisania wspomnień poświęconych osobie mojego pradziadka Henryka Krzyżanowskiego. Był on artystą malarzem, pedagogiem i wielkim przyjacielem młodzieży. Żałuję, że zmarł przed moim urodzeniem i nie mogłam go poznać osobiście. Przypomniał mi także, że zostało po nim tak mało pamiątek. Większość swoich obrazów pradziadek ofiarował krewnym, znajomym oraz różnym organizacjom społecznym. Nigdy nie dbał o sławę i nie zabiegał o nią. Malarstwo traktował jako wielką pasję swojego życia. Zrezygnował z kariery na rzecz pracy z młodzieżą. Z tego powodu obecnie mało kto pamięta o Henryku Krzyżanowskim. Uzdolniony malarz „zginął” w tłumie wybitnych uczonych, artystów i polityków ze Lwowa. Pomimo to, ja jestem bardzo dumna, że miałam takiego przodka.

Podążając szlakiem zabytków Lwowa we Wrocławiu w nielicznych bibliotekach można dotrzeć do opracowań poświęconych twórczości Henryka Krzyżanowskiego. Są nimi: broszura pt. „Henryk Krzyżanowski. Wystawa jubileuszowa, 40-lecie malarstwa” oraz „Katalog wystawy Henryka Krzyżanowskiego”. W omawianych pozycjach prezentowane są reprodukcje wybranych płócien artysty. Oczywiście jest to zaledwie część spuścizny, jaką pozostawił po sobie malarz. Niestety, większość obrazów jest rozproszona po całym świecie. Część została we Lwowie, część u przyjaciół w Paryżu, kilka płócien wywieźli do Stanów Zjednoczonych wnuczeta Małgorzata i Iwo. Obecnie największy zbiór obrazów znajduje się w prywatnej kolekcji mojego dziadka prof. Leszka Krzyżanowskiego w Warszawie. Zaledwie kilka prac pozostało we Wrocławiu. Ich właścicielami są potomkowie mistrza Henryka. Można więc powiedzieć, że katalogi z wystaw są jedyną okazją do obejrzenia zbioru najpiękniejszych portretów i pejzaży.

Innym śladem pobytu i działalności mojego pradziadka we Wrocławiu jest pamiątkowa tablica ku jego czci, wmurowana w ścianę Liceum Plastycznego. Jest to wyraz wdzięczności za trud wychowawczy, naukę oraz zaangażowanie, dzięki któremu mogła powstać ta szkoła.

Ostatnią pamiątką po moim pradziadku jest mogiła na cmentarzu św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida. Twórcami nagrobka byli wrocławscy plastycy, którzy starali się nadać jej nieco odmienny kształt. Zamiast tradycyjnej tablicy nagrobnej ustawili ogromny granitowy kamień z napisem: Henryk Krzyżanowski. Artysta malarz.

Uczniowie przez długie lata pamiętali o swoim mistrzu. Odwiedzali jego grób, składając zawsze na mogile długą pojedynczą różę.

Myślę, że wśród wrocławian żyją jeszcze następcy i kontynuatorzy malarskiej tendencji pradziadka Henryka, fascynujący się naturą i dążący do przedstawienia jej w obiektywnej formie.

Tym, którzy nigdy nie słyszeli o profesorze Krzyżanowskim, chciałabym przybliżyć jego sylwetkę i opisać krótko jego twórczość.

Henryk Krzyżanowski urodził się 9 kwietnia 1890 r. w Mogilnicy. Do szkoły średniej uczęszczał w Stanisła-



Syn Henryka – Leszek i prawnuczka Ewa pod tablicą w Liceum Sztuk Plastycznych we Wrocławiu

wowie i tam zdał maturę w roku 1910. Następnie rozpoczął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod kierunkiem prof. Józefa Pankiewicza. W czasie studiów za różne prace konkursowe (m. in. Walkę demonów) otrzymał 2 srebrne medale, 1 brązowy, kilka nagród oraz obietnicę wyjazdu na studia do Paryża.

Wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił ten wyjazd, więc pradziadek zmienił plany i kontynuował studia malarskie w Wiedniu. Po dwóch latach powołano go do wojska, gdzie początkowo walczył w armii austriackiej, a potem w szeregach wojska polskiego.

Po zakończeniu wojny, ze względu na trudną sytuację materialną, musiał podjąć pracę jako nauczyciel rysunku w szkole średniej na prowincji. Dopiero w 1920 r. ukończył studia w ASP w Krakowie i otrzymał dyplom. W następnych latach tj. od 1921 do 1924 studiował historię sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Jednocześnie dużo czasu poświęcał samodzielnemu kształceniu swojego talentu. Jego trud został zauważony i zaproponowano mu zorganizowanie kilku wystaw w Stanisławowie, a później bardzo znaczącej wystawy we Lwowie w 1936 r.

Wkrótce w drodze uznania artysta uzyskał stypendium Funduszu Kultury Narodowej w Paryżu. Spotkał tam czołowych francuskich neoimpresjonistów. Poświęcił się studiom światła i koloru, rozszerzył paletę barw.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej wrócił do Lwowa, gdzie kierował artystyczną spółdzielnią „Chu-

dożnik" oraz wykładał w Szkole Przemysłu Artystycznego. W tym samym czasie miała miejsce jego druga lwowska wystawa.

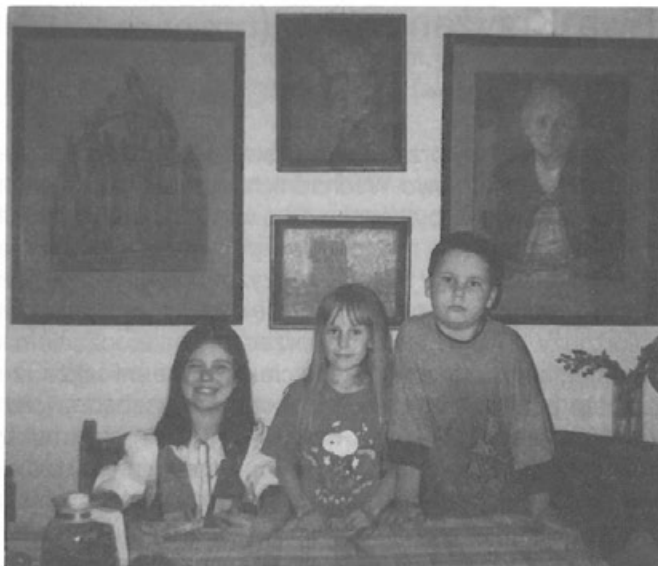
Po wojnie w ramach ekspatriacji Henryk Krzyżanowski przybył do Wrocławia. Pod koniec lat 40-ych zorganizował Szkołę Rzemiosł Artystycznych; pracował także w Liceum Poligraficznym i Ognisku Kultury Plastycznej. Od 1952 r. był nauczycielem rysunku i malarstwa w Liceum Sztuk Plastycznych, a po pięciu latach także jej dyrektorem. Zmarł 2 listopada 1960 r.

Mnie trudno oceniać prace pradiadka. Widziałam zaledwie 20 jego obrazów. Były to głównie portrety krewnych oraz pejzaże. Wszystkie bardzo mi się podobały. Dostrzegłam w nich dużą wrażliwość na piękno otaczającej przyrody. W portretach najbardziej zachwyciły mnie precyzyjna kompozycja, ciekawy koloryt i światłocien. W obrazach tych nie ma zbędnych, błyskotliwych efektów – jest za to dużo ciepła, optymizmu, szczerości. Mistrzami pradiadka byli: Cezanne, Pankiewicz i neoimpresjoniści francuscy.

Myślę, że wielu współczesnych znawców malarstwa doceniło wartość i piękno akwareli oraz obrazów olejnych Henryka Krzyżanowskiego. Za pracę pedagogiczną i artystyczną odznaczono go brązowym i srebrnym medalem; medalem X-lecia Polski Ludowej, Odznaką XV-lecia Wyzwolenia Dolnego Śląska oraz Złotym Krzyżem Zasługi. Najważniejsze indywidualne prezentowane wystawy mojego pradiadka to:

1. 1930 r. w Stanisławowie
2. 1936 r. we Lwowie
3. 1939 r. we Lwowie
4. 1957 r. we Wrocławiu (wystawa jubileuszowa)

Cenię mojego pradiadka za talent oraz światopogląd artystyczny, według którego obraz powinien być prawdziwy, prosty i czytelny.



Wnuczęta i prawnuczęta Henryka Krzyżanowskiego.
W tle autoportret i inne obrazy malarza

Zbieram wszystkie drobiazgi i pamiątki związane z osobą mojego przodka. Wiosną chodzę do Ogrodu Botanicznego i zachwycam się rododendronami, które przed laty inspirowały pradiadka do pracy. Jesienią sprawdzam czy w ogrodzie na Karłowicach nadal owocuje jabłoń, „rodząca” pachnące i soczyste owoce, uwidocznione na kilku obrazach.

W przyszłości pragnę pojechać do Lwowa i Stanisławowa. Wierzę, że znajdę tam więcej pamiątek po Henryku Krzyżanowskim – artyście, który kochał drzewa, kwiaty i ludzi; który cieszył się pięknem świata i potrafił przekazać innym swój zapał, optymizm, życzliwość oraz inne wartości bliskie sercu każdego Lwowiaka. □

Ewa Ziółkowska

Seweryn Goszczyński – wieszcz i żołnierz polski

(Przedruk z Biuletynu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa „Przeszłość i Pamięć” nr 1/2/2001)

Polsko

Ty masz wyższy zakon boski
Odkryć przed światem obliczem
Nie przez martwe pisma głoski
Ale życiem ofiarniczym.

Strofę tę, pochodzącą z poematu mistycznego *Posłanie do Polski*, wyryto na pomniku nagrobnym Seweryna Goszczyńskiego na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Kompozycja pomnika nawiązuje do osobowości i działalności poety-żołnierza. Na wysokim trzymetrowym cokole znajduje się naturalnych rozmiarów kamienny posąg siedzącego poety, z ręką opartą o księgę, zadumanego, ale emanującego wewnętrzną siłą. Między narożnymi pilastrami cokoła osadzone są cztery marmurowe tablice. Na tablicy frontowej wyryto imię i nazwisko poety oraz miejsca, a także daty urodzin i śmierci (data urodzenia o dwa lata późniejsza niż w literaturze). Na tablicy po lewej stronie wymienione są tytuły ważniejszych utworów literackich Goszczyńskiego, a na



Seweryn Goszczyński ok. 1836 r.



Pomnik nagrobny S. Goszczyńskiego

prawej miejsca bitew, w których brał udział. Na tylnej ścianie cokołu wyryto cytaty z poematu mesjanistycznego *Posłanie do Polski*. Na wysuniętych z narożników podstawy pomnika kartuszach umieszczone są herby Polski, Litwy i Rusi, symbole poezji – zwój papirusu i lira w wieńcu z liści wawrzynu oraz symbole wojskowe – hełm, miecz i buława w wieńcu dębowo-laurowym.

Monumentalny pomnik, dzieło wybitnego artysty lwowskiego Juliana Markowskiego, powstał według zwycięskiego projektu zgłoszonego na konkurs ogłoszony po śmierci poety. Markowski był autorem ok. 60 rzeźb nagrobnych na Cmentarzu Łyczakowskim oraz tak znanych pomników lwowskich, jak: Teofila Wiśniowieckiego i Józefa Kapuścińskiego na Wzgórzu Tracenia, Jana Kilińskiego w Parku Stryjskim oraz Bartosza Głowackiego na rogatce Łyczakowskiej.

Pogrzeb wieszca narodowego odbył się 27 lutego 1876 r. i był wielkim wydarzeniem dla mieszkańców Lwowa, stał się masową, spontaniczną manifestacją uczuć patriotycznych, wyrazem autentycznego hołdu złożonego wybitnemu Polakowi.

Była to wielka manifestacja żalu i czci dla Goszczyńskiego, jakiej jeszcze Lwów nie widział. Wzięło w pogrzebie udział, jak mówią, pięćdziesiąt tysięcy ludzi, to jest połowa ludności całego miasta. Celebrował w biskupim ubraniu książę infułat Mossing, otoczony duchowieństwem świeckim i zakonem. Byli seminarzyści dominikanie, bernardyni, franciszkanie, karmelici, wszystkie bractwa kościelne, liczne korporacje świeckie, uczniowie uniwersytetu, uczniowie Akademii Technicznej, studenci gimnazjum polskiego, Szkoły Realnej, nauczyciele, reprezentanci miast, straż pożarna. Orszak był długi na trzy kilometry. Przedstawiciele instytucji nieśli sztandary, z których na cmentarzu utworzono szpalę. Okna na ulicach miały czarne zasłony z orłami. Nad otwartą mogiłą przemawiali świetny kaznodzieja Antoni Krechowicki oraz Tadeusz Romanowicz i Kornel Ujejski¹⁾.

Kim był człowiek tak uroczystie żegnany przez rzesze lwowian?

Seweryn Goszczyński – poeta, publicysta, jeden z ostatnich przedstawicieli pokolenia pisarzy romantycznych, należący i do literatury „krajowej”, i emigracyjnej, a jednocześnie konspirator głęboko zaangażowany w działania wolnościowe, urodził się 200 lat temu, 4 listopada 1801 r. w Ilińcach w powiecie lipowieckim na Ukrainie, w zubożałej rodzinie szlacheckiej, jako jedno z jedenaściorga dzieci Józefa i Franciszki z Gurowskich. Wychowywany w duchu patriotycznym i religijnym uczył się m. in. w szkołach pijarskich w Międzyrzeczu Koreckim i Winnicy oraz u ojców bazylianów w Humaniu. W 1820 r. przeniósł się do Warszawy, gdzie wstąpił do tajnego Związku Wolnych Braci Polaków.

Po zakończonej niepowodzeniem próbie dotarcia, pieszo i bez pieniędzy, przez Odessę do walczącej o wolność Grecji, przez pewien czas tułał się po Ukrainie, gdzie był uczestnikiem konspiracyjnych ruchów młodzieżowych. Pod koniec lat 20. podjął podróże do Wiednia i Krakowa. W czerwcu 1830 r. wrócił do Warszawy i włączył się w przygotowania wojskowe do wybuchu powstania. Wstąpił do sprzysiężenia Piotra Wysockiego. Był członkiem grupy, która w noc listopadową podjęła atak na Belweder.

Belwederczycy z trudem odszukali sypialnię wielkiego księcia, lecz nie znaleźli go w pościeli. Z pałacu wybiegł tymczasem gen. Gendre szukając pomocy dla Konstantego i wtedy dopadł go na dziedzińcu Seweryn Goszczyński, a „dopadłszy, zwał go bagnetem i dobił w oczach struchlałych stojących”. Rozległy się okrzyki części spiskowców: „Już krótki nos nie żyje!”²⁾

Następnie w randze kapitana walczył w korpusie gen. Józefa Dwernickiego pod Stoczkiem i Nową Wsią, później pełnił obowiązki adiutanta ministra wojny, by jako jeden z ostatnich opuścić Warszawę i przekroczyć granicę pruską z korpusem gen. Macieja Rybińskiego.

Po upadku powstania schronił się w Galicji, skazany zaocznie przez sąd w Warszawie na karę śmierci, przez pewien czas ukrywał się na Podhalu. W Galicji także włączył się w organizowanie ruchów spiskowych, współorganizował Stowarzyszenie Ludu Polskiego, był inicjatorem tajnego Związku Dwudziestu Jeden we Lwowie, a także wraz z innymi literatami założył grupę literacką Ziewonia. Ścigany przez władze austriackie wyemigrował do Francji, w 1838 r. wyjechał do Strasburga, następnie do Paryża. Również tam prowadził intensywną działalność publicystyczną i polityczną. W mieście nad Sekwaną poznał Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, u którego, borykając się z biedą, przez pewien czas zamieszkał. Pod wpływem Mickiewicza wstąpił do Koła Towiańczyków, którego był sekretarzem i któremu pozostał wierny do końca życia. W latach 1852-1857 był bibliotekarzem w polskiej Szkole w Batignolles. Ostatnie lata na emigracji przeżył Goszczyński w skrajnej nędzy, a w czasie oblężenia Paryża w 1871 r. omal nie umarł z głodu.

Pod koniec życia, dzięki pomocy przyjaciół, wrócił do kraju i osiadł we Lwowie. Odwiedzał Kraków i Zakopane, gdzie nowo założone Towarzystwo Tatrzzańskie nadało mu godność członka honorowego. W marcu 1875 r. we Lwowie uroczystie obchodzono 50-lecie jego pracy literackiej. Zmarł 25 lutego 1876 r. w kamienicy przy ulicy Fredry we Lwowie, w ostatnich chwilach życia

towarzyszył mu sąsiad Władysław Belza. Jego ciało zostało zabalsamowane przez prof. Feigla.

Przez całe swoje życie Seweryn Goszczyński zajmował się nie tylko działalnością patriotyczną, ale i twórczością literacką, w której jednak nie sięgnął szczytów wielkich epoki romantyzmu – Mickiewicza, Słowackiego, czy Norwida. Pierwsze próby poetyckie podjął jeszcze w czasie nauki w szkole humanistycznej, kiedy to wraz z przyjaciółmi Józefem Zaleskim i Michałem Grabowskim powołał trzyosobowy związek literacki. Pierwszym jego drukowanym utworem było tłumaczenie ody *Do przyjaciół Horacego*, opublikowanej w 1820 r. Wkrótce ukazały się w Warszawie *Duma o Stefanie Czarnieckim* i kilka drobnych wierszy. Wydane w 1824 r. utwory *Modlitwa wolnego* i *Uczta zemsty* ujawniają społeczny radykalizm autora. W 1828 r. ukazało się jedno z jego nawiązań do literatury romantycznej – powieść poetycka z dziejów Kozaczyzny *Zamek kaniowski*, mieszcząca się w tym samym nurcie literatury romantycznej co *Grażyna* Adama Mickiewicza i *Maria* Antoniego Malczewskiego.

Poezje Goszczyńskiego drukowano w prasie powstańczej, do bardziej znanych należą *Powstanie 29 listopada*, *Marsz za Bug* i *Wyjście z Polski*. Kilka późniejszych utworów poświęcił Podhalu, m. in. *Sobótka* i *Dziennik podróży do Tatrów*, pisane prozą, bodaj najwybitniejsze dzieło Goszczyńskiego. Parał się również krytyką literacką, w 1835 r. opublikował rozprawę *Nowa epoka poezji polskiej*, w której ostrej krytyce poddał twórczość Fredry. W 1838 r. we Lwowie ukazało się 3-tomowe wydanie pism poety, który przebywając już wówczas we Francji współredagował satyryczne pismo „Pszonka”. W Strasburgu opublikowany został zbiór *Trzy struny*, w Paryżu zaś powstały m. in. utwory *Straszny strzelec*, *Anna z Nadbrzeża*, powieść poetycka *Król zamczyska* i *Oda*, ponadto szereg artykułów i recenzji. Był także autorem najważniejszego źródła do dziejów duchowości mesjanistycznej *Dziennik Sprawy Bożej*. Z ostatniego okresu na emigracji pochodzą utwory o charakterze autobiograficznym (*Noc Belwederska*, *Dziennik Sprawy*) oraz bogata korespondencja wydana przez Stanisława Pigonia w 1937 r. Dominującymi rysami jego spuścizny literackiej są wpływy poezji ludowej, fascynacja przyrodą i radykalizm społeczny.

W 125. rocznicę śmierci wieszczą i żołnierza, 25 lutego 2001 r. pod pomnik, wznoszący się po dziś dzień tuż za główną bramą na nekropolii łyżczakowskiej, przysłała garstka osób, by złożyć wieńce z biało-czerwonymi wstęgami. Był Prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi Eugeniusz Cydzik, Konsul RP we Lwowie Wincenty Dębicki, komendant chorągwi Harcerstwa Polskiego na Ukrainie harcmistrz Stefan Adamski, Teresa Dutkiewicz z Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie i goszczące akurat we Lwowie

dwie przedstawicielki Polsko-Szwedzkiego Towarzystwa Ochrony Środowiska. Na tej skromnej uroczystości zabrakło młodzieży z polskich szkół we Lwowie.

Bo kto dziś pamięta, czy to we Lwowie, czy w Warszawie, czym zasłużył się dla Polski Seweryn Goszczyński, kim był Walery Łoziński, zmarły 140 lat temu, spoczywający na Cmentarzu Łyczakowskim, czy Joachim Lelewel pochowany na wileńskiej Rossie także przed 140 laty. I rzecz nie w hucznych jubileuszach, uroczystościach czy obchodach, a w naszej zbiorowej, narodowej świadomości historycznej.

Rada OPWiM zajmuje się nie tylko upamiętnianiem miejsc związanych z walką i martyrologią, ale także z życiem i miejscami spoczynku wybitnych Polaków. W ostatnich latach na Wschodzie m. in. zrekonstruowano nagrobek Tomasza Zana w Smolanach na Białorusi, poddano konserwacji pomniki nagrobne Kornela Ujejskiego w Pawłowie k. Lwowa, Aleksandra Mickiewicza w Kobryniu, Salomei Słowackiej-Bécu w Krzemieńcu, a także sporządzono opinie konserwatorskie grobów Emilii Plater w Kopciowie, Ludwika Narbutta w Dubiczach i Jana Czeczota w Rotnicy na Litwie. Na łamach biuletynu Rady publikowane są artykuły poświęcone wielkim Polakom. Mało kto wie, gdzie są pochowani nasi wybitni malarze, poeci, wodzowie. A przecież choćby odwiedzenie cmentarzy: warszawskiego na Powązkach, wileńskiego na Rossie, Łyczakowskiego we Lwowie, czy Rakowickiego w Krakowie może być ważną i bardzo osobistą lekcją historii. Tylko, czy dziś jest to równie oczywiste jak niegdyś, gdy Maryla Wolska pod koniec życia snuła poetyckie reminiscencje z wydarzenia z dzieciństwa?

A jednak – ten dźwięk nazwiska
I ta rabata świec,
Ta długa w kwiatach kołyska,
Umarły żołnierz – Moskale – i wiersze,
To było ze śmiercią i Polską
Moje poznanie pierwsze.
Nie zapomniałam nic.

Przypisy:

1) Stanisław S. Nicieja, *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*, Wrocław 1990, s. 241-242.

2) Stefan Kieniewicz, Andrzej Zahorski, Władysław Zajewski, *Trzy powstania narodowe*, Warszawa 1997, s. 174.

Bibliografia:

1. Nicieja Stanisław S., *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*, Wrocław 1990.

2. Nicieja Stanisław S., *Łyczaków. Dzielnica za Styksem*, Wrocław 1998.

3. Biogram Seweryna Goszczyńskiego w: *Polski Słownik Biograficzny*, T. VIII, Wrocław 1959-1960, s. 374-377.

4. Witkowska Alina, Przybylski Ryszard, *Romantyzm*, Warszawa 1997.

5. Polska. Jej dzieje i kultura. Od czasów najdawniejszych do chwili obecnej, T. 3, Kielce 1992 (reprint). □

również na niecodzienną okazję po zakończeniu części programu w Winnicy zwiedzenia słynnej i pięknej Zofiówki k. Humania (obw. czerkaski).

Gdy około północy wkroczyliśmy do hotelu „Południowy Bug” powiało chłodem ponieważ jak i we Lwowie w Winnicy nie włączono jeszcze centralnego ogrzewania. Kawiarnia hotelowa była już zamknięta. A więc, dzięki przeczności pani Marii Siwko – dyrektora Domu Polskiego z Kijowa i dowiezionych przez nią elektrycznych czajników mogliśmy poratować wszystkich współtowarzyszy podróży szklanką gorącej herbaty i kanapkami.

Ranek zajaśniał słońcem i czystym niebem, a trawniki były pokryte szronem.

Obchody 200. rocznicy urodzin Seweryna Goszczyńskiego rozpoczęła msza św. w intencji poety w kościele pw. Matki Boskiej Anielskiej, celebrowana przez o. Justyna Rusina. W wygłoszonym kazaniu wspomniano o twórczości i znaczeniu S. Goszczyńskiego dla literatury polskiej, o jego patriotycznej postawie w okresie powstania i działalności społecznej. Swoim kazaniem ksiądz zachęcał do dbania o piękno otaczającego nas świata.

Po śniadaniu w zimnej sali restauracyjnej udaliśmy się do gmachu Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego, gdzie w przestronnej i ciepłej sali miała odbywać się sesja popularno-naukowa.

Jako pierwszy wystąpił **Bogdan Siwakowski** – prezes Stowarzyszenia „Światlica Polska” w Winnicy, współorganizator Obchodów, wykładowca matematyki na Uniwersytecie. Powitał prelegentów i gości, życząc owocnych obrad.

W imieniu gospodarzy wystąpił prorektor Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego **Stanisław Podolanczuk**. W krótkim przemówieniu wspominał, że w 1912 r., założona jako mały zakład naukowy, obecna uczelnia posiada 9 wydziałów, 500 wykładowców, ponad 5000 studentów.

Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – **Emilia Chmielowa** podziękowała prorektorowi za wyrażenie zgody na przeprowadzenie sesji, za udział w niej również naukowców z uczelni i wyraziła nadzieję na przyszłą współpracę. Został przekazany na ręce prorektora portret Seweryna Goszczyńskiego, który wykonała na tę uroczystość Katarzyna Tkaczowa z Tarnopola (studentka I-go roku Akademii Drukarstwa we Lwowie).

Taisija Zarecka – prezydent Centrum Ukraińsko-Polskiego Studium z Kijowa, w swoim wystąpieniu nawiązała do spotkania marszałka J. Piłsudskiego i S. Petlury w Winnicy. Mówiła o obecnej współpracy pomiędzy polskimi kościołami i cerkwiemi, kontaktach ukraińsko-polskich, o tym, że działalności Centrum sprzyjał Jerzy Giedroyc. Centrum założono w 1999 r.

Prezes B. Siwakowski przedstawił S. Goszczyńskiego jako wielkiego patriotę polskiego, który dobrze rozumiał Ukrainę. Miał natomiast konflikty z Polakami z centralnej Polski, którzy nie rozumieli mentalności rodaków z Kresów. Wspominał o poecie Tomaszu Padurze, (pochowany w Koziatynie), który tworzył i działał w tym samym okresie co nasz poeta. Pan Siwakowski jest Polakiem, który nie wyobraża sobie siebie poza Ukrainą.

Helena Nowak z Kijowa przedstawiła S. Goszczyńskiego jako poetę, patriotę, działacza społecznego, opowiedziała o jego twórczości i drodze życiowej. Urodzony w Illincach k. Humania (1801) zmarł we Lwowie (1876), pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.

Wiktor Kosakowski z Uniwersytetu Pedagogicznego w Winnicy wygłosił odczyt o etnicznej strukturze powiatu winnickiego, który jest częścią Podola. Zamieszkuje tu wiele narodowości. Dużo jest tu pamiątek z okresu Rusi Kijowskiej, ślady po Turkach i Tatarach. Różne były losy Podola, obecnie społeczeństwo kultywuje stare i nowe tradycje, dużo jest małżeństw mieszanych, występuje połączenie religii w tych małżeństwach.

Profesor Katedry Ukraińskiej Literatury **Anatolij Podolannyj** opowiadał, że w słowniku „Znad bożej rzeki” (były już dwa wydania) dużo jest nazwisk znanych twórców z Podola, w tym powiatu winnickiego. Między innymi Iwan Chomenko, który jako pierwszy przetłumaczył Biblię na język ukraiński w połowie XIX wieku. Są tu też wymienieni Polacy: Goszczyński, Potocki, Słowacki, Iwaszkiewicz.

Aleksandra Łukjanenko – dyrektorka Biblioteki Języków Obcych we Lwowie opowiadała o dziełach S. Goszczyńskiego znajdujących się w bibliotece i o książkach jemu poświęconych. Wspominała, że ostatnie tłumaczenie „Zamku Kaniowskiego” przez Markijana Szaszkewycza pochodzi z 1836 roku. Obecnie ona przetłumaczyła fragmenty wierszy.

Roman Małowski – prezes Stowarzyszenia „Zgoda” w Kijowie wygłosił odczyt „Dzieła Seweryna Goszczyńskiego w bibliotekach Kijowa”. W 32 bibliotekach stolicy prawie nie ma utworów S. Goszczyńskiego. W prywatnych bibliotekach również. W niektórych są bibliograficzne dzieła poświęcone poecie, ale wydane są w latach 1860, 1904 i nie są dostępne dla zwykłych czytelników. W polskiej bibliotece w Kijowie nie wiedzą, kim jest S. Goszczyński, nie mają „Quo vadis” H. Sienkiewicza i na dodatek nie znają języka polskiego. Goszczyński jest w Kijowie prawie nieznany. Więc R. Małowski prosi, by zwrócić się do wydawnictwa językami mniejszości narodowych o dostarczenie dzieł S. Goszczyńskiego do Kijowa i nie tylko.

Larysa Bułanowa z Kijowa mówiła o wykładaniu literatury słowiańskiej w ukraińskich szkołach. Na przykład o A. Mickiewiczu w 9 klasie jest jedna lekcja i jego sonetach też jedna lekcja. W lekturach pozalekcyjnych (9 klasa) mówi się tylko o M. Reju, J. Kochanowskim, a w klasie 5 o M. Konopnickiej. Uważa, że w 10 klasie powinna być włączona lektura dzieł H. Sienkiewicza i B. Prusa. Sugeruje, żeby do nowych programów włączyć utwory polskich poetów i pisarzy, żeby były wydane materiały metodyczne.

Tematem **Ireny Kobernik** z Winnicy (doktorantka Kijowsko-Mohelańskiej Akademii) był „Zamek Kaniowski”. Uważa, że to najciekawszy utwór z epoki romantyzmu. Zamek zburzono po powstaniu 1863 r. W swoim poemacie Goszczyński wyraża współczucie Ukraińcom i ich losom. Pisał „Zamek Kaniowski” na podstawie faktów, wyrażając refleksje osobiste.

Sergiusz Tkaczow – zastępca redaktora naczelnego gazety „Podręczniki i materiały dydaktyczne” z Tarnopola podkreślił, że ukraiński pisarz i tłumacz Wołodymir Gnatiuk pisał o stosunkach polsko-ukraińskich w odniesieniu do T. Szewczenki, T. Padury i S. Goszczyńskiego. Wspomina o T. Padurze jako poecie (pochowany w Koziatynie), który nie znalazł się wśród klasyków literatury.

Natalia Łysenko – (Narodowa Akademia Nauk w Kijowie) opracowała temat „Jewhen Małaniuk i polska

Krystyna Angielska

Seweryn Goszczyński Uroczystości w Winnicy 26-28 października 2001 r.

Późnym popołudniem wyjechaliśmy autokarem ze Lwowa. Mieliśmy przed sobą długą drogę – 350 km do Winnicy, gdzie miały się odbyć uroczystości z okazji 200. rocznicy urodzin Seweryna Goszczyńskiego. Je-

chali jako główni organizatorzy przedstawiciele Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, prelegenci i goście ze Lwowa i Polski. Jechaliśmy wygodnie w dobrym nastroju, w oczekiwaniu

literatura". Poeta ten emigrował do Polski, potem do Czech i znowu wrócił do Polski. Wszedł w kręgi warszawskich poetów, zwłaszcza skamandrytów. Był to jedyny ukraiński poeta tworzący w Polsce. Jego babka była Polką, a matka wyszła za mąż za Polaka z Odessy. Umarł w Nowym Jorku, bywał często u J. Lechonia.

Dmytro Sapiha – dyrektor wydawnictwa „Kameniar” we Lwowie przywiózł wiele książek, wśród których dwujęzyczne wydania utworów wybitnych polskich poetów XIX i XX wieku, jak również dzieła w języku ukraińskim. Komunikował ciekawie o nowych planach wydawnictwa. Podarował przedstawicielom 20 stowarzyszeń polskich uczestniczących w sesji najnowsze wydania. Przekazał dla Uniwersytetu Pedagogicznego w Winnicy egzemplarze swojego wydawnictwa

Włodzimierz Osadczy z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Lublinie jest również członkiem Instytutu Badań Polonijnych i przedstawicielem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Opowiedział o pracy tej placówki naukowo-badawczej, o ciekawych aspektach badań, o nadsyłanych materiałach. Przekazał również książki z materiałami naukowymi swojej placówki.

Trzeba zaznaczyć, że prelekcje i dyskusje odbywały się w języku polskim i ukraińskim w zależności od narodowości prelegenta i tłumacz nie był zupełnie potrzebny.

Po zakończeniu obrad i obiedzie uczestnicy udali się do miejskiego teatru muzycznego, w którym odbył się występ **Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa** na czele z reżyserem **Zbigniewem Chrzanowskim** oraz koncert artystów z Charkowa. Teatr przedstawił „Dawny spór” wg M. Hemara o Goszczyńskim i Fredrze, który zawsze i wszędzie głęboko wzrusza widzów. Polski duet muzyczny z Charkowa **Irena i Eugeniusz Korzeniaszowie** wykonywali utwory muzyki klasycznej, a także pan Eugeniusz, wspinał się na różnych instrumentach zagrał wiązankę melodii z filmu „Va bank” J. Machulskiego i tą muzyką rogrzał publiczność siedzącą w ubraniach w zimnej sali teatru.

Piotr Stefaniak

Lwowskie ślady brata Alberta

Bodaj najpiękniejsza postać Polaka przełomu XIX i XX w., na pewno zaś jedna z wybitnych, której losy wiązały się także ze Lwowem – Adam Chmielowski, brat Albert – niewątpliwie warta jest przywołania na łamach „Semper Fidelis”.

Otóż Adam Chmielowski urodził się w podkarskiej Igołomi 20 sierpnia 1845 r., brat czynny udział w Powstaniu Styczniowym, w którym stracił nogę, następnie dał się poznać jako zdolny malarz epoki i przede wszystkim jako Ojciec Ubogich, założyciel dwóch franciszkańskich zgromadzeń – braci i siostr posługujących ubogim – zajmujących się osobami potrzebującymi pomocy i wsparcia. brat Albert zmarł w Krakowie 24 grudnia 1916 r., obecnie jako święty odbiera chwałę ołtarzy.

Adam Chmielowski odbywszy studia w Monachium i Paryżu, po podróży do Włoch, w 1879 r. osiada we Lwowie. Tam wspólnie z Leonem Wyczółkowskim zakłada atelier malarstwa. Właśnie

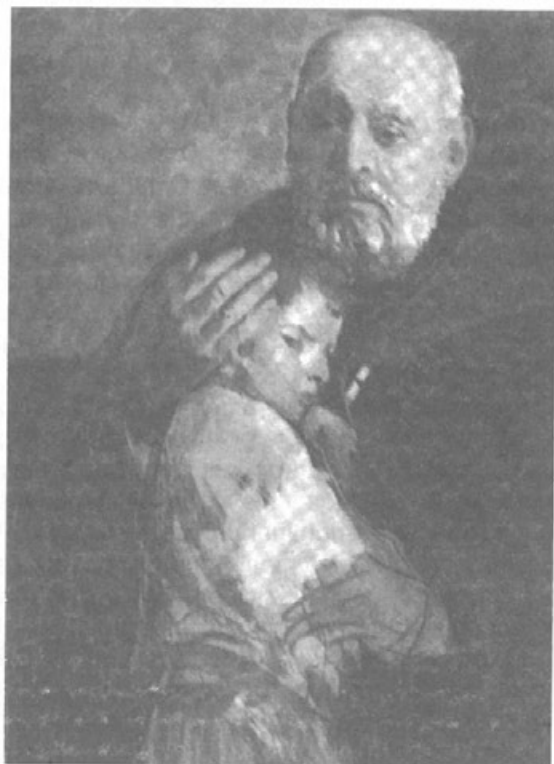
Następnego dnia przepełniony autobus, ponieważ dołączyło się dużo gości z obw. winnickiego, wioził nas do Humania. Po drodze **Antoni Sambor** (Studio Filmowe w Warszawie) pokazał nam na ekranie autobusowego telewizora najnowszy film „Bliscy a dalecy” (w reżyserii Anny Górnej, Aleksandra Zająca i Michała Tkaczuka) o stosunkach polsko-ukraińskich w przeciągu tysiąclecia, a szczególnie ostatnich 400 lat. Film bardzo ciekawy, mądry, obiektywny, potrzebny do zrozumienia naszych stosunków zwłaszcza teraz, w niepodległej Ukrainie.

W Humaniu zaopiekowała się nami prezes TKP **Czesława Maliszewska**, której od organizatorów wręczono portret Seweryna Goszczyńskiego. Następnie pojechaliśmy do Zofiówki – ogromnego (ponad 170 ha) i przepięknego parku, prezentu imieninowego hr. Szczęsnego Potockiego dla ukochanej żony Zofii. Zofiówka założona została w 1796 roku, a prace ukończono w 1802 roku. Park urządzony jest w stylu romantycznym z zastosowaniem greckiej i rzymskiej mitologii w budowie pawilonów, mostów, fontann. Autorem i wykonawcą był utalentowany Polak, inżynier wojskowy – Ludwik Metzel.

Po powstaniu listopadowym majątek Potockich został skonfiskowany, a w 1859 roku został przekazany Głównej Szkole Ogrodniczej. W 1929 roku Zofiówka została państwowym rezerwatem z własnym statutem. Od 1955 roku stanowi własność Akademii Nauk Ukrainy.

Piękne widoki, ponad sto rodzajów egzotycznych drzew i krzewów, kolorowe pawilony, jeziora i sadzawki z fontannami na długo pozostaną w pamięci zwiedzających.

Wracaliśmy do swych domów we Lwowie, w Kijowie, w Winnicy i w wielu pomniejszych miastach (łącznie ilość 20). Szczególnie cenne i ważne dla Polaków, zwłaszcza z małych miejscowości, była to duża dawka polskości, głębokich wzruszeń i serdecznych spotkań z rodakami z Ukrainy i Polski. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” – jeden ze sponsorów w/w sesji reprezentowała przemila pani **Krystyna Roniker** z Krakowa. □



Malował Leon Wyczółkowski

we Lwowie Chmielowski namalował obraz będący uwieńczeniem jego talentu, obraz bardzo sugestywny i najukochańszy dla twórcy. Chodzi tu o dzieło przechowywane obecnie w klasztorze SS. Albertynek w Krakowie i zatytułowane *Ecce Homo*.



W końcu roku 1879 Adam Chmielowski rozstał się na galerii grekokatolickiej cerkwi seminaryjnej Św. Ducha (dawny kościół św. Katarzyny ze Sieny, dominikanek klauzurowych) sztalugi. Tam, w świetle wielkich renesansowych okien pracował nad swym najsłynniejszym dziełem.

We Lwowie dusza artysty była zatopiona w melancholii, tak modnej wśród dziewiętnastowiecznej bohemy. Na płótnie wyczarowuje wtedy boginki leśne, bo *istotą sztuki jest dusza*. Nad Pętlwią doszło także do pierwszego – nie jedyne – *salta mortale*, wedle określenia Wyczółkowskiego i Chmielowski w 1880 wyjechałszy ze Lwowa wstępuje do jezuickiego nowicjatu w Starej Wsi. Jednak to nie jego droga: opuszcza jezuitów i wraca do Lwowa. Tam w 1881 r. podejmuje leczenie u dra Edwarda Sawickiego ze Szpitala Powszechnego. Ten okres był trudny dla Chmielowskiego; choroba postępowała i skończyła się kuracją w Państwowym Zakładzie dla Umysłowo Chorych na Kulparkowie. Nie była to jednak u Adama choroba psychiczna, tylko tzw. Ciemna Noc, znana z doświadczeń mistyki religijnej.

W szpitalu nie można więc było mu pomóc: stan beznadziejny, domagający się leczenia domowego. Ze Lwowa Chmielowski, który *okropnie wymizerował* wyjechał 22 stycznia 1882 r. do brata do Kurdyniec na Podolu i tam dochodzi do zupełnego zdrowia. Tam działa jako apostoł Podola z prelekcjami oraz maluje 10 obrazów i 13 akwarel. Na jesieni 1884 r. przybywa do Krakowa i tam,

mając 47 lat, przeżywa nowe *salto mortale*: zostaje bratem Albertem, dobrym jak chleb twórcą ogrzewalni miejskich dla bezdomnych i opiekunem wszelkiej nędzy ludzkiej.

Ta charyzmatyczna działalność brata Alberta i jego synów i córek dotarła i do Lwowa. Oto w 1881 r. burmistrz gminy miasta Lwowa prosi o zajęcie się tamtejszymi ubogimi. Umowa z miastem opiewa na 25 centów na osobę dziennie, opał, światło i inwentarz oraz budynek. Powstaje przytulisko kobiece we Lwowie przy ul. Zamkowej 12, dokąd brat Albert wysyła z Krakowa kilka siostr albertynek.

Sam brat Albert bywa we Lwowie, interesując się oboma przytuliskami prowadzonymi przez jego siostry i braci. Ponadto w dniach 7-9 lipca 1890 r. na wiecu katolickim we Lwowie wygłasza swój referat *Trzeci Zakon św. Franciszka*.

Zachowała się pewna ilość listów, które brat Albert słał do swoich zakonników do Lwowa. Na potrzeby artykułu skupimy się na trzech, wysłanych między 15 lutego 1914, a 10 grudnia 1915 r. z Krakowa do brata Bernarda Rafała Kowala (1864-1925), przełożonego zgromadzenia we Lwowie. Dają one wgląd, jak po ojcowsku brat Albert troszczy się o lwowskie przytuliska i ich potrzeby. Nieobce mu są problemy związane ze sprzedażą soli w sklepiu klasztornym, z którego dochody były przeznaczone na biednych. W liście z 1914 r. powiada, że każdy głodny ma dostać jeść, bezdomny schronienie, a nagi odzież. Należy pomóc każdemu, bo inaczej *przytuliska nie ma*. Porusza też sprawę handlu, którym trudnią się bracia wobec zakazu kwestowania, by całość zysku szła na potrzebujących. W piśmie z 10 grudnia 1915 podkreśla ubogie życie albertynów i albertynek: ... *chodzić w nędznym samodzielu boso i opasywać się powrozem, a w gębie nosić złoto, to jest bezwstyd i brak wszelkiej delikatności albo jakaś bezgraniczna ciemnota i głupota. A trzeba też wiedzieć, że fundusze, które mamy w ręku nie są naszą własnością, ale należą do ubogich i dla nich są nam dane*.

Dzieło brata Alberta, kontynuowane przez braci albertynów i siostry albertynki trwało i rozwijało się we Lwowie do 1945 r. przyczyniając się do złagodzenia losu osób, które znalazły się w trudnej życiowej sytuacji.

Współcześnie wielu osobom postać św. brata Alberta Adama Chmielowskiego kojarzy się z Krakowem i działalnością tam przez niego podejmowaną. Tymczasem Lwów znacznie hojniej i łaskawiej odpowiedział na charakter działalności brata Alberta. Warto więc, choć ledwie w zarysie, przybliżyć lwowskie epizody człowieka, który całe swe życie przeżył jako artysta, wirtuoz, najpierw pióra, potem serca, tak pojemnego, że do dziś jest w użyciu powiedzenie brata Alberta: bądź dobry jak chleb, a brat Albert właśnie był taki, tylko taki i aż taki, a Lwów..., Lwów niech będzie dumny, że gościł w swych murach kogoś takiego. □

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia w Lublinie w dniu 17 listopada 2001 r. pomnika-tablicy upamiętniającej pomordowanych w lipcu 1941 r. Polskich Profesorów Wyższych Uczelni Lwowa (fot. T. Rodziewicz)

O tragicznym losie Profesorów wyższych uczelni Lwowa my „lubelscy” lwowiacy wiedzieliśmy od lat. Oczywiście nie znaliśmy wszystkiego. W niewielkim stopniu znane nam były szczegóły i okoliczności dramatu, jaki rozegrał się w nocy z 3 na 4 jak i późniejszych dniach lipca 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Aż do czasu ukazania się książek poświęconych temu tematowi, autorstwa Zygmunta Alberta („Każń profesorów lwowskich, lipiec 1941”) i Barbary Winklowej („Boy we Lwowie”) wiedzę swoją opieraliśmy na przekazach własnych różnych osób. Ze Lwowa dochodziły do nas sporadyczne odgłosy, nie tyle o samej tragedii, ile o tym, że nie ma tam pomnika upamiętniającego dramat Profesorów, że miejsce zbrodni nie jest w jakikolwiek sposób oznaczone ani uświęcone, oraz, że panuje wszechobecna, przytłaczająca atmosfera milczenia (w perspektywie mająca doprowadzić do zapomnienia). Wszystkie te informacje, „odgłosy” rejestrowała nasza świadomość, ale też było to jakby uśpione w tej świadomości, jak wiele, wiele innych spraw, rzeczy i niedozwolonych informacji w tamtych latach.

Przyszły nowe czasy. Zaczęło się zmieniać u nas i wokół nas. W pewnym momencie podniosła się „żelazna kurtyna” i ruszyły wycieczki do „utraconego raju”, do miejsc utęsknionych i w poszukiwaniu najwspanialszych przeżytych chwil. Podróże uczyły, ale nie tylko. Również mogły być świadomą lub nieświadomą inspiracją do późniejszych działań, inicjatyw. Spotkało to niektórych z nas, gdy w dniu 30 września 1995 r. znaleźliśmy się na Wzgórzach Wuleckich w miejscu tragedii. Był tam już betonowy nagrobek z żelaznym krzyżem ustawionym przez Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie. Napis na tekturowej tablicy informował o tragedii, jaka tu się rozegrała. To wszystko. Na tyle tylko braciom Polakom pozwolono. Byliśmy wstrząśnięci i jakby świadomość dokonanej tu zbrodni dotarła do nas na nowo. Jednocześnie odczuwaliśmy poza smutkiem, bólem i żalem coś w rodzaju osobistego i narodowego poniżenia przede wszystkim z powodu niemalże fizycznie odczuwalnego zakazu właściwego, godnego upamiętnienia tego miejsca i Tych, którzy tu zginęli. Nie trzeba było nikomu tłumaczyć, wyjaśniać przyczyn tego niepisanego zakazu. To się wiedziało samo przez się. Właśnie wtedy w niektórych z nas zbudziła się inicjatywa do działania na rzecz należnego Profesorom upamiętnienia tu, we Lwowie, w ich miejscu. Zdawali sobie sprawę, że ani my sami, ani wspólnie z działającymi we Lwowie organizacjami polskimi nie uzyskamy pozytywnych odpowiedzi w tej sprawie od władz Lwowa i innych ośrodków decydenckich. Wobec tego rozpoczęliśmy poszukiwania sprzymierzeńców w kraju. Opracowaliśmy apel adresowany do najwyższych władz Rzeczypospolitej, a więc do Prezydenta, Sejmu i Senatu, Rządu, oraz takich organizacji, jak: Polskiej Akademii Nauk, Senatów Wyższych Uczelni, Wspólnoty Polskiej, aby poparły naszą ideę. Nasze próby zamieszczenia apelu w prasie lubelskiej nie powiodły się. Dopiero w dniu 13.08.1997 r. apel opu-

likowała „Gazeta Polska”. Apel nasz zatytułowany był „Kto upomni się o zamordowanych Profesorów Lwowskich”. Niestety nikt z adresatów apelu nie podjął. W takiej sytuacji inicjatywa nasza przygasła. Zajęliśmy się wieloma innymi sprawami, ale całkowicie o tym nie zapomnieliśmy.

Tłąca się pamięć, rozjaśniła się płomieniem, gdy w lutym br. na jednym z zebrań Zarządu Oddziału dr med. Helena Rodziewicz zaproponowała, abyśmy przejęli inicjatywę w swoje ręce i upamiętnili Profesorów w Lublinie, tu, gdzie możemy mieć realne na to szanse. Dodatkowym motywem w tej sprawie była zbliżająca się 60 rocznica dramatu.

W pierwotnym zamyśle formą tego upamiętnienia miała być skromna tablica z nazwiskami Profesorów, umieszczona w którymś z lubelskich kościołów, lub w jednej z wyższych uczelni Lublina. Poszukiwania i uzgodnienia dotyczące miejsca na tablicę, z różnych przyczyn, w tym i obiektywnych, trwały kilka miesięcy. W rezultacie dzięki przychylności Senatu Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i Jego Rektora prof. dr. hab. Mariana Harasimiuka, jako miejsce upamiętnienia Profesorów udostępniony został teren przed budynkiem Biblioteki Głównej UMCS. Decyzja w tej sprawie zapadła na posiedzeniu Senatu uczelni w końcu czerwca br. Wobec tego zasadniczej zmianie musiała ulec dotychczasowa koncepcja wyglądu tablicy. Należało opracować nowy projekt, dostosowując go do wyznaczonego miejsca i jego otoczenia. Nierealną stała się wcześniej planowana data odsłonięcia tablicy, wypadająca dokładnie w 60 rocznicę kaźni Profesorów, tj. 3 lub 4 VII 2001. Zasadniczym zmianom uległy dotychczasowe koncepcje organizacyjne, jak i scenariusz uroczystości. Uznaliśmy za konieczny i naturalny, formalny i współorganizacyjny udział społeczności akademickiej Lublina. Zaznaczyć trzeba, że np. prof. Roman Longchamps de Bérier, wykładał również na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w okresie międzywojennym, że wielu z kolegów i uczniów zamordowanych Profesorów w pierwszych latach powojennych organizowało lubelski ośrodek akademicki i czynnie uczestniczyło w jego działalności. Dokładnie jest to opisane w wydanej przez nasze Towarzystwo książce pt. „Lwowsko-Kresowe Korzenie Wyższych Uczelni Lublina”, Lublin 2000.

Projekt pomnika i jego usytuowanie oraz zagospodarowanie otoczenia wykonał mgr inż. Wacław Kondziola, członek Zarządu naszego Oddziału. Oto w skrócie opis wyglądu pomnika-tablicy. Na cokole z granitu, osadzony, wypolerowany blok granitowy (o nieregularnych konturach) w kolorze szarozielonym i wymiarach 2,10 m x 1,15 m, w ten blok wpuszczona i zamocowana płyta z czarnego granitu o wymiarach 1,30 m x 0,80 m. Na płycie wyrzeźbiony herb Lwowa i herb Uniwersytetu Jana Kazimierza, nazwiska Profesorów i w podpisie na dole – Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lublinie oraz Społeczność Akademicka Lublina. Wykonanie pomnika – tablicy

ciąg dalszy na str. 31



Warta honorowa



Pomnik – tablica



Wmurowanie aktu erekcyjnego i ziemi ze Wzgórz Wuleckich. Władysław Stążka i Andrzej Kaminski



Msza św. – biskup Ryszard Karpiński



Poświęcenie pomnika przez ks. biskupa Ryszarda Karpińskiego



Odśłonięcie pomnika. Od lewej: prof. Marian Wesołowski – rektor Akademii Rolniczej, płk Jerzy Gryz – szef WSW w Lublinie, dr Andrzej Przewoźnik – sekretarz ROPWiM, prof. Władysław Stążka – prezes Oddz. TMLiKPW w Lublinie, mgr Andrzej Kurowski – wojewoda lubelski



Mgr Andrzej Pruszkowski – prezydent miasta Lublina – składa wieniec



Andrzej Kaminski –prezes ZG TMLiKPW – wygłasza referat. W tle sztandar Oddz. Lubelskiego



Dr Andrzej Przewoźnik przemawia przed odsłonięciem pomnika



Chór „Echo” ze Lwowa

ciąg dalszy ze str. 26

powierzono artyście – rzeźbiarzowi z Bełżyc Witoldowi Marcewiczowi (wykonawcy w 1995 r. pomnika „Symbol Lwowa” w Lublinie). Wykonania fundamentu i urządzenia terenu dokonał społecznie lubelski Oddział S.C. „Mitex” z Kielc. Zawdzięczamy to panom: inż. Markowi Suwale z UMCS, który uruchomił działania w tym zakresie, inż. Jerzemu Marciniakowi, dyrektorowi O/Lublin S.C. „Mitex” oraz inż. Witoldowi Podlaszewskiemu – kierownikowi budowy. Jako termin odsłonięcia i poświęcenia tablicy-pomnika ustalono dzień 17 listopada 2001 r. Listopad, jak wiadomo „miesiąc lwowski” i corocznie przez nas uroczystość obchodzony.

Powołano następujący Komitet Organizacyjny:

Prof. dr hab. Władysław Stążka – prezes TMLiKPW O/w Lublinie
 Prof. dr hab. Tadeusz Radomański – wiceprezes TMLiKPW O/w Lublinie
 Dr med. Helena Rodziewicz – członek Zarządu TMLiKPW O/w Lublinie
 Dr wet. Kazimierz Rozmiłowski – członek Zarządu TMLiKPW O/w Lublinie
 Mgr inż. arch. Wacław Kondziola – członek Zarządu TMLiKPW O/w Lublinie
 Andrzej Michałowski – sekretarz Oddziału TMLiKPW O/w Lublinie
 Inż. Ewa Kwiatkowska – Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej
 Prof. dr hab. Agnieszka Kijewska – prorektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
 Prof. dr hab. Maria Dziuba – Akademia Medyczna w Lublinie
 Prof. dr hab. Barbara Nagórna-Stasiak – Akademia Rolnicza w Lublinie
 Prof. dr hab. Andrzej Wac-Włodarczyk – prorektor Politechniki Lubelskiej.

Oczywistym jest, że i pozostali członkowie naszego Zarządu z pełnym zaangażowaniem uczestniczyli w pracach przygotowawczych i organizacyjnych. Największym wkładem pracy wyróżnili się Stanisława Wojda, ppłk mgr Augustyn Kowalski, mgr Jerzy Patryn, mgr Henryk Zięba. Mecenat nad przygotowaniem i uroczystością objęło Kolegium Rektorów Wyższych Uczelni Lublina.

Patronat objął Andrzej Przewoźnik – Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Uczestnictwo w Komitecie Honorowym przyjęli:

J. E. ks. abp. prof. dr hab. Józef Życiński – Metropolita Lubelski
 Andrzej Kurowski – Wojewoda Lubelski
 Edward Hunek – Marszałek Województwa Lubelskiego
 Krzysztof Sawicki – Konsul Generalny RP we Lwowie
 Andrzej Pruszkowski – Prezydent m. Lublina
 Zbigniew Wojciechowski – Wiceprezydent m. Lublina
 Helena Pietraszkiewicz – Przewodnicząca Rady Miejskiej
 Prof. dr hab. Marian Harasimiuk – Rektor UMCS
 Ks. prof. dr hab. Andrzej Szostek – Rektor KUL
 Prof. dr hab. Maciej Latański – Rektor AM w Lublinie
 Prof. dr hab. Marian Wesołowski – Rektor AR w Lublinie
 Prof. dr hab. Kazimierz Szabelski – Rektor Politechniki Lubelskiej
 Dr med. Andrzej Kaminski – Prezes ZG TMLiKPW we Wrocławiu
 Ks. prałat dr Józef Kras – Kapelan Oddziału TMLiKPW w Lublinie
 Płk. dr Jerzy Gryz – Szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Lublinie
 Płk. dypl. Marian Kobielski – Dowódca III Brygady Zmechanizowanej Legionów im. Romualda Traugutta w Lublinie.

Nadszedł dzień 17 listopada (sobota) 2001 r. – uroczystość odsłonięcia i poświęcenia pomnika-tablicy pamięci pomordowanych polskich profesorów wyższych uczelni Lwowa, rozpoczęła się – Mszą Świętą koncelebrowaną w Kościele Akademickim KUL. Koncelebrze przewodniczył ks. biskup Ryszard Karpiński, a towarzyszyli Mu: ks. dr Józef Wolczański, ks. prałat dr Józef Kras –

kapelan naszego Oddziału, ks. kan. Aleksander Baca – niegdyś proboszcz w zaprzyjaźnionym z nami Urzędowie, ks. kan. mgr Marian Kozyra, ks. dr Marek Sapryga.

Msza Św. odbywała się z udziałem Chóru „Echo” ze Lwowa w asyście pocztów sztandarowych wyższych uczelni Lublina, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lublinie, Zespołu Szkół Ogólnokształcących Nr 4 w Lublinie im. Orłąt Lwowskich w Lublinie, organizacji kombatanckich, Kompanii Honorowej WP i orkiestry wojskowej.

Wśród wybitnych gości i dostojników obecni byli chyba najbardziej przez nas oczekiwani potomkowie Profesorów – Barbara Hamerska-Chrobak (córka prof. Edwarda Hamerskiego), prof. Tomasz Cieszyński (syn prof. Antoniego Cieszyńskiego), dr inż. Jan Longchamps, jedyny z ocalałych czterech synów profesora Romana Longchamps de Brier, Ewa Müller (wnuczka prof. Antoniego Cieszyńskiego).

Tuż przed rozpoczęciem mszy świętej wszystkich przybyłych przywitał prof. Władysław Stążka – prezes naszego Lubelskiego Oddziału. Homilię wygłosił Ks. prałat dr Józef Kras, nasz kapelan. Mszę zakończył Chór Echo pieśnią „Śliczna gwiazdo miasta Lwowa...”

Po mszy świętej jej uczestnicy przeszli przy dźwiękach marsza „W dzień deszczowy i ponury” pod pobliski budynek Biblioteki Głównej UMCS, gdzie przy pomniku-tablicy przepasanym szarfą o barwach narodowych, wartę honorową pełnili żołnierze WP i młodzież studencka. Przy pomniku zebrało się kilkaset osób.

Oprócz wcześniej wymienionych gości, stanowiących Komitet Honorowy przybyli również ze Lwowa: Emil Legowicz – prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Irena Masalska – redaktor „Gazety Lwowskiej”, Zygmunt Jurkowski – wiceprezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi. Natomiast UMCS reprezentowany był przez prorektora prof. dr hab. Ewę Skrzypek, prorektora prof. dr hab. Jerzego Horyńskiego i prorektora prof. dr hab. Zdzisława Targońskiego. KUL reprezentowany był przez prorektora prof. dr hab. Andrzeja Budzisz, Akademię Medyczną reprezentowali rektor prof. dr hab. Maciej Latański oraz prof. dr hab. Kazimierz Główniak. Akademię Rolniczą reprezentował rektor prof. dr hab. Marian Wesołowski, Politechnikę Lubelską prorektor prof. dr hab. Andrzej Wac-Włodarczyk. Przedstawiciele Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Polskiej przybyli ze swoim prezesem mgr. Leonem Popkiem, przedstawicielem Towarzystwa Grodna i Wilna przewodniczył prezes mgr Jan Kuźnicki, a była również p. mgr Krystyna Romer-Patrya, reprezentowała Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. Byli również przedstawiciele Oddziałów TMLiKPW z Brzegu, Rzeszowa, Gniezna, Kielc i Wałbrzyska oraz przedstawiciel Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Lwowskiej.

Ceremonia odsłonięcia i poświęcenia pomnika-tablicy miała bardzo uroczysty i podniosły przebieg. Splendoru jej dodała asysta Kompanii Honorowej Wojska Polskiego i orkiestry wojskowej. Ceremonię rozpoczęto odegraniem Hymnu Polskiego, a następnie dowódca Kompanii złożył meldunek pułkownikowi dr Jerzemu Gryzowi, Szefowi Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Lublinie. Przebiegiem ceremonii kierował wysłannicze i profesjonalnie mgr Józef Krzyżanowski – sekretarz Komitetu

Wojewódzkiego Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Szczególnie dramatycznie zabrzmiał przeprowadzony przez niego przy współudziale orkiestry wojskowej i zakończony salwą honorową Apel Poległych Profesorów.

Odsłonięcia pomnika – tablicy dokonali: prof. Władysław Stążka i dr Andrzej Przewoźnik w asyście: Andrzeja Kurowskiego – wojewody Lubelskiego, Edwarda Hunka – marszałka Województwa Lubelskiego, Mariana Wesołowskiego – Rektora AR, płk. Jerzego Gryza – Szefa WSW w Lublinie, Andrzeja Kamńskiego – prezesa ZG TMLiKPW we Wrocławiu.

Prof. Władysław Stążka odczytał akt erekcyjny, a następnie wspólnie z dr. Andrzejem Kamńskim dokonał jego wmurowania oraz wmurowania urny z ziemią z miejsca tragedii na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie, pobraną przez wiceprezidenta Lublina Zbigniewa Wojciechowskiego. Poświęcenia pomnika dokonał Ks. biskup Ryszard Karpiński. Przy pomniku przemówienie wygłosił Andrzej Przewoźnik – Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Kolejnym punktem uroczystości było składanie wieńców i kwiatów przy wtórze werbli orkiestry wojskowej. Ceremonię zakończyło odśpiewanie Roty wspólnie z Chórem „Echo”.

Uroczysta akademia odbyła się w auli Centrum Języka i Kultury Polskiej dla Polonii i Cudzoziemców UMCS. Rozpoczął ją prof. Andrzej Nikodymowicz, Marszem Żałobnym L. van Beethovena. Następnie referat zatytułowany „Dramat na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie” wygłosił Andrzej Kamński. Po referacie prof. Nikodemowicz odegrał Nokturn cis-mol F. Chopina.

Wielkie zainteresowanie i sporo emocji wzbudziły wystąpienia obecnych na akademii potomków Profesorów Lwowskich. Były to wspomnienia bardzo osobiste i bogate w szczegóły. Wspomnieniami podzielili się: prof. Tomasz Cieszyński, syn prof. Antoniego Cieszyńskiego, dr inż. Jan Longchamps syn prof. Romana Longchamps de Brier, Barbara Hamerska-Chrobak, córka prof. Edwarda Hamerskiego oraz Ewa Müller wnuczka prof. Antoniego Cieszyńskiego. Akademię uwieńczył gorąco oklaskiwany koncert Chóru „Echo” ze Lwowa, z jego dyrygentem Edwardem Kucem, który był równocześnie konferansjerem.

Z okazji odsłonięcia i poświęcenia pomnika-tablicy Profesorów Lwowskich opracowaliśmy Biuletyn okolicznościowy zatytułowany „60 rocznica mordu na polskich profesorach wyższych uczelni Lwowa”. Biuletyn został opracowany przez prof. Władysława Stążkę, mgr. inż. arch. Wacława Kondziolę i Andrzeja Michałowskiego. Nieodpłatne wydanie Biuletynu zawdzięczamy Pracowni Poligraficznej Akademii Rolniczej w Lublinie, po wyrażeniu zgody przez JM Rektora AR prof. dr. hab. Mariana Wesołowskiego. Biuletyn rozprowadzony został wśród uczestników uroczystości. Inicjatywie i staraniom pani dr Heleny Rodziewicz zawdzięczamy wykonanie odznaki-plakietki upamiętniającej 60 rocznicę kaźni Profesorów. Również w wyniku jej starań Rejonowy Urząd Poczty w Lublinie wydał kartę pocztową z okolicznościowym stemplem. Na karcie widnieje kolorowa reprodukcja zdjęcia z widokiem betonowego nagrobka i krzyża w miejscu Kaźni Profesorów, a stosowny napis informuje o tragedii, jaka miała miejsce na Wzgórzu Wuleckim. Informacje o zbliżającej się uroczystości, podawane przez miejscowe środki masowego przekazu wzbudziły

szerokie zainteresowanie wśród społeczeństwa Lublina. Dziennikarze radia i telewizji byli obecni podczas uroczystości i w swych programach informowali o jej przebiegu. Również w prasie ukazały się notatki i wywiady informujące o uroczystości.

Oczywistym jest, że jedynie własnymi siłami i skromnymi funduszami nie zapewnilibyśmy takiej organizacji i tak podniosłego, godnego przebiegu uroczystości, jak to miało miejsce.

Chcemy przede wszystkim podziękować wszystkim, którzy się do tego przyczynili. Szczególnie serdeczne podziękowania należą się panu dr. Andrzejowi Przewoźnikowi za objęcie patronatu nad całością naszego przedsięwzięcia, za obecność na uroczystości, co w znacznym stopniu potwierdziło wysoką jej rangę oraz za przyznanie znacznej dotacji na budowę pomnika, co umożliwiło podjęcie się organizacji uroczystości. Dziękujemy współorganizatorom, a więc władzom: Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Akademii Medycznej w Lublinie, Akademii Rolniczej w Lublinie, Politechniki Lubelskiej. Szczególnie serdecznie dziękujemy JM Rektorowi Akademii Rolniczej prof. dr. hab. Marianowi Wesołowskiemu za bardzo życzliwe podejście do wszelkich naszych problemów i potrzeb. Panu rektorowi Akademii Medycznej w Lublinie prof. dr. hab. Maciejowi Latałskiemu dziękujemy za wsparcie finansowe.

Serdeczne „Bóg zapłać” składamy Duchowieństwu za mszę świętą, błogosławieństwo i poświęcenie pomnika-tablicy.

Z całego serca dziękujemy Wojsku Polskiemu, lubelskim dowódcom: płk. dr. Jerzemu Gryzie i płk. dypl. Marianowi Kobielskiemu za wspaniałą patriotyczną postawę, nadanie podniosłej, wzruszającej oprawy uroczystościom.

Bardzo serdecznie dziękujemy Chórowi „Echo” ze Lwowa za oprawę muzyczną uroczystości, za jej uświetnienie swoją obecnością i za każdorazową dyspozycyjność na nasze prośby i potrzeby.

Nie mogę pominąć poświęcenia, zaangażowania włożonego ogromu pracy i serca, jakie okazał prof. Władysław Stążka – prezes naszego Oddziału. Wszystkie sprawy nadzorował osobiście, wydeptywał ścieżki u najroóżniejszych dostojników, prowadził pertraktacje i uzgodnienia, uporczywie, po wielokroć powracał do spraw-potrzeb, odrzuconych aż do pozytywnego skutku. Cały dosłownie swój czas poświęcał podjętej przez nas sprawie. Z ogromnym podziwem obserwowałem jego niewyczerpaną energię i gorącą miłość do naszej lwowskiej sprawy. Prof. Władysław Stążka przewodząc nam od dwunastu lat, swoją postawą w sposób najgodniejszy udowadnia codziennie swoją wierność Najukochańszemu Miastu. Potwierdza wierność ideałom, o które walczył Jego ojciec Eugeniusz i stryj Jan, broniąc Lwowa w 1918 roku. Stryj profesora był jednym z wielu, którzy polegli w tej obronie.

Podkreślam zaangażowanie nestora naszego Zarządu p. dr. Kazimierza Rozmiłowskiego, urodzonego w czasie walk o Lwów. Dzięki jego niewyczerpanym zdolnościom organizacyjnym, osobistym kontaktom i umiejętnościom scalania poszczególnych poczyniń, kojarzeniu oraz doskonałemu wyczuciu sytuacyjnemu, zawdzięczamy tak pozytywną realizację podjętego zadania.

Pomnik-tablica upamiętniająca Profesorów Lwowskich to już kolejny trwały ślad naszej, lwowiaków obecności w Lublinie. W latach poprzednich m.in. postawiliśmy pomnik „Symbol Lwowa” oraz doprowadziliśmy do nadania Zespołowi Szkół Ogólnokształcących Nr 4 w Lublinie imienia Orłąt Lwowskich.

Wszystkim naszym poczynaniom kieruje wierność Lwowowi, miastu najwierniejszemu. Stawiając pomnik-tablicę odczuwamy satysfakcję i zadowolenie, że mogliśmy oddać hołd pomordowanym Profesorom, i że działanie nasze nie pozwoli o Nich i o Ich tragedii zapomnieć.

W dniu następnym, tj. w niedzielę 18 listopada br. tradycyjnie jak co roku w ramach „Dni Lwowa w Lublinie” uczestniczyliśmy w Kościele Powiżytkowskim w mszy świętej odprawionej w intencji Obrońców Lwowa oraz lwowiaków i kresowiaków.

Stanisław Leszczyński

Franciszek Karpiński powrócił do Hołoskowa

Minęło 260 lat od 4 października 1741 roku – dnia urodzin wielkiego polskiego poety Franciszka Karpińskiego, syna Ziemi Pokuckiej. Poeta doby oświecenia, wybitny przedstawiciel kierunku literackiego nazwanego sentymentalizmem, niedoścignęły liryk-naturalista, który w prostych słowach potrafił wyrazić wszystko, co dzieje się w sercu człowieka, gdy przepełnione jest ono miłością do drugiej osoby, ziemi ojczystej i Boga.

Dlatego też jego poezja przetrwała ponad dwa i pół wieku i jest czytana i śpiewana przez rzesze ludzi do dnia dzisiejszego. Jego utwory religijne „Kiedy ranne wstają zorze”, „Wszystkie nasze dzienne sprawy” i kolęda „Bóg się rodzi” są tak popularne dzisiaj, jak były w chwili ich tworzenia. Bogactwo zaś myśli oraz ich serdeczność pozwoliły nadać Franciszkowi przydomek „poety serca”.

Żyjąc na terenach Rzeczypospolitej Trojga narodów mieszkających obok siebie przez wieki, wyniósł z rodzinnego domu cechy prawdziwie ludzkie, takie jak tolerancja, wzajemna pomoc sąsiedzka i dezaprobatą wszelkiej przemocy.

Głęboko religijny, potrafił w pełni przekazać elementy swojej wiary w sposób nie tylko jednoznaczny, ale równie przekonujący. Swoją głęboką patriotyzm uzewnętrznił w pięknej elegii „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta”, a swój stosunek do spraw społecznych określił we wzruszającym wierszu „Powrót z Warszawy na wieś”.

Wyrosły wśród prostego ludu ruskiego Polak-patriota Karpiński zachował przez całe swoje życie poszanowanie jego egzystencji i podziw dla jego wytrwałości w ciągłym odbudowywaniu zniszczeń po najazdach Tatarów, Turków czy Wołochów, co przyczyniło się również do uznania jego twórczości na równi z rodzimymi poetami takimi, jak Iwan Franko i Taras Szewchenko.

Dla uczczenia pamięci i osiągnięć Franciszka Karpińskiego Polacy zgrupowani w Towarzystwie Kultury Polskiej jego imienia, zamieszkujący dotychczas Pokucie, postanowili w porozumieniu ze

Wspaniałą, niezapomnianą homilię przepojoną duchem religijnym i patriotycznym wygłosił Ks. prałat Józef Kras nasz kapelan. Serdecznie z całego serca i duszy Mu dziękujemy. Bóg zapłać. Mszę świętą uświetnił Chór „Echo” ze Lwowa.

Po mszy świętej jej uczestnicy udali się wraz z pocztami sztandarowymi naszego Oddziału i Lubelskiej Szkoły „Orłąt Lwowskich” pod pomnik „Symbol Lwowa”. Po wystąpieniu prof. Stążki delegacja Oddziału w osobach profesorów: Gabriela Brzęka, Tadeusza Radomańskiego i Janusza Hanzlika złożyła wiązkę kwiatów. Zapalono znicze, a następnie wspólnie z Chórem „Echo” odśpiewaliśmy Rotę i Boże coś Polskę.

Sekretarz Oddziału Lubelskiego
Andrzej Michałowski



Hołosków k. Otyunii, woj. stanisławowskie (27 V 2001 r.).
Poświęcenie obelisku ku czci Fr. Karpińskiego

Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska” w Warszawie i Uniwersytetem Przykarpacim w Stanisławowie zorganizować uroczyste obchody 260. rocznicy urodzin poety. Inicjatywa została przychylnie przyjęta przez Ukrainę.

Koszty zamierzenia pokryło w całości Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

Zgodnie z ustalonym programem 27 października 2001 roku o godzinie 9.00 w kościele pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie została odprawiona uroczysta Msza św. w intencji Franciszka Karpińskiego i jego rodziny. Bardzo treściwe i wzruszające kazanie wygłosił koncelebrujący ks. Tadeusz Pater z Przemyśla.

W kościele zgromadziło się ponad 300 osób miejscowych i przybyłych gości z Polski i Ukrainy. Obecni przez całe nabożeństwo śpiewali nabożne pieśni, między innymi i napisane przez F. Karpińskiego, zastępując milczące organy.

Po Mszy św. złożono w bocznej nawie kościoła kwiaty i zapalono znicze pod tablicą upamiętniającą związek poety ze Stanisławowem.

Następnie obecni udali się do „Domu Kolejara”, gdzie w sali zebraniowej odbyła się polsko-

ukraińska sesja naukowa na temat twórczości Franciszka Karpińskiego.

Przedstawicielka organizatorów, prezes TKP im. F. Karpińskiego Wanda Siergiejewa, powitała serdecznie przybyłych przedstawicieli lokalnych władz ukraińskich oraz gości, którzy zjechali z różnych stron Polski i Ukrainy. Odczytała także listy gratulacyjne od prof. Ryszarda Brykowskiego, który nie mógł przybyć z powodu choroby oraz dr. Tomasza Chachulskiego. Zabierający kolejno głos przedstawiciele władz przekazywali słowa powitań i podziękowań za zorganizowanie tak miłego spotkania oraz wyrażali nadzieję, że osoba poety i jego twórczość będzie pomyślnie owocowała w dalszych stosunkach polsko-ukraińskich.

Zasadniczego referatu dr. Tomasza Chachulskiego z Instytutu Badań Literackich w Warszawie zebrani nie mogli wysłuchać z powodu niespodziewanej nieobecności referenta odwołanego nagle do innych ważnych spraw.

W odczytach wygłoszonych przez przedstawicieli Uniwersytetu Przykarpackiego doc. doc. Olgę Ciwkacz i Igora Kozłyka obecni na sesji zostali zapoznani z podstawowymi wartościami kulturowymi poezji Franciszka Karpińskiego oraz wątkami polsko-ukraińskimi w jego utworach, jak również zwrócono uwagę słuchaczy na wzajemne oddziaływanie tych wątków. Omówiono również przesłania poety zawarte w jedynej jego komedii „Czynsz”.

W części artystycznej wystąpił nowoutworzony chór przy TKP im. F. Karpińskiego, który rozpoczął sesję odśpiewaniem hymnu „Gaude Mater Polonia”, a następnie odśpiewał parę pieśni poety. W dalszej części wystąpił chór Uniwersytetu Przykarpackiego oraz młodzi amatorzy tej uczelni odegrali jeden z aktów wspomnianej poprzednio komedii.

Zebrani z pełnym aplauzem przyjęli występy artystyczne.

Na sprezentowanej wystawie pt. „F. Karpiński – życie, twórczość i publikacje” wszyscy obecni mogli zapoznać się naocznie z bogactwem twórczości poety. Wystawa została zorganizowana przez Muzeum Okręgowe z Sandomierza.

Po sesji, w trakcie przejazdu na obiad do hotelu „Ukraina”, zatrzymano się przy budynku byłego Kolegium Jezuickiego koło Kolegiaty Stanisławowskiej i złożono kwiaty pod tablicą upamiętniającą fakt pobierania tam nauk przez F. Karpińskiego. Przy okazji goście wysłuchali opowieści o historii Kolegiaty wygłoszonej przez p. Władysława, członka TKP.

Po obiedzie wszyscy goście udali się ok. 15.00 autokarami do Hołoskowa (ok. 10 km za Otynią) na dalszy ciąg uroczystości.

Po wyjściu z pojazdów stwierdziliśmy, że na wygórowanej łące oczekuje nas ok. 300 osób przybyłych z okolicznych wsi z przedstawicielami gminnych i rejonowych władz na czele.

Przedstawicielka wsi Hołosków, rodzinnej miejscowości poety, w ciepłych słowach powitała go-

ści przybyłych z Polski wręczając im chleb i sól. W krótkim przemówieniu zaznaczyła, że stoimy na terenie byłej posiadłości rodziców F. Karpińskiego, czego dowodem jest jeden z trzech dębów, pod którymi siadywał poeta rozmyślając lub tworząc swoje dzieła.

Na najbardziej wyniesionym miejscu łąki został ustawiony na trwałym fundamencie wyniosły głaz nieociosany z zamocowaną metalową tablicą upamiętniającą fakt uhonorowania miejsca urodzenia wielkiego poety przez społeczeństwo Polski i Ukrainy. Pomnik ten został odsłonięty przez przedstawiciela Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Stanisława Leszczyńskiego z Warszawy w asyście prezesa TKP im. F. Karpińskiego Wandy Siergiejowej oraz przewodniczącej Rady wsi Hołosków.

Po odsłonięciu pomnika odmówili przy nim modły w intencji rodziny Karpińskich kapłani trzech obrządków: rzymsko-katolickiego, greko-katolickiego i cerkwi prawosławnej autokefalicznej. Następnie wszyscy kolejno poświęcili pomnik święconą wodą z jednego naczynia. Był to niejako symbol jedności duchowej, w której polecono pomnik opiece wszystkich mieszkańców Hołoskowa i okolic.

W oficjalnym przemówieniu polskiego konsula ze Lwowa zebrani usłyszeli słowa wdzięczności dla organizatorów za ten dowód czci dla poety Pokucia i apel, aby przesłania zawarte w jego utworach przyczyniły się do stałego polepszania się kontaktów polsko-ukraińskich. W podobnym duchu przemawiali przedstawiciele ukraińskich władz wojewódzkich i rejonowych.

Po części oficjalnej rozpoczęła się prezentacja programu artystycznego, w którym wystąpiły chóry z Kołomyi i ze Stanisławowa oraz Uniwersytetu Przykarpackiego. Wystąpił również zespół młodzieżowy z regionalnymi tańcami oraz fragmentem sielanki „Laura i Filon”. Występy były wykonywane na przemian w językach polskim i ukraińskim.

Po ich zakończeniu serdeczne rozmowy pomiędzy zgromadzonymi trwały aż do zmroku. Przed odjazdem obecni odśpiewali razem pieśń wieczorną poety „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

Uczestnicy uroczystości powrócili do Stanisławowa na godzinę 19.00, gdzie w hotelu „Ukraina” przygotowano dla nich kolację pożegnalną. Impreza ta charakteryzująca się zawieraniem znajomości i miłymi rozmowami zakończyła się wspólnym śpiewaniem znanych obu nacji pieśni. W dobrych nastrojach udano się na spoczynek.

Następnego dnia po śniadaniu wszyscy, którzy dysponowali czasem, udali się na 2-godzinne zwiedzenie centrum Stanisławowa. Przewodniczką była p. Ala z TKP.

Oceniając opisane uroczystości należy stwierdzić, że były one należycie przygotowane i przebiegały zgodnie z założonym programem. Powaga i wysoki poziom imprez dobrze przysłużył się społeczności polskiej żyjącej na Pokuciu oraz podniósł prestiż Polski wśród zamieszkujących tam Ukraińców. □

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW

Kolonia letnia w Sulistrowiczkach k. Sobótki dla dzieci polskich z Ukrainy (4-22 VI 2001 r.)

W dniach od 4 do 22 czerwca 2001 r. w Sulistrowiczkach k. Sobótki, w budynku „Caritas” Archidiecezji Wrocławskiej odbyła się kolonia letnia dla 45 dzieci polskich z Ukrainy, w tym z takich miejscowości jak: Sąsiadowice k. Sambora, z Sambora, z Kołomyi, z Ceniawy i ze Lwowa.

Organizatorem kolonii był Oddział Wrocławski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wraz z Oddziałem Miłośników Kołomyi „Pokucie” we Wrocławiu.

Myśl o zorganizowaniu takiej formy wypoczynku dla dzieci z Kresów nie była nowa, w latach poprzednich były już udane próby kolonijne, ale dzieci pochodziły zwykle z jednej miejscowości. W tym roku kolonia była jednak szersza, bo zgromadziła dzieci z kilku miejscowości. Było więc 16 osób z Sąsiadowic, 4 dzieci z Sambora, 9 dzieci z Kołomyi, jedno z Ceniawy k/Kołomyi oraz 15 dzieci z polskiej grupy przedszkolnej ze Lwowa (słynne „Mikrusy” – znane z Festiwalu w Mrągowie). Wszystkie te dzieci (oprócz lwowskich) należało odebrać na granicy, zorganizować transport kolejowy od Przemyśla do Wrocławia i potem autobusowy do Sulistrowiczek. Była pewna obawa, czy uda się sprawnie wszystkie grupy wyłowić z tłumu ludzi w Przemyśle i ulokować w wyznaczonym pociągu. Delegowano w tym celu specjalnego wysłannika do Przemyśla (kol. Z. Berling), którego zadaniem było odszukanie poszczególnych grup i po ulokowaniu w wagonie zapewnienie im opieki podczas podróży do miejsca przeznaczenia. Wszystko przebiegło sprawnie i udanie.

Równolegle z dziećmi z Kresów, przez 6 dni przebywały w Sulistrowiczkach także dzieci z Wrocławia (16 osób) oraz przez kilka dni kilkanaścioro dzieci w różnym wieku – wraz ze swoimi rodzicami instruktorami harcerskimi. Wszystko to w celu zapewnienia kontaktów z rówieśnikami polskimi, dla ćwiczenia mowy polskiej i wspólnej zabawy.

Ośrodek „Caritas” w Sulistrowiczkach, niedawno oddany do użytku po kapitalnym remoncie – stwarzał dobre warunki pobytu i wypoczynku. Położony u podnóża Ślęży, niedaleko Wrocławia pozwalał na odwiedziny znajomych i krewnych. Kilkoro dzieci było zapraszanych do domów swoich rodzin – miały miejsce także liczne odwiedziny na miejscu, z obdarowywaniem upominkami i słodyczami. Byli więc p.p. Budzianowscy z Wałbrzycha, p. Tarkowska z Oławy, p.p. Krupskie z Wrocławia, p. G. Jarosz i p. J. Kowalczyk z Kątów Wrocław., p. K. Piwodka z Ząbkowic Śl. Byli też i inni, którzy na telefoniczne wiadomości od rodziców z Ukrainy składali wizyty i obdarowywali upominkami. Po kilku dniach pobytu i poznaniu miejscowych warunków, dzieci szybko nauczyły się korzystać z automatów telefonicznych i wydzwaniały do swoich domów na Ukrainie lub do krewnych na terenie Polski.

Było widoczne, iż wielu ludzi z Kresów było zainteresowanych dziećmi na kolonii i gotowych do niesienia pomocy w różnej postaci. Np. z Kłodzka telefonowali dwukrotnie p.p. Pokrywkiwie – rodem z Kołomyi – i



Kolonia letnia dzieci polskich z Ukrainy w Sulistrowiczkach – wycieczka na Ślężę

gorąco zapraszali do siebie, gdy będziemy jechali na wycieczkę do Kotliny Kłodzkiej. Niektórzy – jeśli już sami nie mogli przyjechać do Sulistrowiczek, to zgłaszali się we Wrocławiu do członków Zarządu i przez nich przekazywali swoje dary. W ten sposób dotarło wiele drobnych upominków, części odzieży, książek, przyborów szkolnych, a nawet datków pieniężnych.

Kolonia przeżyła też liczne wizyty przedstawicieli Telewizji, Radia i dziennikarzy, a także niektórych darczyńców m. in. Światowego Związku Armii Krajowej. Wszyscy wykazywali duże zainteresowanie dziećmi z Ukrainy, a one znosiły to całkiem dobrze (lepiej niż dorośli).

Z każdą grupą dzieci przyjechali też opiekunowie. Z Sąsiadowic – nauczyciel tamtejszej szkoły polskiej p. Walerian Kotla i wychowawczyni p. Halina Czyrzwicz, oboje młodzi i pełni zapału do pracy. Z Kołomyi przybyli: siostra urszulanka p. Cecylia Witek – katechetka oraz p. Stanisława Kolusenko – lekarz i od kilku miesięcy prezes Towarzystwa Kultury Polskiej w Kołomyi. Stanowiło to duże wzmocnienie kadrowe, a ponadto posiadanie własnego lekarza na kolonii nie było bez znaczenia. Osobą wielce użyteczną okazała się siostra Cecylia, utalentowana nauczycielka (pracowała kiedyś w Liceum Urszulanek we Wrocławiu), świetna organizatorka wielu zajęć świetlicowych i terenowych, z dużym doświadczeniem turystycznym – oraz instruktorka życia duchowego i religijnego.

Organizatorzy kolonii zatrudnili dodatkowo nauczycielkę z Wrocławia dla prowadzenia zajęć z języka polskiego, historii i geografii. Do Sulistrowiczek na kilka dni przybyli instruktorzy harcerscy (ZHR), którzy postanowili społecznie poprowadzić zajęcia z dziećmi, głównie w zakresie nauki piosenek polskich oraz poprowadzenia zabaw i gier terenowych. Przy ognisku, z towarzyszeniem gitary, gromadka kolonistów szybko przyswajała sobie nowe piosenki – zwłaszcza, że wiele tekstów harcerki przywoziły ze sobą już odbite na ksero i rozda-

ły uczestnikom. Zapewniono również możliwość korzystania z programu telewizyjnego i filmów na wideo. Wypożyczono ze Szkoły w Sobótce kasety z filmami historycznymi, a z Wrocławia przywieziono 10 kaset z innymi filmami i bajkami. Organizowano też ogniska z pieczeniem kiełbasek i dyskoteki. Były także rozgrywki w piłkę nożną z miejscową młodzieżą.

Podczas trwania kolonii zorganizowano kilka wycieczek: na szczyt góry Ślęży, całodzienną do Kotliny Kłodzkiej (z odwiedzinami u p.p. Pokrywków w Kłodzku, którzy obdarowali wszystkich upominkami i pewną kwotą pieniężną) oraz dwukrotnie do Wrocławia – ze zwiedzaniem ZOO, Ostrowia Tumskiego, Starówki Wrocławskiej, Panoramy Racławickiej i supermarketu Korona. Dzieci brały udział w życiu religijnym Sulistrowiczek, uczestniczyły w większości Mszy św. oraz w uroczystej procesji Bożego Ciała. Wśród uczestników kolonii było kilku ministrantów (z Kołomyi), dziewczynki umiały czytać naukę z Pisma św., a wszyscy ładnie śpiewali, czym bardzo ucieszyli i ujęli księdza Ryszarda Stasza – miejscowego proboszcza.

Na drugi dzień po przyjeździe wszystkim uczestnikom kolonii wypłacono tzw. kieszonkowe – dzieciom po 30 zł., a opiekunom po 100 zł. Była z tego powodu wielka radość i chęć niezwłocznego odwiedzenia miejscowego sklepu wiejskiego. Jednak dopiero podczas wycieczki do Kotliny Kłodzkiej uwidoczniły się w pełni dziecięce pragnienia. Przy każdym napotkanym sklepie lub kiosku z pamiątkami nasze dzieci przystawały i nie mogły oderwać wzroku od eksponowanych drobiazgów. Wiele dzieci nie mogło oprzeć się pokusie i kupowało rzeczy, często bezwartościowe, ale dla nich ważne, bo kupione w Polsce. Podobnie było podczas wycieczki we Wrocławiu.

Dzięki inicjatywie i znajomościom p. Tarkowskiej (z Olawy) udało się wykonać nieodpłatnie skomplikowane badania w Klinice Endokrynologicznej dla dziewczynki Tatiany Polak z Kołomyi. W ciągu kilku dni uzyskała ona wyniki, na podstawie których będzie mogła podjąć dalsze leczenie u siebie w domu. Różnymi sposobami, korzystając z pomocy zaprzyjaźnionych osób, udało się również zdobyć trochę leków, które pojechały na Ukrainę.

Pod koniec pobytu na kolonii dzieci zostały obdarowane – wcześniej zgromadzonymi – upominkami w postaci: plecaków, piątek do gry w nożną i siatkową, kompletami do badmintonu, koszulkami i bluzkami oraz część osób – obuwiem sportowym (adidasami). Było też wiele darów z odzieży (spodnie, swetry, buty, kurtki, nawet kożuszek dziewczęcy). Dzieci otrzymały wiele nowych książek szkolnych, trochę zeszytów, długopisy, flamastry oraz środki czystości (mydła toaletowe, proszki do prania, płyny do kąpieli). Wszystko to z darów uzyskanych od darczyńców, w tym od najhojniejszego – TESCO – w Bielaniech pod Wrocławiem.

Krystyna Karbownik

Sprawozdanie z realizacji warsztatów artystycznych dla dzieci polskich z Ukrainy, organizowanych przez Oddział Wrocławski TMLiKPW (15-22 VI 01)

W warsztatach artystycznych wzięło udział 15 dzieci w wieku przedszkolnym z polskiej grupy Przedszkola ukraińskiego we Lwowie oraz 16 dzieci z Niepublicznego Zespołu Edukacyjnego „Alis” z Wrocławia (ul. Orle 3). Wraz z dziećmi ze Lwowa przybyły też dwie nauczycielki



Kolonia letnia w Sulistrowiczach k. Sobótki organizowana przez Oddział TMLiKPW we Wrocławiu – grupa dzieci zwiedza Rezerwat Archeologiczny w Będkowiecu

W ogóle cała kolonia była możliwa tylko dzięki dobrej woli wielu ludzi. Darczyńcami byli nie tylko przedstawiciele wielkich firm i instytucji, ale i zwykli ludzie, którzy na ten cel ofiarowali swoje często niewielkie kwoty. Gromadzeniem środków na kolonię zajmowaliśmy się już od jesieni. Zbierano nawet małe datki od członków w obydwu Oddziałach: Wrocławskim TMLiKPW oraz Oddziale Kołomyjskim „Pokucie”. Wystosowano pisemne prośby do kilkudziesięciu firm i instytucji, a także banków. Rezultaty nie były rewelacyjne, odezwało się niewielu, mniej niż w latach poprzednich. Najgorzej, że zawiedli ci, na których najbardziej liczyliśmy (np. Wspólnota Polska z Warszawy). Ale znaleźli się za to inni, których nie braliśmy pod uwagę np. Światowy Związek Armii Krajowej we Wrocławiu, który zasilił nasze konto kolonijne pokaźną kwotą, przekazując na ten cel 13.000,- zł. Niezawodnym sponsorem okazała się też Elektrociepłownia we Wrocławiu oraz Kuratorium Oświaty. Zbierając uporczywie grosz do grosza, zgromadziliśmy pewną minimalną kwotę, dzięki której można było uruchomić kolonię i zapewnić jej skromne finansowanie.

Uczestnicy kolonii – dzieci i opiekunowie byli bardzo zadowoleni z pobytu w Ojczystym Kraju i wyrażali gorącą nadzieję na powtórzenie tej formy wypoczynku w następnym roku. Gdy wsiadaliśmy do pociągu – tym razem z dużą ilością bagażu, który z trudem mieścił się na półkach wagonu – przy pożegnaniu wszyscy czuli ogromne wzruszenie i mieli łzy w oczach.

Mamy cichą nadzieję, że przy pomocy ludzi dobrej woli uda się spełnić marzenia tych dzieci i znów zorganizować kolejną kolonię w przyszłym roku.

Kierownik kolonii
Zbigniew Berling

Wrocław, dnia 22. 06. 2001 r.

ki przedszkolne wraz z nauczycielką-instruktorką muzyki i śpiewu.

Dzieci przedszkolne ze Lwowa reprezentowały zespół artystyczny „Mikrusy” – ubiegłorocznego laureata Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie, a dzieci wrocław-

skie były z zespołu „Orliki”. Zajęcia z dziećmi prowadziły instruktorki zespołu „Orliki”, które przygotowały wspólny program artystyczny na obchody tegorocznej – 208 rocznicy urodzin Aleksandra Fredry, które to uroczystości miały miejsce w sali Ratuszowej w dniu 20. 06. 2001 r.

Między instruktorami następowała również wymiana doświadczeń na temat pracy z dziećmi przedszkolnymi, szczególnie w zakresie tworzenia programów w języku polskim.

Warsztaty odbywały się w okresie 15-22. 06. 2001 r. w Ośrodku „Caritas” Archidiecezji Wrocławskiej w Sulistrowiczach k/Sobótki. W programie dzieci miały wszechstronne zajęcia wokalnemu-muzyczne, ćwiczenia śpiewu piosenek polskich o tematyce lwowskiej oraz współczesne piosenki dziecięco-młodzieżowe. Podczas zajęć zwracano uwagę na doskonalenie i wzbogacenie słownictwa polskiego oraz umiejętności swobodnego wypowiedziania się w polskim języku. Sprzyjały temu liczne kontakty rówieśnicze z dziećmi polskimi, o które organizatorzy bardzo zabiegali.

Helena Wiewiórska

Kresowianie na Obczyźnie i w Ojczyźnie

Kochani Kresowianie – Osadnicy, Sybiracy, „Afrykańczycy”.

Miesiąc wrzesień tego roku obfitował w wiele ważnych dla Kresowian uroczystości. W dniach 1-2 IX odbył się w Warszawie Trzeci Światowy Zjazd Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich, zorganizowany przez Stowarzyszenie Rodzin Osadników Kresowych II Rzeczypospolitej.

Okolo 12000 osadników wojskowych i liczne ich rodziny ciężką pracą i poświęceniem oraz aktywną działalnością w różnych dziedzinach życia w bardzo trudnych warunkach budowało nową, lepszą jakość życia na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Wszystko to przekreśliła najpierw hitlerowska agresja, a potem zdradziecka napaść Związku Radzieckiego na Polskę 17 IX 1939 r. Od unicestwienia osadnictwa upłynęło 62 lata, a Stowarzyszenie borykając się z ogromnymi trudnościami wydaje kwartalnik „Kresowe Stanice”, wykorzystując relacje osadników, dokumentuje i publikuje wydawnictwa książkowe, stara się ratować od zapomnienia ten wycinek naszej historii. Cel ten przyświeca również organizowanym co 2 lata zjazdom. Bogaty program ostatniego – III Zjazdu, w którego realizację wiele starań włożył Prezes Stowarzyszenia pan Jerzy Szymański i Komitet Organizacyjny Zjazdu, zawierał prócz oficjalnej części 9 programowych referatów poświęconych tematyce osadniczej, występy chóru Sybiraków z Łodzi pod dyktando prof. Elsnery, uroczystą mszę świętą w Katedrze Polowej gdzie piękne pieśni patriotyczne wykonywał chór AK – „Nowogródzkie Orły”, złożenie kwiatów pod pamiątkową tablicą osadniczą, złożenie wieńców przy Grobie Nieznanego Żołnierza i wpis do księgi pamiątkowej, złożenie wianka pod pomnikiem Sybiraków na ulicy Muranowskiej, zwiedzenie izby prywatnych pamiątek po Marszałku Józefie Piłsudskim w Belwedrze i wystawy w Muzeum Niepodległości.

Spotkania po latach, a zwłaszcza po wielu dziesiątkach lat, są wzruszające szczególnie w pamięci o Tych, którzy zostali na zawsze na nieludzkiej ziemi po zsyłkach osadników 10 II 1940 r. – pierwszej pamiętnej deportacji.

Dzieci ze Lwowa przygotowały własny program i dały koncert uczestnikom kolonii w Sulistrowiczach oraz rodzicom i dzieciom wrocławskim w placówce przy ul. Orle 3.

Podczas pobytu w Polsce dzieci ze Lwowa dwukrotnie zwiedzały miasto Wrocław oraz brały udział w zajęciach artystycznych w Niepublicznym Zespole Edukacyjnym „Alis”.

Pobyt dzieci lwowskich w naszym Kraju oraz ich przyjazd został opłacony z funduszy otrzymanych z Gminy Wrocław oraz ze środków uzyskanych od sponsorów, w tym również od Zespołu Elektrociepłowni Wrocławskich – Kogeneracja SA (ul. Łowiecka 24). Natomiast koszty pobytu dzieci polskich w Sulistrowiczach opłacili rodzice.

Warsztaty artystyczne cieszyły się dużym uznaniem opiekunów i nauczycieli towarzyszących dzieciom. Program ten został w pełni i z nawiązką zrealizowany – dzięki dużemu wkładowi pracy osób w to zaangażowanych oraz wielkiej życzliwości i dobrej woli wielu ludzi włączających się na rzecz pomocy dzieciom z Kresów Wschodnich.



Prezes Maria Dutkiewicz ogląda kronikę pisaną w jej osiedlu Masindi – przywiezioną przez Wandę Jaroć z Anglii. Spotkanie w kawiarni.



Osadnicy-Afrykańczycy na wystawie „Nasze Osady” oglądają kronikę pisaną w Osiedlu Masindi. Stoją od lewej: Wanda Jaroć z Anglii, Walenty Świdorski, Ala Łazarska z kroniką, Teresa Więclawska i autorka artykułu. Z tyłu Tadeusz Matusiak, który ochrania kronikę

Na Wystawie „Nasze Ziemie, nasze osady” wielką atrakcją była kronika pisana w osiedlu afrykańskim Masindi, gdzie los rzucił również osadników kresowych. Kronikę tę przywiozła z Anglii p. Wanda Jaroć – była nauczycielka języka polskiego w Cambridge.

Miałam okazję i przyjemność rozmawiać z uczestnikami zjazdu i wysłuchać ich wzruszających wspomnień z dzieciństwa, które pomimo upływu lat są ciągle żywe.



Teresa Smolska-Więclawska przy pomniku Sybiraków na ul. Muranowskiej – Warszawa 02. 09. 2001 r.

Pani Teresa Smolska-Więclawska zamieszkała obecnie w Gdańsku opowiada mi historię swojej rodziny i tulaczą drogę po wywóźce 10 II 1940 r. z rodzinnej Soszyny koło Pińska. Kiedy słucha się jak straszne przeżycia miała 6-ściolatek wówczas dziewczynka, kiedy w czasie transportu umiera z wycieńczenia na jej kolanach ojciec, gdy matka szukając żywności opuszcza wraz z innymi zesłańcami transport, a nieludzki maszynista kolejowy zostawia ich na stepie, nie ma właściwych słów na skomentowanie tak straszliwych przeżyć dziecka. Oglądam zaświadczenie potwierdzające zgon ojca pani Teresy wystawione na podstawie zeznań świadków, którzy jechali tym samym pociągami, wystawione w osiedlu Koja w Ugandzie, gdzie Pani Teresa znalazła się ostatecznie z matką. Zaświadczenie podpisane przez Proboszcza Duszpasterstwa Koi w Ugandzie ks. Stefana Myszkowskiego z pieczęcią okrągłą Duszpasterstwa Katolickiego w w/w osiedlu.

Ze wzruszeniem słucham opowiadania o swojej rodzinie p. Rozalii Bieleckiej mieszkającej we Lwowie. Przyjazd do Warszawy i uczestnictwo w Zjeździe to dla niej duże przeżycie. Pani Rozalia pracuje w przedszkolu we Lwowie, gdzie jest grupa polskich dzieci. Pracują tam również polskie siostry zakonne, które uczą dzieci religii, dzieci modlą się po polsku przed i po posiłkach, śpiewają pieśni po polsku. Pani Rozalia podtrzymuje polskie tradycje w swoim domu. Córka ukończyła polską szkołę we Lwowie, gdzie poziom nauczania jest wysoki i córka bez trudu dostała się do szkoły wyższej. Wnuki pani Rozalii chodzą również do polskiej szkoły



Rozalia Bielecka ze Lwowa przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Warszawa, 2 IX 2001 r.

mała kiedy ich deportowano aby pamiętać. Zabrali grudek ojczystej ziemi do Nowego Yorku...



Grupa osadników na placu przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Krystyna Nalezińska z Nowego Yorku z egzemplarzem „Semper Fidelis” w ręku. Warszawa 2 IX 2001 r.

Rozmawiam z uczestnikiem Zjazdu i czytam wspomnienia 70-letniego Sybiraka p. Walentego Świdarskiego zamieszkałego obecnie w Krakowie. To krew mrozące opowiadanie – zadziwia, że człowiek może wytrzymać tak wiele. Pan Świdarski jest również uczestnikiem Zjazdu „Afrykańczyków” we Wrocławiu, bo do Afryki jak wielu osadników kresowych zawiodły go jego tulacze drogi. Na VIII Zjeździe „Afrykańczyków”, który odbył się w dniach 7-9 IX br. we Wrocławiu, spotykam wielu już znajomych ze Zjazdu w Warszawie osadników. VIII Zjazd „Afrykańczyków” zorganizowany jak zawsze przez Towarzystwo – Klub pod Baobabem. Powstało we Wrocławiu w 1989 r. dzięki inicjatywie i ogromnemu zaangażowaniu Prezesa Towarzystwa Pani Marii Dutkiewicz bylejk „Afrykanki” z osiedla Masindi i ludzi podobnie myślących i w dzieło to zaangażowanych. Klub pod Baobabem skupia zesłańców na Sybir, którzy wraz z Armią Andersa opuścili ZSRR, a następnie znaleźli schronienie w osiedlach afrykańskich w angielskich koloniach. VIII Zjazd Afrykańczyków tego roku ze starym opracowanym programem, prócz części oficjalnej

Nr 24 im. Marii Kopnickiej we Lwowie.

Pani Krystyna Nalezińska z Nowego Yorku odwiedziła wraz z bratem przed Zjazdem swoje rodzinne strony na Kresach. Na miejscu, gdzie stał ich rodzinny dom są teraz zarosła i pole buraków pastewnych. Brat p. Krystyny odmierzył krokami miejsce gdzie stał dom, gdyż p. Krystyna była zbyt

mała kiedy ich deportowano aby pamiętać. Zabrali grudek ojczystej ziemi do Nowego Yorku...

omawiającej formy działania w szerzeniu idei Towarzystwa, zawierał również część artystyczną, a więc piękny występ reprezentacyjnego Zespołu Pieśni i Tańca Wrocław pod dyrekcją pani Janiny Kondzieli.

Spotkanie koleżeńskie w plenerze to wyjazd do Sobótki – ognisko i piosenki harcerskie – to wspomnienia młodych lat i „Afrykańskich czasów”.

Na uroczystej kolacji przy muzyce rozmawia się, tańczy i śpiewa i znowu „Afrykańczy” czują się jakby byli w swoich afrykańskich osiedlach, a teraz mieszkający w różnych stronach świata mają okazję znowu być razem.

W niedzielę 9 IX uroczysta msza święta w kościele przy ulicy Wittiga, gdzie okolicznościową homilię dla „Afrykańczyków” wygłosił Ojciec Stanisław Golec szczerze zaangażowany w łączenie Kresowian, a kiedy zabrzmiała pieśń „O Panie któryś jest na niebie wyciągnij sprawiedliwą dłoń” – w wielu oczach „Afrykańczyków” zalśniły łzy. Po modlitwie przy tablicy „Afrykańczyków” w Sanktuarium Golgoty Wschodu, wyjazd pod pomnik Sybiraków, na którym wzruszeni „Afrykańczy” czytają: „Pomnik ten wzniesli Sybiracy i Rodacy pamięci wszystkich zesłańców i ofiar ku przestrzodze przyszłych pokoleń wdzięczni Bogu za ocalenie i powrót z nieludzkiej ziemi – sowieckiego piekła.” – Wrocław, wrzesień 2000 r.

Wśród Afrykańczyków spotykam państwa Cybulskich z Kalifornii. Pochodzą ze Lwowa i Wołynia. Pan Kazimierz Cybulski to działacz polonijny. Organizuje pomoc Rodakom na Wschodzie, urządza wieczory literackie, pisze opowiadania i wiersze. Jest Prezesem Koła Przyjaciół Jana Pawła II. Mam przyjemność rozmawiać również z panią Teresą Higgins z West Virginia, która pomimo wielu lat pobytu w Stanach Zjednoczonych utrzymuje ciągle żywe kontakty z Polską. Jest zachwycona Zjazdem, występem folklorystycznego Zespołu Pieśni i Tańca Wrocław.

Pani Wacława Stołyhero-Stoińska zamieszkała obecnie w Gdańsku opowiada mi swoje losy. Jej droga – sześciolatek wówczas dziecka – jak wielu zesłańców po roku 1940 kiedy wraz z rodzicami i bratem spod

koła biegunowego przez Kazachstan, Uzbekistan z Armią Andersa dostaje się do Persji, a następnie do Ugandy do obozu Koja nad jeziorem Victoria. W Koji było ok. 3000 Polaków. Domki dla Polaków budowane były na sposób miejscowy z gliny i trawy. Szkołę, przedszkole, szpitalik i kościół Polacy zbudowali własnym wysiłkiem. Rodzina p. Wacławy opuściła Koję w 1947 roku.

Tak się szczęśliwie złożyło, że kuzynka pani Wacławy poleciała do Afryki w maju br. jako delegat Związku Miast Bałtyckich na konferencję dotyczącą ochrony jeziora Victoria (finansowaną przez Szwedzką Agencję). Kiedy kuzynka pani Wacławy znalazła się w Ugandzie, znając historię rodzinną postanowiła pojechać – chociaż nie było to wcale łatwe – do Koji i znaleźć miejsce gdzie było polskie osiedle. Po wielu pertraktacjach z burmistrzem Nkokonjeri – Solongo – dotarła do miejsca niedaleko byłego polskiego osiedla, gdzie wśród znajomych burmistrza znalazł się starszy człowiek Bolanda, który w tamtych czasach pracował u Polaków i przywitał kuzynkę p. Wacławy po polsku – „dzień dobry” – było to coś bardzo niezwykłego w afrykańskiej dżungli. Przyjaciel Polaków pomógł znaleźć w buszu miejsce, gdzie na wzgórzu Gileta nad jeziorem Victoria rozlokowany był polski obóz. Teraz zostało po nim już tylko 1 zabudowanie. Dalej w buszu, w zieloności dżungli ze stalową bramą widać polską flagę – dwie ściany ustawione pod kątem, wyłożone białoczerwonymi kafelkami, a polski cmentarz otacza wysoki mur. Na cmentarzu około 100 tablic z polskimi nazwiskami...

I jeszcze jedno cudne spotkanie wśród „Afrykańczyków” – Pani Jadwiga Hohenberger-Gorzowska i jej książka „Afrykańskie Reminiscencje” napisana pięknym językiem, którą czyta się jednym tchem – Wydawnictwo – Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2001. Najlepszą oceną książki są gratulacje kardynała Henryka Gulbinowicza, który napisał: „Gratuluję Szanownej Pani pięknego języka w przekazanej mi do wglądu pracy, która będzie kulturowym ubogaceniem czytelnika. Wyrażam nadzieję, że zawarte w „Afrykańskich Reminiscencjach” treści, przekaz prawdy i osobiste doświadczenia Autorki staną się dla szukających swojego duchowego dopełnienia w dobrej książce cennym wsparciem.” □

Znów wspomnijmy Orłęta

*Obroncy Lwowa modlą się w pokorze,
Zniszczonych pragnień niosą zwycięstw dary.
Niech łaska Twoja, wiara ich wspomóż,
Gdy dla wolności złożyli ofiary.*

*„Orłęta Lwowskie” są naszym patronem.
To dla nas zaszczyt nosić po nich imię.
Dziś orzeł polski znowu ma koronę,
Pieśń o „orłętach” z serc naszych znów płynie.*

To hymn Publicznego Gimnazjum Nr 1 im. Orłąt Lwowskich w Kędzierzynie-Koźlu. Na bazie pieśni o Orłętach Lwowskich drugą zwrotkę ułożyła uczennica kl. III Izabela Heder.

W ubiegłym roku szkolnym Publicznemu Gimnazjum Nr 1 z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Kędzierzynie-Koźlu uchwałą Rady Miejskiej nadano imię Orłąt Lwowskich i odsłonięto z tej okazji tablicę pamiątkową. Obiecano wówczas, że w rocznicę szkoła otrzyma sztandar. TMLiKPW obietnicę dotrzymało.

17 września 2001 r. w PG Nr 1 odbyła się podniosła uroczystość wręczenia szkole sztandaru. Sztandar został wykonany przede wszystkim dzięki pomocy finansowej przyjaciół szkoły:

- TMLiKPW w K-Koźlu
- Towarzystwo Ziemi Kozielskiej
- Związek Zawodowy Pracowników Poczty RUP w Opolu
- Bank Spółdzielczy w K-Koźlu
- ZNP Oddział w K-Koźlu
- NSZZ „Solidarność” Pracowników Oświaty i Wychowania w K-Koźlu
- Elektrownia Blachownia
- Związek Sybiraków w K-Koźlu
- Fundacja „Semper Fidelis” we Wrocławiu
- Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód w Opolu
- Skład Materiałów Drzewnych – Krzysztof Domański
- Jerzy Bobrowski
- Grażyna Busz
- Domicela Stempniak
- Czesława Bereźnicka
- Halina i Eugeniusz Sozański
- Bogusława Saska
- Józef Strojny
- Edward Kopaniecki
- Janina Nowak
- Barbara Deblessem
- Tadeusz Puchalski – Nysa
- Zdzisław Kuhl – Opole.



Sztandar przekazują przedstawiciele TMLiKPW w Kędzierzynie-Koźlu

Na awersie sztandaru o czerwonym tle znajdują się postaci Orląt Lwowskich i napis Publiczne Gimnazjum Nr 1 im. Orląt Lwowskich w Kędzierzynie-Koźlu, a na rewersie na białoczerwonym tle godła: Polski, naszego miasta K-Koźla i miasta Lwowa.



Poświęcenie sztandaru



Przekazanie sztandaru przez przedstawicieli TMLiKPW w K-Koźlu dyrektorowi PG 1 im. Orląt Lwowskich mgr Krystynie Pustelnik

Uroczystość nadania szkole sztandaru rozpoczęła się uroczystą Mszą Św. w Kościele pod wezwaniem św. Zygmunta i św. Jadwigi. Mszę koncelebrowali ks. Józef Marfiany, ks. Marian Pleśniak i ks. Jarosław Krężel. Msza rozpoczęła się poświęceniem sztandaru, następnie przedstawiciele TMLiKPW w K-Koźlu przekazali go p. dyrektor Krystynie Pustelnik, która wręczyła sztandar

uczniom z pocztu sztandarowego: Magdalenie Saczko, Ewelinie Rupnik i Maciejowi Mączka. Okolicznościową homilię wygłosił ks. Józef Marfiany, który jest członkiem TMLiKPW, nawiązując do patriotyzmu i bohaterstwa Orląt Lwowskich. W uroczystej mszy uczestniczyli uczniowie z rodzicami, nauczyciele, władze miasta i zaproszeni goście.

Po zakończeniu Msze Św. wszyscy przy dźwiękach orkiestry Technikum Żegluga Śródlądowej przemaszerowali pod budynek szkoły, gdzie znajduje się tablica pamiątkowa. Uczniowie Gimnazjum złożyli wiązankę kwiatów.

Dalsza część uroczystości odbywała się w sali gimnastycznej szkoły. Tam, po powitaniu gości i krótkim przemówieniu przez p. dyrektora Krystynę Pustelnik uroczystość poprowadzili uczniowie klasy III Marta Sidor i Marek Adamów.

W dalszej części nastąpiło ślubowanie na sztandar wybranych uczniów klas pierwszych.



Z kolei zabrali głos z okolicznościowymi przemówieniami goście: przewodniczący Rady Miasta p. Ryszard Pacuła, starosta Powiatu Kędzierzyńsko-Kozielskiego p. Józef Gisman, prezydent miasta p. Jerzy Majchrzak, dyrektor Zarządu Oświaty i Wychowania p. Krzysztof Gudejko, prezes TMLiKPW w K-Koźlu p. Witold Listowski, prezes TMLiKPW w Opolu p. Zdzisław Kuhl, prezes Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu p. Marek Rogalski oraz prezes Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód w Opolu p. Eugeniusz Brudkiewicz.

Następnie prowadzący poprosili naszych ofiarodawców o symboliczne wbicie „złotego” gwoździa w drzewiec sztandaru.

Uczniowie z koła polonistycznego oraz chór szkolny pod kierunkiem nauczycieli p. Izabeli Kopeć i p. Michała Kuchty zaprezentowali swój piękny i podniosły program artystyczny o tematyce patriotycznej nawiązujący do tematyki lwowskiej przeplatany pieśniami i tańcami regionalnymi przygotowanymi przez p. Grażynę Nowak. Występ został nagrodzony rzęsistymi brawami przez uczestników uroczystości.

Dalszym punktem programu było zaproszenie gości do zwiedzenia wystawy poświęconej Obrońcom Lwowa, wpisaniem się do Kroniki Szkolnej oraz poczęstunku.

W przygotowanie wspianej uroczystości, zorganizowanie tematycznych gazetek, wystawek zaangażowani byli wszyscy nauczyciele PG Nr 1.

Podczas zwiedzania szkoły można było oglądać z kasety wideo film nakręcony w ubiegłym roku z uro-

czystości nadania imienia szkole. W nowej sali komputerowej goście mogli zobaczyć stronę internetową naszej szkoły przygotowaną przez uczniów pod kierunkiem p. Aliny Blicharskiej.

Szkola ma piękny sztandar. Jesteśmy dumni z tego faktu, doceniamy to zaszczytne wyróżnienie i postaramy się nie zawieść pokładanych w nas nadziei. Posiadanie przez szkołę sztandaru zobowiązuje. Uczniowie będą wytrwale dążyć do zgłębiania wiedzy, do samodzielności, pielęgnowania dobrych tradycji oraz szacunku do siebie i innych.

Krystyna Pustelnik
Izabela Kopeć

Uroczystość bardzo nam się podobała. Włożyliśmy wiele wysiłku w oprawę artystyczną tego wydarzenia i z całą pewnością możemy stwierdzić, że warto było. Zebrani goście nieraz dawali nam do zrozumienia, że występ im się podoba, uśmiechali się do młodych akto-

Danuta Śliwińska

Polski Teatr ze Lwowa w Bydgoszczy

Na zaproszenie Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w dniach 17-19 listopada br. gościł w Bydgoszczy Polski Teatr ze Lwowa.

Przyjechał w 23-osobowym składzie z „Odprawą Posłów Greckich”. Dramat Jana Kochanowskiego bardzo rzadko wystawiany jest przez teatry, bo to i język starodawny, i treść poważna, apeluje do osób sprawujących władzę o rozwagę, roztropność, o pokorę wobec narodu, któremu służy. Sztuka jest uniwersalna i ciągle aktualna.

Zespół lwowskiego teatru wystąpił dwukrotnie na scenie Teatru Polskiego w Bydgoszczy, 18 XI br. (niedziela) wieczorem dla starszego społeczeństwa, a 19 XI br. (poniedziałek) w godzinach przedpołudniowych dla młodzieży szkolnej. Obydwa spektakle cieszyły się ogromnym powodzeniem. Dzięki odpowiedniej reklamie na 10 dni przed przyjazdem zespołu ze Lwowa wszystkie bilety były rozprzedane. Sala teatralna na przeszło 400 miejsc była przepelniona, dostawiono dodatkowe rzędy i krzesła.

Wśród widzów nie zabrakło władz administracyjnych i samorządowych, obecny był również ks. Abp Henryk Muszyński – Metropolita Gnieźnieński, a także telewizja, radio, cała miejscowa prasa.

Spektakl zgrabnie wyreżyserowany przez Walerego Bortiakowa i w jego scenografii. Kostiumy aktorów były bardzo proste, ale pomysłowe, a Chorus z Panien Trojańskich był ubrany niezwykle oryginalnie: 6 Panien miało na sobie jeden długi pas materiału z otworami na głowy, który w zależności od sytuacji przybierał różne formy, kształty i znaczenie. Scenografia skromna, ale bardzo wyszukana, oryginalna, przemawiająca do widza. Ostatnia scena tak urzekła wszystkich, że po zakończeniu spektaklu zaległa ogromna cisza, a na twarzach widzów malowało się skupienie, dopiero po dłuższej chwili zerwała się burza oklasków. Po obu spektaklach była gorąca owacja, kosze i wiązanki kwiatów, rozdawanie autografów. Młodzież niektóre sceny i wypowiedzi nagradzała oklaskami w trakcie przedstawienia. Widzom bydgoskim bardzo spodobała się mowa

rów i nagradzali brawami. Trema, która towarzyszyła nam na początku uroczystości, zniknęła, gdy goście włączyli się do wspólnych śpiewów.

Jesteśmy przekonani, że uroczystość wyszła pięknie. Każdy, kto słuchał z uwagą, mógł wyczuć powagę tej chwili.

Anna Filipiak
Agnieszka Kotlińska
uczenice klasy III d

Uważam, że cała uroczystość wypadła bardzo dobrze. Teksty wierszy i piosenek oddawały nastrój imprezy oraz wydarzeń z tym związanych. Występy wzbudziły zainteresowanie gości. Bardzo nas cieszyła przychylność publiczności, która nagradzała gromkimi brawami

Aleksandra Kocol
uczenica klasy III d

aktorów i ta czyściutka, piękna Zbigniewa Chrzanowskiego, i ta, w której od czasu do czasu słychać było miękki akcent lwowski.

A kto występował?

W roli Antenora – Zbigniew Chrzanowski, Aleksander (Parys) – Wiktor Lafarowicz, Heleną była Krystyna Grzegorzeczka, Panią Starą – Natalia Stupko, Jan Tysson wcielił się w Posła Parysów, Walery Bortiakow w Priamusa, Króla Trojańskiego, a Jolanta Martynowicz wystąpiła w roli Kassandry. Poza tym szereg aktorek i aktorów było Posłami Greckimi, żołnierzami, więźniem i Chorusem Panien Trojańskich.

18 listopada br. kończył się w Bydgoszczy Tydzień Kultury Chrześcijańskiej zorganizowany po raz 20-ty i w tym dniu Polski Teatr ze Lwowa zaprezentował publiczności „Odprawę Posłów Greckich”. Tydzień Kultury Chrześcijańskiej zakończony był uroczystą mszą św. w kościele św. Polskich Braci Męczenników, odprawioną w koncelebrze przez ks. abp. Henryka Muszyńskiego, który w niezwykle ciepły sposób powitał obecnych na mszy św. zespół teatru z „drogiego Lwowa”.

Aktorzy lwowscy w wolnym czasie, w niedzielę zwiedzali zabytki i ciekawsze obiekty Bydgoszczy.

Po wieczornym spektaklu na uroczystej kolacji, sponsorowanej przez Restaurację Lwowską w Bydgoszczy, obecni m. in. p. Roman Jasiakiewicz – Prezydent Miasta Bydgoszczy, p. Ireneusz Frelichowski – Dyrektor Wydziału Kultury i Nauki przekazali wszystkim aktorom pamiątki z Bydgoszczy, a wspólnie z Dyrekcją Wojewódzkiego Ośrodka Kultury zaprosili już na przyszły rok zespół Polskiego Teatru ze Lwowa i (zaocznie) kapelę „Wesoły Lwów”. Termin został precyzyjnie ustalony. Obydwa zespoły wystąpią na deskach Teatru Polskiego oraz na scenie Opery Nova w Bydgoszczy.

W poniedziałek Dyrekcja lwowskiego teatru przyjęta została przez p. Adama Orzechowskiego – Dyrektora Teatru Polskiego w Bydgoszczy, otrzymała pamiątki dla wszystkich aktorów oraz przez p. Macieja Figasa – Dyrektora Opery Nova, z którym omawiano zaproszenie lwowskiej opery np. z „Mojżeszem” na międzynarodowy festiwal operowy, który corocznie organizowany jest w

Bydgoszczy, w gmachu najnowocześniejszej pod względem technicznym opery w Polsce.

Pan Zbigniew Chrzanowski, dyrektor artystyczny lwowskiego teatru, w czasie swego wystąpienia na uroczystej kolacji powiedział m. in., że jeżdżą z występami na zaproszenie do miast, gdzie jest przyjazna atmosfera dla kultury, gdzie docenione są wysiłki ich lwowskiego teatru i miejscowego Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Dlatego pomimo dużej odległości i trudów z tym związanych chętnie przyjeżdżają do Bydgoszczy.

Miło to było słyszeć, zwłaszcza w obecności władz miejskich.

W tym miejscu wypada mi złożyć serdeczne podziękowania wszystkim tym, którzy bardzo nam pomogli w przyjęciu teatru lwowskiego, a mianowicie:

– Zarządowi Miasta Bydgoszczy i osobiście p. Romanowi Jasiakiewiczowi – Prezydentowi Miasta za pomoc finansową, za uczestnictwo, za upominki, za wspólne spotkanie,

– Teatrowi Polskiemu w Bydgoszczy i p. Adamowi Orzechowskiemu – Dyrektorowi – za pomoc finansową

i upominki, p. Ewie Szymborskiej – Kierownikowi Literackiemu – m. in. za reklamę, a za ogromną pomoc organizacyjną zespołom: Upowszechniania Teatru oraz Technicznemu,

– Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska” Oddziałowi Kujawsko-Pomorskiemu, a osobiście kol. Marcelemu Wnękowi za pomoc finansową,

– Restauracji Lwowskiej w Bydgoszczy, jej szefowi p. Wiktorowi Miklerowi, za sponsorowanie kolacji dla zespołu lwowskiego teatru i gości, za przygotowanie kolacji 17 i 18. 11 br., pomimo, że w tym samym czasie Restauracja organizowała wielkie bankiety dla kilkuset osób m. in. w Filharmonii Pomorskiej na zakończenie Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. J. Paderewskiego.

Bez życzliwości i pomocy wyżej wymienionych Oddział Bydgosko-Toruński TMLiKPW nie byłby w stanie zrealizować i sfinansować pobytu Polskiego Teatru ze Lwowa. Czekamy na następne przyjazdy teatru i innych zespołów artystycznych ze Lwowa i Kresów i zapraszamy do gościnnej Bydgoszczy. □

Zbigniew Umański

Dni Lwowa i Kultury Kresów w Warszawie

Tradycyjnie pieśnią „Gaude Mater Polonia” rozpoczął się uroczysty koncert w Muzeum im. Jana Pawła II inaugurujący Dni Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Warszawie (18-23 listopada br.), których organizatorem, jak co roku, był Oddział Stołeczny TMLiKPW. Licznie przybyłych na inaugurację DNI warszawskich lwowiaków i kresowian, a wśród nich Jerzego Janickiego, przedstawicieli Zarządu Głównego TMLiKPW oraz honorowych gości: Sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – min. Andrzeja Przewoźnika, żonę śp. gen. R. Abrahama – panią Martę, delegację Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, rodaków przybyłych na DNI z Kresów serdecznie powitał prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW ks. Janusz Popławski.

Na bogaty i urozmaicony artystycznie program koncertu inauguracyjnego złożyły się występy Chóru Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa” pod dyr. Mirosława Janowskiego oraz solowe warszawskich artystów: Laury Łącz i Ryszarda Bacciarellego – recytacje, Joanny Matraszek i Jerzego Antepowicza – śpiew. W ich wykonaniu usłyszeliśmy „Przysięgę króla Jana Kazimierza” H. Sienkiewicza, wiersze „Pamięci Lwowa”, „Dziecko bohater”, „Kocham cię Lwowie”, „Dzieciom poległym” – H. Zbierzchowskiego i M. Lisiewicza, pieśni i arie St. Moniuszki, F. Nowowiejskiego, A. Schroedera, St. Niewiadomskiego oraz wzruszającą „Piosenkę o Jurku Bitschaniu” J. Polita. Gorącymi brawami dziękowano wykonawcom.

Z odmiennym w nastroju lwowskim programem muzyczno-poetyckim wystąpiło warszawskie „Towarzystwo Teatralne pod Górką” – M. Świtaj, St. Górka, W. Machnicki, akompaniament Z. Rymarz, reżyseria T. Wiśniowski. Występy tych młodych artystów cieszą się coraz większą popularnością w środowiskach kresowych, na festiwalach. Nagrali już dwie kasety – piosenki i teksty o Lwowie i wiersze M. Hemara. Ich program muzyczno-poetycki podobał się także zebranym w Muzeum im. Jana Pawła II.

Atrakcją koncertu inauguracyjnego był niewątpliwie występ znakomitego kompozytora i muzyka, szczycą-

cego się lwowskimi korzeniami, Andrzeja Kurylewicza. Zagrał na fortepianie własne utwory oraz wspaniałe improwizował z towarzyszeniem Pawła Pańki – kontrabas – na tematy muzyczne popularnych utworów. Artystę nagrodzono wiązkami braw.

Koncert inauguracyjny zakończył się tradycyjnie wspólnym odśpiewaniem wraz z chórem „W dzień deszczowy i ponury” oraz „Roty”. Opuszczając Muzeum im. Jana Pawła II można było nabyć w jego kuluarach czasopisma i książki o tematyce kresowej, a także kasety z piosenkami lwowskimi, co wielu chętnie czyniło. Nie było niestety w sprzedaży czasopisma ZG TMLiKPW „Semper Fidelis” i Kalendarza Lwowskiego na 2001 rok.

19 listopada, w drugim Dniu Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w Warszawie, odbyło się w Domu Literatury sympozjum naukowe na tematy kresowe.

Prof. dr hab. Marek M. Drozdowski niezwykle interesująco opowiedział o lwowskich aspiracjach niepodległościowych, pobytach we Lwowie Ignacego J. Paderewskiego, jego sukcesach artystycznych w tym mieście i o uwielbieniu go przez lwowiaków. Natomiast mgr Ewa Siemaszko, współautorka wydanej w tym roku pracy naukowej „Ludobójstwo dokonane przez ukraińskich nacjonalistów” – dokumentacji ludobójstwa ludności polskiej na Wołyniu w latach II wojny światowej dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich – mówiła o dokumentach i relacjach, które to potwierdzają, o genezie tych tragicznych wydarzeń także na Kresach Południowo-Wschodnich i o różnicy zdań w ich ocenie przez historyków polskich i ukraińskich, a zwłaszcza roli UPA i liczbie ofiar. Ten temat wywołał ożywioną dyskusję, w której głos zabrali: płk Jan Niewiński, prezes Krajowego Ruchu Patriotycznego, ppłk Stanisław Leszczyński z TMLiKPW i inni uczestnicy sympozjum. Pamięć tych krwawych nocy i dni na Kresach jest wciąż żywa i bolesna u byłych mieszkańców tych ziem, a szczególnie u tych, którym udało się ocalić życie.

21 listopada, w rocznicę ostatnich, zwycięskich walk w 1918 roku o polski Lwów, odbyła się uroczystość złożenia wieńców i kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza. Los sprawił, że leży tu w stolicy bezimienny żołnierz, który zginął broniąc miasta „Semper Fidelis”.

Na pl. J. Piłsudskiego stanął oddział honorowy Wojska Polskiego z werblistą i hejnalistą, naprzeciw – poczty sztandarowe: AK Grodno „Krysiacy” z chorążym por. Romanem Bradkowskim, Gimnazjum nr 27 im. Orłąt Lwowskich, Szkoły im. Aleksandra Fredry oraz Hufca ZHR Warszawa-Wieniec. Odbywa się uroczysta zmiana warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Hejnalista gra sygnał Wojska Polskiego. Padają komendy. Żołnierze prezentują broń, oficer obnażoną szablę. Pochylają się sztandary. W takt werbla kierują się do Grobu Nieznanego Żołnierza delegacje: Zarządu Głównego TMLiKPW, Oddziału Stołecznego TMLiKPW oraz warszawskich klubów TMLiKPW Stanisławowian z prezesem St. Leszczyńskim i Podolan, Młodzieżowego Klubu Tow. Miłośników Lwowa w Gimnazjum im. Orłąt Lwowskich, szkoły im. A. Fredry. Składają na płycie grobu wieńce i wiązkami kwiatów, pochylają głowy.

Hold pamięci Nieznanemu Żołnierzowi oddali także rodacy przybyli ze Lwowa: delegacja Polskiego Tow. Opieki nad Grobami Wojskowymi z prezesem Janem Franczukiem na czele, przedstawiciele Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, dr Danuta Gnatyk z lwowskiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, nauczycielki polskie Hanna i Orisia Capiw z Borysławia oraz warszawscy lwowiacy i kresowianie.

Sygnalista zagrał na trąbce „Śpij kolego w ciemnym grobie”. W milczeniu i zadumie pożegnaliśmy Nieznanego, dla nas lwowskiego Żołnierza.

22 listopada, jak co roku, w kościele Św. Krzyża odprawiona została uroczysta Msza św. „Za Orłętą”, które bohaterstwo broniły Lwowa w 1918 roku. Celebrował ją, w asyście księży, i wygłosił wzruszającą homilię ks. Janusz Popławski, kapelan TMLiKPW. Uczestniczyły poczty sztandarowe warszawskich szkół noszących imię Orłąt Lwowskich i młodzież w nich się ucząca, rodacy ze Lwowa oraz stołeczni lwowiacy i kresowianie. Śpiewał chór „Warszawiacy” im. K. Kurpińskiego pod dyktando Marka Witkowskiego, akompaniował Maksymilian Sznabel. Szczególnie pięknie zabrzmiała w murach tej starej świątyni pieśń „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa”. Wspólnie modliliśmy się za bohaterów Orłęt Lwowskie, które oddały swoje młode życie za Ojczyznę.

Pielgrzymka stanisławowian do Czarnego Lasu „Jeśli zapomnisz o mnie...”

Byli mieszkańcy Stanisławowa nie zapomnieli o zbrodni hitlerowców dokonanej na inteligencji polskiej po wkroczeniu do miasta w 1941 roku. Wśród ponad 300 ofiar – nauczycieli, inżynierów, prawników, księży, działaczy oświatowych i społecznych, wojskowych – byli ich najbliżsi, przyjaciele, sąsiedzi. Wiele lat szukali ich grobów, świadków tych mordów. Okupant i jego pomocnicy-nacjonaliści ukraińscy dobrze strzegli tej strasznej tajemnicy. Dopiero w 1988 roku, dzięki pomocy innych Ukraińców – działaczy towarzystwa „Memoriał”, pracowników stanisławowskiego muzeum i mieszkańców wsi u

Zakończenie Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w Warszawie odbyło się w Gimnazjum nr 27 im. Orłąt Lwowskich z udziałem przedstawicieli Zarządu Oddziału Stołecznego TMLiKPW oraz gości-uczestników obchodów DNI. Gospodarzami byli i przygotowali program artystyczny członkowie Młodzieżowego Klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa w tej szkole oraz jej nauczyciele.

Wcześniej niż Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. organizowanych przez Oddział Stołeczny TMLiKPW rozpoczęły się II DNI KULTURY KRESÓW, których organizatorami byli „Wspólnota Polska” i Rada Naczelna Federacji Organizacji Kresowych. Już 14 listopada br. w Zamku Królewskim odbyła się pierwsza impreza z udziałem młodzieży z liceów warszawskich im. A. Mickiewicza i J. Słowackiego. Wysłuchali gawędy Barbary Wachowicz „W Ojczyźnie serce me zostało”, o wielkich Polakach z Kresów, ilustrowanej muzyką i śpiewem.

17 listopada, w sali balowej Zamku, odbył się koncert. Konstanty Andrzej Kulka zagrał, z towarzyszeniem zespołu „Camerata Vistula”, koncert skrzypcowy Karola Lipińskiego. Wystąpili też muzycy z Ukrainy. 24 listopada Polski Teatr z Wilna wystąpił w sali koncertowej Zamku z przedstawieniem „Zagłoba swatem” H. Sienkiewicza. Dwa dni później w Domu Polonii odbył się koncert zespołu „Camerata Vistula”. W programie były utwory fortepianowe i smyczkowe Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego.

2 grudnia wystąpiła w Zamku Królewskim Słowacka Orkiestra Kameralna z Bratysławy, założona przez Polaka z Zaolzia p. Bohdana Warhala. Grała utwory kompozytorów kresowych, soliści śpiewali pieśni St. Moniuszki i R. Twardowskiego. 8 grudnia w Domu Polonii koncertował Zespół Muzyki dawnej „Scholares Minores pro Musica Antiqua”. M. in. zagrał staropolskie kołędy. Koncert poprzedziła prelekcja „Lwów i Wilno na tle historii kultury polskiej”.

II DNI KULTURY KRESÓW w WARSZAWIE zakończyły się koncertem zaolziańskich kołęd góralskich w wykonaniu zespołu „Nowina” z Jabłonkowa oraz wernisażem wystawy „Madonny” Stefana Centomirowskiego w Domu Polonii. Już z tej wyliczanki imprez wynika, jak bogaty był program II DNI KULTURY KRESÓW. Byłby jeszcze bogatszy i atrakcyjniejszy – naszym zdaniem – gdyby połączono programy DNI LWOWA I KULTURY KRESÓW. Czy organizatorzy tych DNI nie pomyśleli o tym, czy też aż tyle ich dzieli, że już nie potrafią się porozumieć? A przecież cel jest wspólny: przypomnienie, popularyzacja polskiej historii, kultury i tradycji Kresów! □

podnóża Góry Uhrynowskiej odnaleźli w Czarnym Lesie groby stanisławowskiej inteligencji. Postawiono przy nich pomnik z głazów z żelaznym krzyżem w ciemnej koronie, a pod nim tablicę z napisem po polsku i ukraińsku: „Miejsce uświęcone krwią mieszkańców Stanisławowa i okolic zamordowanych przez hitlerowców w sierpniu 1941 r. – Rodacy”. I jeszcze dodano słowa Adama Mickiewicza: „Jeśli zapomnę o nich – Ty Boże o mnie zapomnij”.

Stanisławowianie nie zapomnieli. Pamiętają. Od dziesięciu lat krakowskie Koło Stanisławowian

TMLiKPW co roku odwiedza to miejsce kaźni. W 60. rocznicę zbrodni podjęli się zorganizowania ogólnopolskiej pielgrzymki mieszkańców Stanisławowa do Czarnego Lasu. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przekazała środki na uporządkowanie zbiorowych grobów i terenu wokół nich. Wykarczowano pnie drzew, krzewy, wyrównano doły śmierci, obmurowano je, postawiono na nich nowe krzyże. Utwardzono drogę i dojścia do mogił. Wszystkie te prace wykonali ręcznie (obowiązuje tu zakaz używania sprzętu zmechanizowanego) członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń” w Iwano-Frankowsku, małżeństwa: Czasozinów, Grzebińskich, Brajlianów, Grabowskich, Ożgi-Wielizan i kilkunastu indywidualnych. Mimo ulewnych deszczów, które utrudniały prace porządkowe, zdążyli zakończyć je przed uroczystymi obchodami 60. rocznicy mordów w Czarnym Lesie. Wszystkim, którzy je wykonywali należą się słowa wielkiego uznania i podzięk, a szczególnie prezes TKP „Przyjaźń”, Lucynie Kubickiej, która organizowała i kierowała tymi robotami.

11 sierpnia br. przestał padać deszcz. Przybywających autokarami i samochodami stanisławowian z różnych miast z Polski i zza granicy – Anglii, Niemiec, gości honorowych – powitało w Czarnym Lesie słońce. Przy ołtarzu ustawionym u stóp Pomnika Ofiar księcia rzymsko-katolickiego P. Czyrek, Wł. Grymal, Fr. Pukajło i grekokatolicki o. M. Michalik odprawili wspólnie Mszę ekumeniczną za zamordowanych. Uczestniczyli także w niej Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa min. Andrzej Przewoźnik i przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, mer miasta Stanisławowa Zenowij Szkutiak i jego zastępczyni Hanna Karaś, przedstawiciele Zarządu Głównego TMLiKPW, prezesi Kół Stanisławowian z Krakowa, Warszawy, Wrocławia oraz Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń” i im. F. Kurpińskiego w Iwano-Frankowsku.

Zwracając się do uczestników uroczystości, w imieniu organizatorów pielgrzymki do Czarnego Lasu, prezes krakowskich stanisławowian Krystyna Stafińska powiedziała: „Przybyliśmy tu, aby dać świadectwo naszej pamięci, naszego hołdu i solidarności z synami i obywatelami tego miasta, tej ziemi, których poniżono i stracono tylko dlatego, że byli Polakami.”

Minister A. Przewoźnik oddając hołd pamięci pomordowanych stanisławowian powiedział: „Dostojnicy państwowi Polski i Ukrainy nie powinni zapomnieć tragicz-

nych kart naszej wspólnej historii – również pamiętać, że tylko wzajemny szacunek i tolerancja oraz przestrzeganie zasad chrześcijańskich są gwarancją, że tragedia Czarnego Lasu nie powtórzy się nigdy.”

Po złożeniu wieńców i kwiatów pod Pomnikiem Ofiar zebrani odśpiewali „Rotę” i „Jeszcze Polska nie zginęła”. Echo poniosło słowa na zbiorowe groby Rodaków w Czarnym Lesie...

Po południu w Domu Parafialnym przy kościele pw. Chrystusa Króla odbyła się – dla uczestników pielgrzymki do Czarnego Lasu i miejscowych rodaków – sesja poświęcona 60. rocznicy kaźni inteligencji stanisławowskiej w 1941 roku. Wprowadzenie do dyskusji wygłosił prezes Koła Stanisławowian TMLiKPW w Warszawie, Stanisław Leszczyński, a prowadził ją red. Tadeusz Olszański.

Drugiego dnia pobytu w grodzie Rewery jego b. mieszkańcy zapalili znicze na Ołtarzu Pamięci w kościele Chrystusa Króla oraz złożyli kwiaty pod Pomnikiem Polaków poległych i zaginionych w obu wojnach światowych znajdującym się na b. cmentarzu komunalnym. Wieczorem, w restauracji hotelu „Ukraina”, odbyło się towarzyskie spotkanie ze stanisławowskimi rodakami. Upłynęło w niezwykle serdecznej atmosferze.

W następnych dniach uczestnicy – z Polski i zza granicy – zwiedzali zabytki kultury polskiej na ziemi stanisławowskiej i lwowskiej. Niektórzy byli tu pierwszy raz od 1939 roku. We Lwowie odwiedzili Wzgórza Wuleckie, miejsce kaźni profesorów lwowskich i członków ich rodzin rozstrzelanych przez hitlerowców w 1941 roku. „To była moja robota” – wyznał nieopatrnie księżnej Lanckorońskiej Hauptsturmfuehrer (jak pisze w pamiętniku) Hans Krüger. Kolejną, już na większą skalę, „moką robotę” wykonał, jako szef stanisławowskiego Gestapo, przy pomocy ukraińskich nacjonalistów, w Czarnym Lesie. W skupieniu i zadumie stanisławowianie złożyli pod pomnikiem wieniec, zapalili znicze pamięci i odmówili „wieczne odpoczywanie...”. Opuszczając miasto „Semper Fidelis” wstąpili na Cmentarz Orłąt Lwowskich, by złożyć im hołd pamięci.

PS. Kapituła Honorowej Złotej Odznaki Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.Wsch. przyznała ją mgr. inż. Henrykowi Kolosowi, który pracując w „Energo-polu” w Bohorodczanach, niedaleko Stanisławowa, zaprojektował symboliczny Pomnik Pamięci zamordowanych w Czarnym Lesie i zbudował go tam w 1991 r. □

Alfred Janicki

Opowiadania Mamy...

Długo przeżywano w milczeniu śmierć Czeska Skulskiego. Był to wypadek spowodowany manipulowaniem przy pocisku znalezionym przy rozbitym niemieckim samolocie, w czerwcu 1941 r. na polach Pantalichy. W Bernadówce, Ruzdwanach, Strusowie i okolicznych wioskach co jakiś czas rozgrywały się nowe tragedie związane z dużą polityką. We wrześniu 1939 roku, po wejściu na te tereny Sowietów, administracja polska przestała istnieć. Na czele miejscowych władz panoszyli się Rusini-Ukraińcy. To od nich okupant miał nazwiska Polaków sprawujących różne funkcje administracyjne, na różnych szczeblach życia społeczeństwa gminy Strusów, czy powiatu trembowelskiego. Rodziny polskie

były przez nowych „urzędników” szykanowane, wyznaczano Polaków do wykonywania robót na rzecz potrzeb okupantów, czy dostarczania kontyngentów w zwiększonym wymiarze. Kilka rodzin Sowietów wywieźli na Sybir. 1941 rok, po wycofaniu się Sowietów, pokazał prawdziwe oblicze Rusinów-Ukraińców. Zanikała prawie całkowicie nazwa „Rusin”. Teraz w życiu codziennym funkcjonuje „Ukrainiec” i „Samostijna”. Po wkroczeniu Niemców, wśród wielu Ukraińców średniego i młodszego ich pokolenia (na terenach, o których piszę) nastąpił czas euforii, oczekiwań realizacji nadziei na Samostijną Ukrainę. Coraz częściej stosunki między sąsiadami (Polak-Ukrainiec) stają się szorstkie. Niemcy – nowi okupanci – z lekceważeniem odnoszą się do „powitań” ukraińskich. Kiedy 1 sierpnia 1941 roku wschodnia Galicja weszła w skład Generalnego Gubernatorstwa jako „Distrikt Galizien”, a obiegowa waluta miała napis „złoty”, wielu z

Ukraińców czuło się zawiedzionymi, czy wręcz zdradzonymi przez Niemców. Nie tracą jednak nadziei, nadal sprawują lokalną „władzę”, sporządzają listy Polaków na wywóz „na roboty” do Niemiec, kontyngentami obciążają w większym wymiarze Polaków. Wieczory i noce stają się dla Polaków czasem niepokoju. Na horyzoncie widać często łuny pożarów, w niedzielę po nabożeństwach ludzie spieszą do domów, a na chybiciu wymienione zdania ze znajomymi z innych wsi potwierdzają, że co jakiś czas w różnych miejscowościach są mordowani Polacy, że pojawiają się w różnych miejscowościach (najczęściej w nocy) banderowcy, którzy mordują ludność polską, dotyczy to całych rodzin, małżeństwa mieszane (polsko-ukraińskie) nie są dla strony polskiej schronieniem. Polacy widzą, że Ukraińcy (mieszkający na skraju wioski) często organizują tajne spotkania.

Józef Skulski często jeździł z Bernadówki do młyna w Strusowie. Tam spotykał się z różnymi ludźmi. Najczęściej było tak, że w drodze powrotnej do domu wstępował do karczmy, gdzie można było dowiedzieć się o tym co słychać „w świecie”. Oprócz tajemniczych śmierci Polaków coraz częściej słyszano o zaginięciu żołnierzy niemieckich (niejednokrotnie wręcz znajdowano zabitych Niemców w rowach przydrożnych na trasie z Tarnopola do Trembowli). Skulski na skraju Pantalichy (nazwa stepu) miał swoje pole. Na skraju Bernadówki, na pełnym uboczu (obok pola Skulskiego), mieszkał Ukrainiec Krawczuk. Pracując w polu, bez trudu można było zauważyć obcych mężczyzn, którzy przybywali do Krawczuka o różnych porach dnia (najczęściej pod wieczór). Józef zauważył niejednokrotnie, że wielu z tych nieznajomych ma broń. Udawał jednak, że niczego nie widzi. Po każdym takim fakcie, gdy wracał do domu, widać było, że jest jakiś „nieswój”. Na pytania żony: czy coś się stało? machał tylko niecierpliwie ręką i odpowiadał: e, nic, ale dobrze nie będzie, lepiej być cicho nawet w domu, im mniej wiesz, tym lepiej.

Któregoś dnia, przed Bożym Narodzeniem w 1943 roku w drodze powrotnej z młyna w Strusowie, jak zwykle wstąpił do karczmy. Posiedział chwilę, wypił ze spotkanym sąsiadem (Ukraińcem) po większym „Wojtku”, po halbie piwa i kiedy zbierał się do drzwi, sąsiad zapytał się czy nie zabrałby na wóz, do Bernadówki, jego znajomych? Józef uśmiechnął się i wyraził zgodę (będzie rażniej wracać do domu, no i pewniej w dzisiejszych czasach). Na wóz usiadło trzech nieznajomych. Rozmowę zaczęli od pytania: „co macie na myśli mówiąc o dzisiejszych czasach?” Ta jak co? – odpowiedział. Co wy nie stąd? Rozmowę prowadzili po polsku, stąd Józef niczego nie podejrzewał (zresztą, nie uważał, aby ktoś mógł skrzywdzić inwalidę – od 1918 nie miał prawej nogi). Nieznajomi pytali czy w okolicy nie widział banderowców? Jak się tutaj żyje? No co, żyje się jak wszędzie, a banderowców? Tu zatoczył koło batem i powiedział: a gdzie ich nie ma. Powoli zbliżali się w okolice domu Krawczuka. „E, człowiek może i wie, ale dzisiaj lepiej milczeć”. Po tych słowach Józefa nieznajomi zeskoczyli z wozu i bez podziękowania ruszyli w boczną drogę, prowadzącą do Bernadówki. Złe przeczucie targnęło myślami. Tym razem długo zajmował się końmi. Z wozu wyładował mękę i otręby. Gdy wszedł do mieszkania, nawet nie przywitał się z najmłodszą córką Jadwigą, ani nie zajął do półtoramięsycznej wnuczki Marysi. Siadł ciężko na bambetlu i wodził wzrokiem po ścianach. Maria wołała nie pytać o

nic. Dopiero po kilku dniach opowiedział Marii o swojej powrotnej drodze ze Strusowa. Był niespokojny. Boże Narodzenie minęło. Nastąpił rok 1944. Wydawało się, że nie ma się czego Józef obawiać. Tak na dobrą sprawę to nie miał problemów z nikim. Prowadząc „trafikę” często dawał towar „na zapis”, nie upominał się o zwrot długu. Ponadto mieli jako jedyni w okolicy młyn do robienia kaszy gryczanej, byli więc ludziami w Bernadówce potrzebni. Któregoś wieczoru (w połowie lutego) wpadła do Skulskich ich znajoma (a nawet powinowata) Topolnicka. Jej spojrzenie nie wróżyło dobrej wiadomości i rzeczywiście, po rozejrzeniu się po izbie powiedziała: „Józku, ty gdzieś uciekaj, najlepiej do Trembowli, bo ja słyszałam u Krawczuka, że bandery mają ciebie zabić, bo ty dużo wiesz i że ty chyba doniosłeś do Niemców o tym kto zabił niemiecki patrol. Nikomu nie mówcie, że ja tu byłam”. Wybiegła. Oczy wszystkich skierowały się teraz na Józka. Oparł się o piec, po długiej chwili powiedział: „ja kaleka, ja na nikogo nie donosiłam, a u Topolnickiej to babskie gadanie”. Od tego jednak czasu w domu były dyżury. Wieczorami lampa paliła się w piecu (włożona do garnka, tak aby nie było widoczne światło na dworze). Ktoś z domowników na zmianę nie spał. Najdłużej nie kładł się Józef, chodził po izbie, od okna do okna. Często się modlił. Któregoś wieczoru Jadwiga (najmłodsza córka) zauważyła przechadzające się koło ich domu dwie sylwetki. U jednej z nich, przy głowie, widać było lufę karabinową. Szybko zbliżyli się do domu... załomotali w szybę... po rosyjsku wezwali nas do otwarcia drzwi frontowych (skarej adkrywajcie dwiery) i nie czekając na nic wybili szybę, jeden z nich otworzył (wywalił) drzwi. Zbyszka i Jadwigę wpełnęli do drugiej, zimnej izby. Córka Karolcia z 4-miesięczną córką, bosko wybiegła na dwór. Tam jeszcze dwóch banderowców stało na ubezpieczeniu. Józef leżał w łóżku. Kazali mu ubierać się, zaprzęgać konie i jechać z nimi. Odpowiedział, że jest inwalidą i nigdzie w nocy nie pojedzie. Maria zaczęła prosić, aby pozostawiono ich w spokoju, nikomu przecież nigdy nie zrobili krzywdy. W odpowiedzi usłyszała: „my po tebe nie przyszły, na tebe sze ne czas” i... trzy strzały. Po chwili do sąsiedniego pokoju (gdzie była Jadwiga ze Zbyszkim) ktoś wrzucił pierzynę... była mokra. Pod dom zajechała furmanka. Banderowcy wynosili wszystko, co mogło się im przydać... mąka, worki ze zbożem, ubrania z domu. Ze stajni wyprowadzili parę koni, zaprzęgli do wozu, do niego przywiązali krowę. Penetrowanie gospodarstwa trwało długo. W końcu szybkie kroki, trzask zatrzaśniętych drzwi, chwila ciszy, skrzypienie odjeżdżających wozów na śniegu i... wybuch okropnego lamentu Marii. Wchodzą dzieci, widzą ojca leżącego na podłodze, w kałuży krwi. Wraca do mieszkania Karolcia z dzieckiem, nie czuje nikt zimna. Jadwiga przyciąga z drugiego pomieszczenia niedawno wrzuconą pierzynę, która cała jest we krwi. Stało się... zostali sierotami, zostali bez środków do życia. O świcie Zbyszek poszedł do Ruzdwan, do stolarza Tyczyńskiego, aby zamówić trumnę (historię tej rodziny podam w następnym opowiadaniu). Skulscy w 1945 roku opuścili swe rodzinne gniazdo, z innymi przywieziono ich na Dolny Śląsk. zamieszkali w Czerwonej Wodzie. Żyjący świadkowie rodzinnej geheny to Jadwiga przebywająca dziś w Janikowie i moja żona Marynia (niemowlę, z którą Karolcia wybiegła w tę lutową noc).

(c.d.n.)

Władysław Wilgusiewicz Lwowianie na Politechnice Śląskiej



Politechnika Śląska w Gliwicach jest jedną z największych i najbardziej zasłużonych wyższych uczelni w Polsce. Powstała ona w 1945 r. i jest – w porównaniu do najstarszych uczelni polskich – stosunkowo młoda o tradycjach zaledwie półwiecznych, ale historia i warunki jej powstania oraz pierwsze lata jej istnienia zasługują na szczególną uwagę i przypomnienie.

Stwierdzenie to jest uzasadnione głównie tym, że Politechnika Śląska zawdzięcza w znacznym stopniu swoje powstanie i rozwój w pierwszych latach powojennych wspaniałym profesorom i pracownikom naukowym Politechniki Lwowskiej, jednej z największych i najstarszych wyższych uczelni na ziemiach polskich.

Do przypomnienia początków Politechniki Śląskiej i jej związków z Politechniką Lwowską upoważnia mnie to, że w latach 1946-1951 byłem jej wychowankiem i w końcu 1951 r., a więc 50 lat temu otrzymałem dyplom ukończenia studiów na Wydziale Elektrycznym tej uczelni, a także to, że urodziłem się w 1924 r. we Lwowie i przymusowo opuściłem to piękne miasto w czerwcu 1946 r.

Moje wspomnienia dotyczą przede wszystkim profesorów i ich współpracowników z Wydziału Elektrycznego związanych przed 1945 r. z Politechniką Lwowską oraz moich kolegów ze studiów na tym Wydziale wywodzących się ze Lwowa i Kresów Wschodnich.

Dodatkowo wykorzystałem informacje o niektórych naukowcach i studentach z innych Wydziałów i z nieco późniejszych lat studiów, którzy mieli powiązania lwowsko-kresowe. Uznałem również za celowe zamieszczenie skróconych danych o bogatej historii Politechniki Lwowskiej oraz o początkach Politechniki Śląskiej z okresu przed 1945 r. (...)

Chciałbym podkreślić, że w latach 1949-1994 byłem pracownikiem śląskiej energetyki i w związku z tym wspominam przede wszystkim moich Wychowawców i Kolegów związanych pośrednio i bezpośrednio z polską energetyką. (...)

Politechnika Lwowska istnieje już prawie 160 lat. W 1844 r. powstała we Lwowie wyższa uczelnia techniczna nazwana później Akademią Techniczną. Po 1870 r. była ona na ziemiach polskich przez 70 lat jedyną wyższą uczelnią z polskim językiem wykładowym. W 1851 r. uczelnia ta liczyła ok. 220 studentów, a w 1912 r. liczba ta wzrosła do ok. 1750 osób.

W 1877 r. powstał okazały gmach przy ul. Sapiehy, a uczelnię nazwano Szkołą Politechniczną. Po wyzwoleniu w 1918 r. nastąpiła jej fuzja z Akademią Rolniczą w Dublanach i z Wyższą Szkołą Lasową. W 1920 r. uczelnia otrzymała nazwę Politechniki Lwowskiej. W latach 1941-1944 funkcjonowała ona jako wyższa zawodowa szkoła techniczna, a od 1944 r. nosi nazwę Instytutu Politechnicznego i jest obecnie jedną z największych, a także jest najstarszą uczelnią techniczną w obecnych granicach Ukrainy.

Mimo formalnych zmian organizacji i nazwy w latach okupacji Politechnika Lwowska była nadal uczelnią o bardzo wysokim poziomie nauczania i o wielkim znaczeniu dla rozwoju kraju w latach powojennych. Było to zasługą licznej kadry wybitnych lwowskich naukowców, którzy rozstali się z tą uczelnią dopiero po 1944 r. Kadra ta poniosła znaczne straty w latach okupacji Lwowa. W dniu 4 VII 1941 r. Niemcy zamordowali na Wzgórzach Wuleckich 36 wybitnych uczonych lwowskich, a w tym 8 profesorów Politechniki Lwowskiej (Kazimierz Bartel, Włodzimierz Krukowski, Antoni Łomnicki, Stanisław Pilat, Włodzimierz Stożek, Kazimierz Vetulani, Kasper Weigel i Roman Witkiewicz). Po 1944 r. represjom i aresztowaniom zostali poddani profesorowie: Włodzimierz Burzyński, Stefan Banach, Stanisław Fryze, Edwin Płażek i wielu innych.

W latach 1945-1946 prawie cała kadra naukowców Politechniki Lwowskiej opuściła Lwów na zawsze i zasiliła 31 uczelni polskich, a w tym głównie Politechnikę Śląską, Wrocławską i Gdańską. W związku z tym Politechnika Lwowska słusznie może być uznana za Macierz polskich Politechnik. Lwów opuściła również duża grupa studentów Politechniki Lwowskiej i kontynuowała studia w Gliwicach i Wrocławiu. Wielu studentów lwowskich nie uniknęło po 1944 r. tragicznego losu deportacji i represji. Jednym z nich był Adam Łaniewski, mój sąsiad i kolega szkolny ze Lwowa. Zmarł on ok. 1960 r. w Magadanie na Syberii. Wśród profesorów, którzy pozostali we Lwowie byli m. in. prof. Gabriel Sokolnicki i prof. Wilhelm Mozer. Tak się złożyło, że syn prof. G. Sokolnickiego Stefan urodzony we Lwowie w 1926 r. był moim kolegą ze studiów na Politechnice Śląskiej i był wieloletnim pracownikiem energetyki wrocławskiej. Prof. G. Sokolnicki był związany z Politechniką Lwowską w latach 1900-1965. Zmarł w 1975 r. i został pochowany w Brzuchowicach koło Lwowa. Syn Prof. W. Mozera Jerzy urodzony w 1923 r. we Lwowie był moim kolegą z XII Gimnazjum we Lwowie. W latach 1943-1948 studiował na Politechnice Lwowskiej, a następnie do 1957 r. był pracownikiem naukowym na Wydziale Mechanicznym tej uczelni. Po powrocie do kraju w 1958 r. był długoletnim pracownikiem polskiej energetyki. Prof. W. Mozer urodzony w 1889 r. we Lwowie był związany z Politechniką Lwowską od 1922 r. W 1958 r. odwiedził rodzinę w Gdańsku i tam zmarł i został pochowany.

Jak już wspomniałem największa część kadry naukowców Politechniki Lwowskiej osiedliła się po 1944 r. na Śląsku, a głównie w Gliwicach, i związała się z Politechniką Śląską, która była wówczas w fazie organizacji i rozwoju.

Do tego czasu na terenie Górnego Śląska i Zagłębia nie istniała żadna wyższa uczelnia techniczna, a jedynie kilka szkół technicznych o podwyższonym poziomie nauczania m. in. w Katowicach (Śląskie Zakłady Techniczno-Naukowe) i w Gliwicach. Stan ten powodował, że przed 1939 r. bardzo wielu studentów Politechniki Lwowskiej wywodziło się ze Śląska i Zagłębia, a liczni jej wychowankowie wracali tu i podejmowali pracę zawodową.

Warunki studiowania w tamtych latach nie były łatwe. Wykłady, ćwiczenia i zajęcia laboratoryjne odbywały się w różnych budynkach prymitywnie wyposażonych i dość znacznie oddalonych od siebie. Brak było podręczników, skryptów, a nawet materiałów piśmiennych i kreślarskich, a podstawowym narzędziem pracy był

Konceptja utworzenia Politechniki Śląskiej w Katowicach powstała już w 20-ych latach, ale ze względów ekonomicznych nie została zrealizowana. Starania te wznowiono w latach 30-ych i zrealizowano niektóre budynki i prace formalno-organizacyjne. Wielkim zwolennikiem i współorganizatorem realizacji tego zamierzenia był prof. Jan Obrąpalski, ówczesny dyrektor Stowarzyszenia Dozoru Kotłowni w Katowicach i zasłużony profesor Politechniki Śląskiej w latach 1946-1958.

Organizatorem i pierwszym rektorem Politechniki Śląskiej był prof. Władysław Kuczewski, dziekan Wydziału Przemysłowego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych w Katowicach powstałego w 1936 r.

Syn prof. Kuczewskiego Zygmunt był moim kolegą ze studiów na Politechnice Śląskiej i został później profesorem tej uczelni. Zmarł w 1997 r.

Powołanie 4 Wydziałów Politechniki Śląskiej nastąpiło w maju 1945 r. Pierwsze zajęcia odbywały się w budynku Akademii Górniczo-Hutniczej, ale już w październiku 1945 r. odbyła się inauguracja roku akademickiego w Gliwicach.

Liczba studentów szybko wzrastała i w 1997 r. wynosiła ona ok. 22 tys. osób. Istniało wówczas 10 Wydziałów i 56 jednostek naukowych, a liczba nauczycieli akademickich wynosiła ogółem 960 osób, z czego ok. 100 osób z tytułem profesora.

W ostatnich kilku latach następuje dalszy rozwój uczelni i powstają nowe oddziały terenowe o kierunkach nauczania dostosowanych do wymogów nowoczesnej gospodarki i techniki.

W latach 60-ych w Opolu powstał Punkt Konsultacyjny Politechniki Śląskiej przekształcony w 1966 r. w Politechnikę Opolską. Jednym z organizatorów i zasłużonych nauczycieli tej uczelni był prof. Antoni Plamitzer. Urodził się w 1916 r. we Lwowie i w latach 1934-1940 studiował na Politechnice Lwowskiej. Po 1946 r. był pracownikiem naukowym na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej m. in. w Katedrze Maszyn Elektrycznych kierowanej przez prof. Władysława Kołka, który był również wychowankiem Politechniki Lwowskiej. Ojciec prof. A. Plamitzera Antoni Karol był wybitnym profesorem Politechniki Lwowskiej. Zmarł w 1954 r. w Krakowie.

Jak już wspomniałem na wstępie urodziłem się w 1924 r. we Lwowie, gdzie uczęszczałem do szkoły im. Ks. Kordeckiego, a następnie byłem uczniem XII Gimnazjum im. S. Szczepanowskiego przy ul. Szeptyckich. Maturę zdałem w maju 1946 r. tuż przed wyjazdem ze Lwowa do Zabrze, którego mieszkańcem jestem do dzisiaj. Moje pierwsze spotkanie z Politechniką Śląską nastąpiło późnym latem 1946 r., kiedy zgłosiłem się w dziekanacie Wydziału Elektrycznego z zamiarem podjęcia studiów.

Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z prof. Stanisławem Fryze, który był dziekanem Wydziału. Na jego wyraźne polecenie zweryfikowałem moją „radziecką” maturę i po zdaniu konkursowego egzaminu zostałem zaliczony w poczet studentów i w grudniu 1946 r. otrzymałem indeks.

Warunki studiowania w tamtych latach nie były łatwe. Wykłady, ćwiczenia i zajęcia laboratoryjne odbywały się w różnych budynkach prymitywnie wyposażonych i dość znacznie oddalonych od siebie. Brak było podręczników, skryptów, a nawet materiałów piśmiennych i kreślarskich, a podstawowym narzędziem pracy był

suwak logarytmiczny. Równie trudne warunki panowały w domach akademickich i stołówkach, a także w środkach komunikacji miejskiej i kolejowej.

Sytuacja w innych ośrodkach akademickich, szczególnie na Ziemiach Zachodnich była podobna, ale te trudne i niekorzystne warunki nie miały istotnego wpływu na poziom nauczania i końcowe wyniki. Potwierdzeniem tego może być to, że z grona moich kolegów ze studiów wywodzą się tak wybitni naukowcy, jak profesorowie: Antoni Bogucki, Adam Macura, Władysław Paszek, Henryk Zygmunt, wspomniany już Zygmunt Kuczewski i inni, a także bardzo wielu zasłużonych inżynierów na odpowiedzialnych, kierowniczych stanowiskach, głównie w przemyśle elektroenergetycznym na Śląsku i w innych regionach kraju. Wielu z nich odeszło już na zawsze.

Ogromną pomocą w pokonywaniu wspomnianych trudności w studiowaniu była niezmierna życzliwość i wyrozumiałość okazywana nam przez wspaniałych choć wymagających profesorów i ich współpracowników, a szczególnie tych, którzy wywodzili się z Politechniki Lwowskiej.

Wspomniany już Prof. S. Fryze, uczony o europejskiej sławie, pionier polskiej elektrotechniki urodził się w 1885 r. w Krakowie. Studia na Politechnice Lwowskiej ukończył w 1917 r. i był z nią związany do 1946 r. Cieszył się opinią profesora bardzo wymagającego, ale niezwykle życzliwego i o wielkim poczuciu humoru. Jego wykłady i sposób egzaminowania były niekonwencjonalne, a do historii przeszły jego wielogodzinne, interesujące naukowe dyskusje prowadzone z prof. Tadeuszem Malarskim w szczelnie wypełnionej auli Wydziału Elektrycznego. Na emeryturę przeszedł w 1960 r., zmarł w 1964 r. i spoczywa na Cmentarzu Lipowym w Gliwicach. Do grona jego licznych współpracowników i wychowanków o lwowsko-kresowych rodowodach i związkach należą tak wybitni naukowcy jak prof. Stefan Węgrzyn i prof. Tadeusz Zagajewski (współorganizatorzy Wydziału Automatyki Politechniki Śląskiej), doc. Karol Lubelski (Politechnika Częstochowska), prof. Jerzy Hickiewicz i doc. Maria Jastrzębska (Politechnika Opolska), dr Julian Bory, wspomniany już prof. Plamitzer i wielu innych. Prof. T. Zagajewski urodzony w 1912 r. we Lwowie był wychowankiem i wykładowcą Politechniki Lwowskiej. W 1992 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Śląskiej. Syn profesora Adam urodzony również we Lwowie jest znanym poetą.

Wykładowcą fizyki na Wydziale Elektrycznym i Mechanicznym był prof. Tadeusz Malarski urodzony w 1883 r. wychowanek Politechniki Lwowskiej i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

W latach 1907-1945 był związany z Politechniką Lwowską, a od 1945 r. do śmierci w 1952 r. z Politechniką Śląską. Był naukowcem o niezwykle szerokich zainteresowaniach i o wspaniałej osobowości i umiejętności współpracy z innymi. Jednym z jego współpracowników był lwowianin Jacek Ruczajewski.

Do grona najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych profesorów o lwowskich powiązaniach należał prof. Stanisław Ochęduszek urodzony w 1899 r. w Lesku. Studia na Politechnice Lwowskiej rozpoczął w 1921 r., a w latach 1925-1945 był pracownikiem naukowym tej uczelni, a także stypendystą Politechniki w Zurychu i Monachium. W 1945 r. rozpoczął pracę w Gliwicach i był jednym z głównych organizatorów Wydziału Mechanicz-

no-Energetycznego, a także rektorem w latach 1956-1959. Był autorem licznych publikacji i podstawowych podręczników z zakresu termodynamiki i teorii maszyn cieplnych. Zmarł w 1969 r. i spoczywa na Cmentarzu Lipowym w Gliwicach.

Najwybitniejszym jego wychowankiem i następcą jest prof. Jan Szargut. Urodził się w 1923 r. we Lwowie i w latach 1942-1946 studiował na Politechnice Lwowskiej. Ukończył studia w 1948 r. w Gliwicach i jest związany z Politechniką Śląską do chwili obecnej. W 1999 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Śląskiej i Częstochowskiej. Jest członkiem PAN i autorem licznych publikacji i podręczników oraz uznanym specjalistą w wielu dziedzinach energetyki cieplnej. Po przejściu na emeryturę w 1993 r. nadal aktywnie pracuje naukowo.

Równie wybitnym wychowankiem prof. S. Ochęduszyki był prof. Czesław Graczyk urodzony w 1923 r. we Lwowie. Na Politechnice Lwowskiej studiował w latach 1940-1946, a od 1946 r. do przedwczesnej śmierci w 1981 r. był związany z Politechniką Śląską. Siostra prof. Cz. Graczyka Stefania ukończyła w latach 50-ych studia na Wydziale Chemicznym, a brat Zygmunt na Wydziale Mechanicznym.

Następcą prof. S. Ochęduszyki i wykładowcą na Wydziale Elektrycznym był prof. Witold Około-Kulak, urodzony w 1909 r. w Rosji. W latach 1927-1939 studiował na Politechnice Lwowskiej. W okresie okupacji był pracownikiem lwowskiej elektrowni, a od 1946 r. był związany z Politechniką Śląską i okresowo z Politechniką Gdańską i Wrocławską. Zmarł w 1975 r. i spoczywa na Cmentarzu Lipowym w Gliwicach.

Wychowankiem prof. S. Ochęduszyki jest prof. Stanisław Jerzy Gdula urodzony w 1935 r. we Lwowie. W latach 1952-1958 studiował na Politechnice Śląskiej i był jej pracownikiem naukowym do 1978 r. Obecnie jest profesorem Politechniki Łódzkiej – Filii w Bielsku.

Do najstarszych profesorów Wydziału Elektrycznego należał prof. Wacław Günther urodzony w 1884 r. w Siedlcach. W 1910 r. ukończył studia na Politechnice Lwowskiej i do 1917 r. był tam pracownikiem naukowym. W latach 1929-1953 był związany z Politechniką Warszawską, a następnie z Politechniką Śląską i Wrocławską. Katedrą Sieci Elektrycznych kierował w latach 1961-1976 prof. Franciszek Szymik, urodzony w 1914 r. w Cieszynie. W latach 1932-1938 studiował na Politechnice Lwowskiej, a w okresie okupacji pracował w lwowskiej energetyce. Z Politechniką Śląską był związany od 1946 r. do przedwczesnej śmierci w 1979 r.

Do grona innych wykładowców i pracowników naukowych na Wydziale Elektrycznym należeli tacy lwowianie jak profesorowie: Stanisław Szerszeń, Marian Janusz, Stefan Błażyński, Eugeniusz Żaczyński, Adam Zawadzki, Zbigniew Torofski, Wincenty Podlacha, Wiktor Legeżyński i inni. Niektórzy z nich byli wychowankami wspomnianego już prof. Włodzimierza Burzyńskiego, wybitnego naukowca z zakresu mechaniki. Na Politechnice Śląskiej pracował do 1949 r., a zmarł po ciężkiej chorobie w 1970 r.

Wymagającym, ale świetnym wykładowcą matematyki był prof. Stanisław Kaliński wychowanek UJK we Lwowie. Jednym z jego asystentów był lwowianin mgr Kazimierz Szalajko.

O profesorach i pracownikach naukowych z innych Wydziałów moje wspomnienia są oczywiście skromniejsze.

Profesorem Wydziału Chemicznego był ostatni przedwojenny rektor Politechniki Lwowskiej prof. Adolf Joszt. Urodził się w 1889 r. we Lwowie i w latach 1907-1911 studiował na Politechnice Lwowskiej, a w okresie 1919-1945 był profesorem tej uczelni. Był współorganizatorem Politechniki Śląskiej i był z nią związany do śmierci w 1957 r. Spoczywa na Cmentarzu Lipowym w Gliwicach. Jego syn Kazimierz urodzony we Lwowie ukończył studia na Politechnice Śląskiej i jest pracownikiem naukowym Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach. Prof. A. Joszt był wybitnym naukowcem w dziedzinie technologii przemysłu rolniczego oraz znakomitym dydaktykiem i humanistą. W 1918 r. uczestniczył w Obronie Lwowa.

Profesorami Wydziału Chemicznego byli również wybitni naukowcy lwowscy – profesorowie: Wiktor Jakób, Edward Sucharda, Tadeusz Hobler, Czesława Troszkiewicz i inni.

Dość znaczna grupa naukowców lwowskich znalazła się po 1945 r. na Wydziale Mechanicznym. Oprócz wspomnianych już prof. S. Ochęduszyki i prof. W. Burzyńskiego i ich wychowanków należy wymienić tak znakomych i zasłużonych naukowców jak: prof. Zygmunt Ciechanowski, prof. Władysław Rubczyński, prof. Michał Affanasowicz, prof. Bartłomiej Tokarski, prof. Stanisław Bodaszewski, prof. Fryderyk Staub i wielu innych. Z niektórymi z nich zetknąłem się, ponieważ byli wykładowcami również na Wydziale Elektrycznym.

Prof. Z. Ciechanowski urodził się w 1873 r. w Bochni. W latach 1907-1944 był związany z Politechniką Lwowską, a od 1945 r. do 1960 r. z Politechniką Śląską. Był wybitnym specjalistą w dziedzinie maszyn i urządzeń hydraulicznych i wychowawcą kilku pokoleń zasłużonych naukowców i konstruktorów. Jednym z nich jest prof. Maciej Zarzycki urodzony w 1923 r. w woj. lwowskim. Studia rozpoczął w 1942 r. na Politechnice Lwowskiej i był wieloletnim współpracownikiem, a od 1960 r. następcą prof. Z. Ciechanowskiego. Prof. M. Zarzycki w latach 1950-1972 pełnił dodatkowo wiele odpowiedzialnych funkcji na uczelni i w przemyśle górniczo-energetycznym. Na emeryturę przeszedł w 1993 r., ale nadal bardzo aktywnie współpracuje z uczelnią i z licznymi instytutami naukowymi w kraju i za granicą.

Prof. W. Rubczyński urodził się w 1884 r. w Radziechowie. W latach 1903-1914 studiował na Politechnice Lwowskiej, a od 1945 r. był związany z Politechniką Śląską i okresowo z AGH Kraków. Zmarł w 1962 r. w Krakowie i spoczywa na Cmentarzu Rakowickim. Bratanek profesora Jan Rubczyński ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Śląskiej i był wieloletnim pracownikiem energetyki.

Z Wydziałem Inżynieryjno-Budowlanym byli związani tak wybitni naukowcy lwowscy jak profesorowie: Michał Paszkiewicz, Eliaz Zielski, Czesław Thullie, Stanisław Brzozowski, Tadeusz Teodorowicz Todorowski i wspomniani już Stanisław Szerszeń, Marian Janusz i wielu innych.

Prof. E. Zielski urodził się w 1887 r. k. Zaleszczyk. W latach 1907-1914 studiował na Politechnice Lwowskiej, a od 1913 r. do 1941 r. był jej pracownikiem naukowym.

Profesorem Politechniki Śląskiej był od 1945 r. do śmierci w 1953 r. Był współorganizatorem Wydziału Inżynierii Sanitarnej i wychowawcą wielu znakomych specjalistów w tej dziedzinie. Jednym z nich jest prof.

Stanisław Majerski urodzony w 1919 r. w Przemyśle, student Politechniki Lwowskiej w latach 1938-1944 i pracownik naukowy Politechniki Śląskiej od 1960 r. na emeryturę przeszedł w 1990 r., ale nadal aktywnie pracuje w dziedzinie techniki sanitarnej i ciepłownictwa. W okresie okupacji był żołnierzem AK.

Po 1950 r. na nowoutworzonych Wydziałach Politechniki Śląskiej pracę podjęli dwaj wybitni naukowcy lwowscy, a mianowicie prof. Oktawian Popowicz (Wydział Górniczy) i prof. Zygmunt Klemensiewicz (Wydział Mechaniczno-Energetyczny).

(...) W pierwszych latach powojennych pracę dydaktyczną na Politechnice Śląskiej podjęło ogółem 94 na-

Remigiusz Węgrzynowicz

55 „Jubileusz Kolumbów” Medycyny Weterynaryjnej

Białe karty naszego zawodu, szczególnie okresu II wojny światowej, zapisywane są w miarę możliwości przez Kolegów, którym los pozwolił przeżyć ten okres. Ponad pół wieku w życiu jednostki to wiele, w życiu społeczeństw – to epizod. Do niespełnionych jubileuszów absolwentów różnych kierunków studiów okresu wojny dołączam niespełniony jubileusz 55-lecia absolwentów Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie.

Jak na taśmie filmowej migają zdarzenia sprzed 60-ciu lat... **Rok 1939, lipiec** – wędrowka harcerska kajakami po pięknych rozlewiskach Prypeci (które zniknęły bezpowrotnie z krajobrazu Polesia)... kanałem Królewskim, Białoleżyskim... **Sierpień** – Harcerski Ośrodek Żeglarski nad jeziorem Narocz... czajki duńskie, ratownictwo, radość życia, optymizm, patriotyzm. **1 wrzesień** – Lwów, bombardowanie, z mundurka szkolnego w mundur wojskowy – kompania harcerska, walki – zabici, ranni, kapitulacja, okupacja sowiecka. Powrót do szkoły (bez tarczy i emblematu), matura 1940.

Akademia Medycyny Weterynaryjnej przemianowana na Lwowski Instytut Weterynaryjny. Rok 1940 – muszę zrezygnować ze studiów, podejmuję pracę zarobkową w szpitalu psychiatrycznym. Wojna sowiecko-niemiecka, nazwa uczelni zmieniona na Tierärztliche Fachkurse. Poza zmianą nazwy uczelni program nauczania nie uległ zasadniczym zmianom. Profesorowie, asystenci i pracownicy obsługi starają się sprostać zadaniom dydaktycznym i naukowym, stwarzają klimat normalności – enklawy. Wkraczając w bramy uczelni, do sal wykładowych, pracowni, klinik, znajdowaliśmy inny świat, który poza murami uczelni już nie istniał. Wspaniali Nauczyciele, mimo degradacji nazwy uczelni, świadomości jaką spełnia polska uczelnia o znakomitej renomie i bogatej tradycji akademickiej, starali się rangę tę zachować mimo niesprzyjających warunków. Rozumieliśmy, że wartości jakie możemy czerpać z polskiej szkoły są ponad zdarzeniami okupacyjnymi. Wysoki poziom nauczania, bez taryfy ulgowej, mobilizował młodzież do zdobywania wiedzy z pełnym zaangażowaniem. Świadomość, że tylko wiedza jest podstawą egzystencji narodu pozwalała wytrwać i docenić wysiłek naszych Nauczycieli. Zaangażowanie w naukę pozwalało oderwać się na chwilę od brutalnej rzeczywistości okupacyjnej.

Korzystaliśmy z przywileju, że wykładali polscy profesorowie. Za zgodą władz niemieckich mogło być 50% studentów polskich i 50% ukraińskich. Jak te procenty

ukowców o lwowskim rodowodzie, a w tym 41 profesorów, 33 adiunktów i 20 asystentów. Bardzo wielu z nich odeszło już na zawsze.

Grupa studentów, w której rozpoczynałem studia w 1946 r. na Wydziale Elektrycznym był dość duża i liczyła ponad 150 osób. Była już znacznie zróżnicowana, szczególnie pod względem wieku i miejsca urodzenia, sytuacji materialnej i przeżyć okupacyjnych. Różnice te nie miały istotnego wpływu na nasze wzajemne stosunki, na ogół przyjacielskie, a często serdeczne. W naszym gronie na pierwszym, a także na kolejnych latach studiów nie było żadnej koleżanki.

(c.d.n.)

Lwowskiej Akademii

przedstawiały się faktycznie, wiedział tylko Pan Bóg i... sekretarz uczelni – Jasio Szymański. Ilu wybronił zaświadczeniami od wywózki na roboty i innych represji, a za 2-gich Sowietów od wojska – niechaj Jemu Najwyższemu da uprzywilejowane miejsce na chmurce. Koegzystencja z kolegami narodowości ukraińskiej nie stwarzała problemów, mimo napiętej sytuacji politycznej i bardzo aktywnej działalności nacjonalistycznej. Mówili do nas po ukraińsku mimo, że lepiej znali język polski. My odpowiadaliśmy po polsku. Profesorowie wszyscy, nawet pochodzenia ukraińskiego (Grzycki, Skowroński, Łopatyński) zaczęli wykład po niemiecku, a kończyli po polsku (wychowani byli w kulturze polskiej). Jeden z wykładowców, dr Stachurski, Ukraińiec, bał się nacjonalistów, więc zaczynał wykład: „budu choworyl po polsku, ne znaju dobre terminologii ukraińskiej”. Znany mikrobiolog, prof. Andrijewski z Warszawy, prawdopodobnie Białorusin z pochodzenia, był poliglotą. Mówił: „wir müssen wissen das mokry nos to tiazka bolezni” – rozumieliśmy wszyscy.

Na zajęciach łączyła nas wszystkich ciekawość wiedzy, którą czerpaliliśmy od naszych nauczycieli. Świadomość, że mimo pozorów faktycznie jesteśmy na polskiej uczelni, pozwalała nam na trochę optymizmu w tych trudnych czasach. Nie przeszkadzały nam na zajęciach prosektoryjnych kabury z pistoletami, wystające spod fartuchów kolegom Ukraińcom. Nosili je oficjalnie. My musieliśmy być dyskretni na temat naszej działalności poza uczelnią.

W domu było „głodno i chłodno”. Przez całą zimę uczyłem się w nieopalanym pokoju, w kufajce, przy lampie naftowej. Trudności (największe spośród wszystkich miast polskich) w zdobywaniu żywności, nie sprzyjały nauce. Jak wielu innych karmiłem wszy (własną krwią) na produkcję szczepionki p.tyfusowej w instytucie prof. Weigla, a później Behringa. Zajęcie to dawało „Ausweis”, który honorowany był przez Niemców w czasie łapanek ulicznych. RGO dawało niektórym obiady tzn. zupę. Była to dla nas znacząca pomoc – stanowiła niekiedy jedyny posiłek dzienny. Niektórzy profesorowie (prof. Klisiecki i inni) dyskretnie wspomagali nas finansowo. Zdawali sobie sprawę, że natychmiast kupimy biały chleb i tuszonkę na czarnym rynku. Przekupki lwowskie znały studentów. Kupującym po drodze na uczelnię często dawały więcej żywności, przekraczającej wartość pobranej kwoty. Odruchy humanitarne zdarzały się czasem także u Niemców. Doc. Sedelmeier

obserwując młodzież konsumującą kielbasę, którą przyniósł, przeznaczoną do „degustacji”, ukrywał wzruszenie. Wiadomość o padłym koniu na klinice rozchodziła się szybko. Rozdział mięsa dla pracowników i studentów odbywał się solidarnie – w prosektorium.

Pomimo trudnych warunków bytowych i psychicznego pressingu okupanta wymagania na egzaminach i zaliczeniach były wysokie. Nie byłem najlepszym studentem (jak Zdzisiek Larski, Bronek Hauptman czy Nina Andrus), ale w indeksie zachowanym do dzisiaj, ze stroną tytułową po łacinie, pieczętą niemiecką – Staatliche Institute – naliczyłem 7 celujących, 4 b. dobrych, 15 dobrych i 3 dostatecznych. Na te dostateczne patrzę dzisiaj z zażenowaniem. Wspominam o tym, ponieważ po wojnie, w 50-letniej pracy nauczyciela akademickiego, nota dostateczna była nazywana przez studentów „państwową” albo „królewską”. O tempora, o mores! Jak bardzo zaangażowana była młodzież w zdobywanie wiedzy świadczy zdarzenie humorystyczne, ale prawdziwe: kolega żartowniś wychodząc z egzaminu na „gieldzie” wymyślał „pytania”, które rzekomo otrzymał. Koleżanka, dla której nota poniżej b.d. nie istniała, zrezygnowała w tym dniu z egzaminu, aby sprawdzić, jaka jest właściwa odpowiedź. Oczywiście nie znalazła. Wysokie wymagania naszych Nauczycieli wspominam z wdzięcznością i szacunkiem. Przygotowali nas do tego pięknego zawodu doskonale. Wielu naszych kolegów reemigrantów przywiozło ze Lwowa oprócz skromnego bagażu materialnego, bogaty bagaż intelektualny, dobre wykształcenie. Nasze pokolenie uzupełniało powojenne braki polskiej inteligencji. Wszyscy brali czynny udział w organizowaniu życia społecznego. Pierwsze powojenne ćwiczenia z botaniki prowadziłem we Wrocławiu ze studentami w większości starszymi wiekiem ode mnie. Była to młodzież, która nadrobiła okupacyjną przerwę w nauce. Wielu kolegów organizowało od podstaw służbę weterynaryjną na tzw. ziemiach odzyskanych, w warunkach często niecodziennych.

Wydział Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu, dzięki Szkole Lwowskiej, posiada wysoką rangę w naszym zawodzie.

Po 55 latach nieliczna już garstka studentów wojennych ze Lwowa z najwyższym szacunkiem i głębokim sentymentem wspomina tamtych wspaniałych Nauczycieli, którzy już dawno przeszli smugę cienia.

Niezapomniana postać (z brodą, w owijaczach) prof. Moraczewskiego, wysokiej rangi uczonego. Wykładał chemię w starym budynku uniwersytetu przy ul. Mikołaja, asystował Jara (prof.). Wykładał również patologię ogólną. Był doskonałym lekarzem. Wizytował chorych studentów w ich domach. Sporządzał leki – oczywiście bezpłatnie. Nie wyjechał ze Lwowa. Pozostał w swoim zakładzie.

Prof. Bant – anatom, bardzo wymagający, o nienagannych manierach. Kłanialiśmy się z daleka, ponieważ często wyprzedzał nas ukłonem! Jego laborant, Bybryło, znał świetnie osteologię. Korzystaliśmy z Jego konsultacji przed kolokwium.

Dużym powodzeniem cieszyły się wykłady prof. Poluszyńskiego z zoologii. Mówił ze swadą, popisowo, zwłaszcza ewolucjonizm. Uwagę naszą mogła rozproszyc tylko piękna asystentka, Lala Łobazewska, która siedziała jak posążek z porcelany, rzucając uroki na płeć brzydszą.

Wykłady prof. Janowskiego, mimo że były kwieciste i nie leżały w głównym nurcie naszych zainteresowań, okazały się bardzo użyteczne w paszoznawstwie i farmakologii.

Histologię z embriologią wykładała doc. Z. Sembratowa. Nie używała rzutnika. Nie przerywając wykładu wyczarowywała kolorowymi kredkami na tablicy piękne preparaty mikroskopowe. Wykłady Jej cieszyły się wielkim powodzeniem.

Prof. A. Klisiecki, wybitny fizjolog – humanista, przyciągał młodzież, wspierając ją radą i materialnie. Jego wykłady to w znacznym stopniu wyniki badań własnych. Mówił interesująco, ale bardzo cicho. Siedzieliśmy w stylowej sali (dawnego pałacyku Batyckich, gdzie mieściły się cztery zakłady: Botaniki, Higieny, Środków Spożywczych Poch. Zwierzęcego, Hodowli i Fizjologii), kotary zasłaniające okna stwarzały nastrój szczególnej intymności, izolując nas od tego, co działo się na ulicy. W ciemnej sali na ekranie przeżycia i ciepły, cichy głos profesora: „Ituś, mówiłem, nie chodź do panów, bo cię skrzywdzą”. Piesek profesora, foxterier, chodził podczas wykładu między stołami. Jak dostał prztyczka od studenta, przestraszony przybiegał do profesora. Innym razem profesor, nie zmieniając intonacji wykładu mówił: „kolego, nie spać, kolego, nie spać”, dotykając delikatnie wskaźnikiem siedzącego przy pierwszym stole studenta, którego twarz oświecał blask ekranu. Profesor czynił to tak delikatnie, że student dopiero za trzecim razem ocknął się.

Wykłady z hodowli prowadzone przez prof. Hermana, były bardzo interesujące. Swada, z jaką wykładał, nie budziła najmniejszych podejrzeń, że dźwiga ciężar dowództwa okręgu AK. Był jednym z głównych oskarżonych w procesie moskiewskim przeciw dowództwu AK.

Profesora Skowrońskiego wykłady z farmakologii, farmacji i toksykologii były bardzo wszechstronne (fizjologia, anatomia, botanika, geografia, historia itd.). Zawsze powtarzał: „lekarz musi znać genezę, a nie tylko działanie i dawkę, a ponadto należy studiować, a nie uczyć się”. Był uczniem prof. Moraczewskiego, umysł encyklopedyczny. Asystenci pytani o szczegóły odpowiadali, kończąc: „ale proszę jeszcze do profesora, bo profesor wszystko wie”. Kiedy zmęczony czterogodzinnym egzaminem student wahał się z odpowiedzią, profesor mówił np.: „proszę wejść na drabinę, pięta półka od góry, siódma książka od prawej, str. 15”. Student przeczytał odpowiedź.

Profesor Szczudłowski był doskonałym dydaktykiem. Prowadził ćwiczenia z chirurgii, położnictwa i ortopedii. Znał prawie każdego studenta. Ortopedia, badania koni odbywały się na wolnym powietrzu, bez względu na pogodę! W czasie egzaminu, zapytany o metody operacyjne, oprócz wymaganych wymieniał jeszcze dwie (chciałem się popisać!), profesor z uśmiechem wymieniał jeszcze dwie. Wpisał notę celującą, ale równocześnie uczył pokory wobec wiedzy.

Anatomię patologiczną wykładał prof. Zakrzewski. Mówił pięknie, słuchaliśmy zaurzeczni. Przedmiot martwy ożywał w naszej wyobraźni. Anegdota i powiedzonka utrwały wiedzę: „pus bonum et laudabile”, „ubi pus ibi evacuatio”, „cześć nauce, cześć, wiwat 606. Nie martw się już panna Willis, już nie grozi ci... nic złego”. Chodziło oczywiście o salwarsan, preparat 606, odkrycie Enricha dot. leczenia syfilisa.

Internę, w zastępstwie prof. Markowskiego, wykładał prof. Łopatyński z Warszawy. Doskonały dydaktyk. Autor wielotomowych skryptów. Bardzo wymagający. Zajęcia kliniczne prowadził osobiście. Egzamin trwał w nieskończoność. Na ćwiczeniach kolega Witek (prof. gimnazjalny) stoi w pierwszym rzędzie i potakuje profesorowi. Myślimi jest daleko. Profesor widząc uważnego

słuchacza prosi go o zbadanie rectalne klaczy. Witek przebudzony z zadumy, wkłada rękę do pochwy. „Piętro wyżej, kolego”, podpowiada profesor. „Co pan teraz wyczuwa?” – pyta. Student w błogim uśmiechu nie wie co odpowiedzieć. „Pączki” – podpowiada profesor. „Najpierw należy prostnicę opróżnić”!

Propedeutykę kliniczną małych zwierząt prowadził doc. Smoliński. Czynił to bardzo interesująco.

Po drugim wejściu Sowietów do Lwowa na uczelnię powrócili profesorowie Trawiński i Mikulaszek. Uczeń o wielkiej renomie.

Prof. Markowski był pierwszym dziekanem we Wrocławiu. Prof. Olbrycht powrócił do Wrocławia z Anglii. Przez dłuższy okres do Wrocławia dojeżdżał prof. Runge. Wspaniała postać. Bardzo ofiarnie wspomagał młodą kadrę w uzyskiwaniu stopni naukowych.

Trudno nie wspomnieć niektórych asystentów naszej uczelni: anatomia – Niżankowski, Buluk, Baran (Barnecki); histologia – Lorenc, Kicia; chemia fizjologiczna – Ewy, Wandokanty; mikrobiologia – Skórski; zoologia – Łobazewska; interna – Gancarz; fizjologia – Załucki; położnictwo – Senze; chirurgia – Szot, Stelmach, Połębski, Pedle; anatomia – Bydryło; portiernia – Łazurko; chirurgia – Mryc; anatomia patologiczna – Paweł ...?

Nielatwo wymienić wszystkich kolegów z jednego roku. Niektórzy kontynuowali przerwane studia, inni przerywali. Aresztowania, wywózki, wyjazdy do Rzeszy



Własnoręczny podpis właściciela książeczki:

Remigius Węgrzynowicz

na szczepienia trzody chlewnej, powrót ukrywających się partyzantów, Żydów – wiele zdarzeń zaciera się w pamięci. Spis „Jubilatów Kolumbów” z pamięci jest bardzo niekompletny. Studiowaliśmy systemem semestralnym, a później trymestralnym. Niektórzy odrabiali zaległe trymestry, kontynuując równocześnie na właściwym. Większość Kolegów odeszła już na wieczną służbę młodszym braciom, czworonogom i skrzydlatym, którym nieśli pomoc w życiu ziemskim. Wszyscy żyjący to emeryci. Wybacz mi żywi i ci, co odeszli, oraz koledzy Ukraińcy, że nie wymienię wszystkich, lecz pamięć jest zawodna:

N. Andrus (prof.), Borsukiewicz, Binnstock (Ulanicki), Bączar, Śliwa (dr), Bielecki (prof. plk), Hauptman (dr), Bedryło, Damm (dr), Dorosz (dr), Jagła, Jakimow, Jankowski St. (dr), Hryciów, Jacko, Chrzanowski, Furgała-Zarzycka, Kryszczukajtis, Larski (prof.), Lipanowicz (prof.), Messing (Gajek), Potaszyńska-Silicka (prof.), Stechlik Zdz. (dr), Stechlik H. (dr), Jaworski K. (dr), Martynowicz (prof.), Głowacz, Wnuk (dr), Baczyński, Łazurko (dr plk), Jaszczuk, Wójcicki, Szeremeta, Radomański, Wiszniewski, Lewandowski (prof.), Wierzbicka-Trawińska (prof.), Węgrzynowicz (prof.), Zakrzewski, Korzinek, Zarzycki (prof.)...

SIC TRANSIT...

PS. Mam nadzieję, że pełny spis studentów z okresu wojny zostanie opublikowany w przyszłości przez Kolegów zajmujących się historią naszego zawodu.

Nr

NOS RECTOR
ACADEMIAE MEDICINAE VETERINARIAE
LEOPOLIENSIS

hac tabula profiteamur testatumque esse volumus
Dominum *Remigius Węgrzynowicz*
oriundum *Lemberg*

in album

ACADEMIAE MEDICINAE VETERINARIAE
LEOPOLIENSIS

rite relatum esse. Eius rei fidem nomen ipsum
subscripsimus.

Leopoli, die 18. mensis Aprilis 1942.

Mari Habusany

Rector
Academiae Medicinae Veterinariae

Heinrich Habusany

Klementyna Dominas Miliccy harcerze w akcji

Już czwarty raz z rzędu w dniu 1 listopada spotkać można było na cmentarzach milickich i w okolicznych miejscowościach harcerzy z puszkami, na których widniał napis: „Zbiórka na odbudowę Cmentarza Orląt Lwowskich”. Inicjatorem tych akcji rokrocznie było TMLiKPW – Klub w Miliczu. Ponieważ członkami Klubu są przeważnie ludzie w podeszłym wieku, schorowani i nie zawsze sprawni, poproszono o pomoc, tak jak i w latach poprzednich, milickich harcerzy Hufca ZHP, którzy z ochotą przystąpili do akcji rozszerzając ją na okolice jak: Krośnice, Wierzchowice, Sułów, Cieszków i Pakosławsko. We wszystkich miejscowościach nad prawidłowym przebiegiem akcji i bezpieczeństwem nieletnich zbieraczy czuowali członkowie TMLiKPW zaopatrzeni w odpowiednie pisma zezwalające na zbiórkę. Nie bacząc na dżdżystą i wietrzną pogodę mali harcerze wytrwale stali na wyznaczonych stanowiskach i w rezultacie – po przeliczeniu – mogliśmy przekazać na wrocławskie konto 4 tys. złotych.

Zadowoleni ze swej udanej akcji harcerze z ochotą pozwolili się sfotografować, czego dowodem niech będzie powyższe zdjęcie.

My zaś członkowie TMLiKPW tą drogą pragniemy podziękować tak Harcerzom jak i ich opiekunom za tak wielkie ich zaangażowanie, a Ofiarodawcom, którzy hojną ręką wkładali do puszek nie tylko bilon, ale i banknoty – po staropolsku mówimy „Bóg zapłać Kochani”.

Niech ten cmentarz, na którym spoczywają bohaterowie „dzieci „Polską obląkani” (jak pisał poeta) mają godne owych czynów miejsce spoczynku”.

Zbiórka pieniędzy na cmentarz Orląt Lwowskich we Lwowie

Harcerze zbierali pieniądze

(Notatka z „Gazety Milickiej” z dn. 6. 11. 2001 r.)

Aż 4.060, 08 zł zebrali harcerze 1 listopada na cmentarz Orląt Lwowskich we Lwowie. Zbiórka była



VI drużyna harcerska „Baryczanie”

przeprowadzona na cmentarzach w Miliczu, Cieszkowie, Pakosławsku, Sułowie, Krośnicach i Wierzchowicach.

Organizatorem zbiórki było Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, którego klub ma swoją siedzibę w Miliczu. Członkowie Towarzystwa poprosili Komendę Hufca ZHP w Miliczu o przeprowadzenie zbiórki pieniędzy, które zostaną przeznaczone na odnowienie cmentarza Orląt Lwowskich we Lwowie. Harcerze ochoczo przystąpili do działania. Zbiórka została przeprowadzona 1 listopada, w Święto Zmarłych, na cmentarzach w Miliczu, Cieszkowie, Pakosławsku, Sułowie, Krośnicach i Wierzchowicach. I tak na cmentarzu w Cieszkowie i Pakosławsku harcerze z III Cieszkowskiego Środowiskowego Szczepu Drużyn Harcerskich „Sokół” zebrali 178,28 zł. Na cmentarzu w Sułowie harcerze z 23 Drużyny Harcerskiej „Meksyk II” zebrali 85,03 zł. Z kolei na cmentarzach w Krośnicach i Wierzchowicach harcerze z Drużyny Harcerskiej „Orsza” z Krośnic i krośnickiej Gromady Zuchowej zebrali 75 zł. Na cmentarzu komunalnym w Miliczu harcerze z drużyn „Pantarei”, „Albatros”, „Pluton” i „Grom” zebrali 212,22 zł. Natomiast na cmentarzu parafialnym w Miliczu harcerze z Drużyny Harcerskiej „Baryczanie” zebrali aż 3.509,28 zł. □

Janina z Mikuszków-Hrycekowa Wspomnienia z „podróży” w jedną stronę

Śledząc wspomnienia Kresowian, tj. Polaków, którzy do 1945 r. zamieszkiwali tereny na wschód od Sanu, zauważam, że gdy opisują swoje przeżycia, to nawiązują do okresu okupacji rosyjskiej i niemieckiej. Natomiast wydaje mi się, że ludzi tych najczęściej dowiadzały chwile, gdy często w pośpiechu, bez należytego rozeznania, musieli opuszczać własne domy i udawać się na tzw. zachód. Tak też było w przypadku moim i naszej rodziny.

Mieszkaliśmy w Przemyślanach – przed wojną powiatowe miasteczko w województwie tarnopolskim. Dom nasz usytuowany był naprzeciw kościoła i dwóch szkół powszechnych (męskiej i żeńskiej). W czasie okupacji niemieckiej stacjonował w nich Wehrmacht. W maju 1944 r. zaszedł do nas Niemiec (wojskowy), który wcześniej mieszkał u nas na kwaterze. Poprosił moją Matkę i powiedział, że wojsko niemieckie cofa się i oni z Przemyślan wyjeżdżają. Dlatego radzi nam aby najlepiej jak najszybciej wyjechać na zachód, gdyż w związku ze zbliżającym się frontem, fatalną sytuacją polityczną

oraz domem zlokalizowanym w pobliżu szkół, w których skoszarowane było wojsko, jesteśmy szczególnie zagrożeni. Niezależnie od tej rady, prowadząc rozmowę z Matką i znając trudne położenie Polaków przekazał mojej Matce kilka ręcznych granatów. Nauczył ją posługiwać się nimi i stwierdził, że mogą się przydać do obrony własnej. Przestraszona Matka zrelekcjonowała rozmowę Ojcu, po czym Rodzice podjęli decyzję o natychmiastowym wyjeździe na zachód. Powstał jednak problem dokąd jechać? Nie mieliśmy bowiem nigdzie na zachodzie Polski ani krewnych ani osób bliskich, do których można by się udać. Tymczasem w domu było nas coraz więcej, bo schronił się jeszcze mój starszy brat – nauczyciel z żoną i dwójkiem małych dzieci (jedno cztero-, a drugie dwuletnie).

Tulaczka rozpoczęła się od wykupienia wagonu, oczywiście towarowego. Spakowaliśmy trochę rzeczy. Ojciec, doświadczony podczas I Wojny Światowej, pilnował tylko aby wszyscy zabrali swoje najważniejsze

dokumenty, metryki, dyplomy itp. Reszta, tj. kilimy, meble, maszyna do szycia, sprzęt gospodarczy itd. – zostały, bo przecież wierzyliśmy, że wkrótce wrócimy z powrotem do siebie. Niestety, okazało się, że podróż odbyła się tylko w jedną stronę. Była straszna, wyczerpująca i długa. Wagon podzieliłiśmy na dwie części. W jednej części my z tobołkami, a w drugiej części nasza żywicielka – krowa i trochę karmy dla niej. Na marginesie chciałabym naświetlić, że Ojciec nie był rolnikiem lecz pracownikiem poczty. Byliśmy jednak liczną rodziną (siedmiu dzieci) i właśnie dlatego Matka zawsze dbała żeby dla dzieci było mleko własne, tym bardziej, że już nie tylko dzieci ale i wnuki jechały (Lesław i Antoni). Stąd wzięliśmy z sobą własną krowę.

Skierowaliśmy się w stronę Mielca, bo z oddalonej od niego o 20 km miejscowości Otałęż pochodził nasz sąsiad, Pan Głowacki, który chroniąc się przed aresztowaniem uciekł z Przemyślan w 1939 r., natychmiast po wkroczeniu Sowietów. Ta ciężka podróż trwała 8 dni, w czasie których raz nas z wagonem odstawiano na boczny tor i potem znowu dołączano do składu pociągu, czasami trzeba było czekać na dołączenie całą noc. W końcu dojechaliśmy do Mielca i wagon ostatecznie odstawili na boczny tor nakazując jak najszybsze jego opuszczenie. Tak też uczyniliśmy – zmęczeni, zmartwieni wyszliśmy z „całym dobytkiem” lecz tu nikt na nas nie czekał i stawialiśmy sobie pytanie co dalej? I tu niespodziewanie zjawia się były burmistrz przemysłański dr Stelmachowicz, który, jak się później okazało, mieszkał w Mielcu, o czym nie wiedzieliśmy. Od kogoś dowiedział się o koczujących na dworcu uciekinierach z Przemyślan i przyszedł do nas z żoną, która przed wojną była nauczycielką gimnazjalną i uczyła mnie logiki oraz propedeutyki w ostatniej klasie ośmioklasowego gimnazjum w Przemyślanach. Oczywiście serdecznie powitali moich Rodziców, wszystkich nas nakarmili, postarali się o samochód, którym dotarliśmy do Otałęży. Odszukaliśmy w niej Państwa Głowackich, którym „na głowie” siedziało już kilka rodzin będących w podobnej jak my sytuacji. Mimo to Pan Głowacki natychmiast nami się zajął i podjął się trudu znalezienia jakiegoś lokum dla nas – nieoczekiwanych gości. I okazało się, że nie było to łatwe zadanie. W końcu umieścił nas w małym domku u Pani Rżany. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że mamy skromny kącik. Niestety nie trwało to długo.

Już w sierpniu, jak grom z jasnego nieba, spadła na nas wiadomość, że front rosyjsko-niemiecki zatrzymał się na niewielkiej rzece Breń nieopodal przepływającej. Znowu przyszło nam uciekać, lecz tym razem nawet nie zdążyliśmy zabrać swego skromnego dobytku i uciekaliśmy pod gradem kul. Uchodząc z życiem zatrzymaliśmy się we wsi Surowa, wcześniej koczując 2 dni w lesie, gdzie jedynym naszym pożywieniem były leśne owoce. Następnie do Surowej zajechała sowiecka kuchnia polowa. Jeden z kucharzy, do którego zwróciliśmy się o pomoc mówił dobrze po polsku. Dla nas jednak to było najważniejsze, że przez kilka dni dawał naszej rodzinie zupę z kotła i chleb. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że domek Pani Rżany, w którym mieszkaliśmy i zostawiliśmy, uciekając pod gradem kul, resztkowy dobytek, spalił się doszczętnie. Tak więc straciliśmy dosłownie wszystko, pozostaliśmy w jednym ubraniu. Zupę nam straciliśmy głowę nie wiedząc co dalej robić. Zdjąłem zegarek i pierścioneł z ręki i posłałem do oficera sowieckiego przekazując mu ostatnie „precjoza” i

prosząc o pomoc w wydostaniu się z tego „piekła”. Udostępnił nam samochód, którym mogliśmy dojechać do głównej drogi, a następnie kolejnym samochodem chcieliśmy dotrzeć do Dobromila – rodzinnej miejscowości mego Męża. Tym razem powiodło się nam lecz niestety po drodze dowiedzieliśmy się, że Dobromil (mimo, że zaledwie o parę kilometrów od Przemyśla) jest już za granicą. Dlatego wysiedliśmy w Przeworsku, bo stąd pochodził kolega Męża z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, współpracownik prof. Weigla – Julian Końciewicz. Odszukaliśmy go, przyjął nas serdecznie lecz nie mógł nam zapewnić miejsca. Pozwolono jednak moim Rodzicom, mnie z Mężem i najmłodszej mojej siostrze przez parę nocy spać w pobliskiej małej szopce znajdującej się obok domu.

Następnie udałam się z Mężem do Urzędu Miejskiego, do sekretarza Rady Miejskiej w Przeworsku. Przyjął nas bardzo nieprzychylnie mimo, że Mąż pokazał mu posiadane dokumenty, świadczące o pracy początkowo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a potem profesora gimnazjalnego w Przemyślanach. Nie było mowy o tym abyśmy mogli gdzieś zostać zakwaterowani. „Goli i bosi” udaliśmy się na wieś Żurawiczki, gdzie w sposób ludzki, w poczuciu dobrze spełnionego patriotycznego obowiązku, przyjęła nas prosta lecz duchowo szlachetna kobieta – Pani Jamrozyna. Przyjęła nas bezinteresownie z otwartym sercem i nakarmiła. Zaproponowała Rodzicom noclegi w mieszkaniu, a mnie z Mężem i najmłodszej siostrze Józefie w szopie. Przez kilka kolejnych dni codziennie udawaliśmy się z Mężem w poszukiwaniu mieszkania i pracy do Przeworska.

Któregoś dnia przypadkowo spotkaliśmy mgr. Jana Ćwierza, dobrego kolegę Męża ze studiów, który już zdążył zorganizować gimnazjum, była bowiem połowa września 1944 r. I tak zaczęło się nasze nowe trudne życie. Dyrektor Ćwierz stwierdził: „Podział godzin już ustalony, godziny lekcyjne rozdzielone, bo przytuliłem kilkunastu profesorów kresowych, ale jednak trzeba i wam coś przydzielić” i tak zrobił. Zaczął więc mój Mąż pracować lecz do pracy dochodził ciągle z Żurawiczek oddalonych o 7 km od Przeworska. Tymczasem zbliżała się zima, a my ciągle poszukiwaliśmy jakiegoś kąta. I tu zetknęliśmy się znowu z serdecznością Dyrektora Ćwierza, który pozwolił nam sprowadzić się do małego pokoiku w dawnej oberży Lubomirskiego naprzeciw parku. Tworzono tu internat dla uczniów z okolicznych wiosek, w którym Mąż został wychowawcą i następnie pełnił tę funkcję nieprzerwanie aż do 1976 r. (do nieprzemyślanej decyzji władz szkolnych, dotyczącej likwidacji tak bardzo dla dzieci wiejskich potrzebnego internatu, przy czym opis przyjętej przez ówczesne władze formy likwidowania tego dobroczynnego obiektu będzie przedmiotem moich następnych wspomnień charakteryzujących trudne życie przedwojennych profesorów w czasach socjalizmu w przeworskim gimnazjum). Wracając do 1944 r. chciałabym wspomnieć, że Rodzicom moim także udało się znaleźć mały kącik – pojedynczy pokój u przeznaczonej Pani Zofii Wojtynowej na Przedmieściu w Przeworsku.

Spotkaliśmy tu kilka szlachetnych, życzliwych rodzin, o których trudno nie wspomnieć. Przede wszystkim notariusza Stepkiewicza, a zwłaszcza Panią Wandę Stepkiewiczową, która podarowała nam pierwsze łóżko, stół i tzw. psychę – jaki to dla nas wtedy był luksus! Wspomnę też o Pani Irenie Ryszkowskiej. Pani Irena

szczególnie pomagała wygnańcom kresowym i dotyczyło to nie tylko nas, ale np. Pani Papee, której szwagier był od czasów przedwojennych wysokim urzędnikiem w Watykanie. Natomiast sama Pani Papee, mimo że wszechstronnie wykształcona, była osobą mało zaradną, a może lepiej powiedzieć zagubioną w nowej rzeczywistości. Mieszkania też nie dostała i do końca życia mieszkała dosłownie w komórce pozbawionej światła elektrycznego i bez pieca, przygotowując się do lekcji przy lampce naftowej. Właśnie ją szczególną troską otoczyła Pani Ryszkowska, wspomagając finansowo, a mówiąc wprost to ubrała ją od stóp do głowy. Chciałabym wspomnieć także wiele innych osób z Przeworska podających rękę nie tylko nam, ale i innym rodzinom uciekinierów, np. Państwa Walaszków (Helenę i Marcelego), Pana Ruta z Przedmieścia, przewielebnego przeora klasztoru Barnardynów w Przeworsku, a był nim wówczas (1944/1945 r.) Ojciec Janusz. Gdy przeor dowiedział się, że mój najstarszy brat Zygmunt (przed wojną w kościele św. Elżbiety we Lwowie) jest księdzem, podszedł w kościele do mojego Ojca (wówczas człowieka siedemdziesięcioletniego, który cały swój i swoich przodków dobytek zostawił pod Lwowem) i zaprosił Go na zaplecze, po czym powiedział, że od tego momentu, a był to piątek, „... w każdy piątek proszę po mszy przychodzić do mnie ponieważ postanowiliśmy, że

datki złożone na tacę w tym dniu będą przekazywane Panu i Pańskiej Rodzinie”.

Tak mijał czas połowy lat czterdziestych ubiegłego wieku. Niedługo potem wkraczająca nowa rzeczywistość wprawiała nas w osłupienie. Na przykład Dyrektora Ćwierza zwolniono z pracy z dnia na dzień, nie podając żadnego uzasadnienia merytorycznego. Praca w szkolnictwie stawała się coraz cięższa. Następował upadek moralności przy braku wszelkich zasad. Na zakończenie posłużę się chociażby jednym przykładem. 30 kwietnia 1973 r. otrzymaliśmy wiadomość z Przemyśla, że umierający jest brat mojego Męża – Kazimierz Hrycek – wybitny, ogólnie znany w całym województwie tak lwowskim, a potem rzeszowskim, filolog klasyczny. Mąż, będąc człowiekiem z zasadami, zwrócił się do ówczesnego dyrektora, aby zwolnił go z uroczystości pierwszomajowych, ponieważ chciałby ostatni raz zobaczyć się z bratem, i oczywiście nie uzyskał od niego pozwolenia. Brat Męża zmarł 2 maja 1973 r. Należy zadać sobie pytanie czy tacy ludzie jak ów dyrektor pomagali swemu systemowi czy szkodziли. Uważam, że szkodził, bo w owym systemie funkcjonowało też wielu rozsądnych ludzi. Wspomnienia o nich pozwolę sobie przedstawić w następnym artykule obejmującym m. in. reminiscencje po niezwykłym, katolickim pogrzebie mojego Męża, będącym manifestacją ludności Przeworska żegnającej pracującego dla niej pedagoga. □

Marek Rogalski

Obiekty sakralne na Kresach – Felsztyn

Miasta i miasteczka tak bogato wplecione w historię Polski, nierozdzielnie związane ze starymi nazwiskami polskich rodów, skupiają się tuż za wymuszoną obecnie granicą, na pld.-wschód od Przemyśla. Tu rody magnackie zakładały swe obronne grody, zamki, fundowały kościoły, klasztory, budowały miasta. Niżankowice, Dobromil, Felsztyn, Laszki Murowane, Stara Sól, Stary Sambor, co spojrzysz – zamczysko, gród, ruiny zamku... Świadczą one o polskości tych ziem, chociaż w ruinie, podobnie jak z dala widoczne wieże kościołów, często okaleczone, nieme z bólu i smutku, wznoszą swe krzyże ku niebu. Przy nich wiernie sygnaturki dopraszające się skradzionych im dzwonów, to widok dzisiejszy tego krajozrazu, lecz one stoją i trwają w niemym proteście! Pośród nich FELSZTYN, dziś dla zmylenia zwiedzających Polaków „Skeliwką” nazwany...

Historia

Wczesne dzieje Felsztyna są nierozdzielnie związane z rodem Herburtów, pochodzącym ze Śląska, notowanym po raz pierwszy w dokumencie ks. Władysława Opolczyka z 23. XI. 1374 r.! Dotyczył on nadania braciom Herbordowi i Frydruszowi dziewięciu wsi w ziemi przemyskiej. W dokumencie z 14. X. 1400 r. wymienione jest „oppidum Felsztyn”, jako własność wdowy po Herbordzie i jej syna Mikołaja. Ród pierwotnych właścicieli wygasł na Janie Lwie, synu Jana Szczęsnego. Od tego czasu Felsztyn wielokrotnie przechodzi z rąk do rąk. W r. 1646 właścicielem jest Mikołaj Daniłowicz, w r. 1721 Stanisław Brześciński, w r. 1783 Józef Wandalin Mniszech. W końcu XVIII w. majątek stanowi własność rodziny Kriegshaberów, potem zakupiony przez Stanisława Katyńskiego h. Pielesz. Po jego śmierci

Felsztyn odziedzicza krewna Maria Ginsłowa, a po niej ostatnie już dwie właścicielki – Olga Ruszkowska i Michalina z Ginsłów Mitschowa. Parafia w Felsztynie powstała przed 1418 rokiem, w którym wymieniony jest tamtejszy proboszcz Idzi. 4. V. 1593 r. Erazm Herburt wraz z proboszczem felsztyńskim Jakubem Mroczkowskim, za zezwoleniem bpa przemyskiego Wawrzyńca Goślickiego, przeprowadzili odnowienie fundacji oraz wszystkich przywilejów kościoła i probostwa. Dokument datowanym w Krakowie 11. III. 1608 r. przyłączono parafię felsztyńską do klasztoru Karmelitów w Sąsiadowicach, ale związek parafii z klasztorem ustał po 24 latach.

Kościół w Felsztynie, pierwotnie był drewniany, a został zniszczony w czasie najazdów Tatarów w r. 1498. Budowę nowej murowanej świątyni na ufortyfikowanym terenie w pobliżu już istniejącej obronnej baszcie – późniejszej dzwonnicy, rozpoczął Jan Herburt w XVI w. W ciągu wieku rodzina Herburtów systematycznie rozbudowywała i ozdabiała kościół, który już wówczas uważany był za wspaniały i bogaty. Szczególną opiekę ze strony fundatorów świątyni zawdzięczała swej roli – mauzoleum rodzinnego! Wyrazem tej funkcji był bogaty zespół nagrobków Herburtów, powstający w ciągu około stu lat! Najstarszy, opatrzony datą 1495 r., a poświęcony żonie Seweryna Herburt, chorążego lwowskiego. W bocznych kaplicach Krzysztofa Herburt i bpa Walentego Herburt (1572 r.). W posadzce kościoła płyta nagrobna Katarzyny, żony Mikołaja Herburt (1559 r.), w prezbiterium – podwójny nagrobek małżeństwa: Jana i Katarzyny z Drohojowskich. W 1573 r. w Samborze pojawili się: budowniczy Józef Tanowczyk i rzeźbiarz Herman Hutte – Czapka i to oni byli autorami nagrobka



Fot. M. R.

Kościół w Felsztynie XVI w., przebudowany jako neogotyck 1904 r. pw. św. Marcina

Walentego Herburt. Dziesięć lat później Stanisław Herburt, kasztelan lwowski i starosta samborski, orestaurował strop nawy, co upamiętniała inskrypcja na łuku tęczowym od strony nawy. Restauracja musiała mieć znaczny zakres, skoro mamy datę 1583 r. jako konsekrację kościoła. Kościół posiadał kilka ołtarzy, tabernakulum i chrzcielnicę. Na baszcie-dzwonnicy znajdowały się 2 dzwony, a sygnaturkę ufundowano w 1684 r. W kościele były stalle, konfesjonały, a na chórze 10-głosowe organy! Z czasem stan kościoła się pogorszył, w 1780 r. wymieniono zgniły dach, popękane sklepienia, zniszczone organy. W 1785 r. przeprowadzono remont kościoła, a w 3 lata później dzwonnicy. W czerwcu 1708 r. kościół spłonął. W czasie pożaru runęła także górna część dzwonnicy wraz z dzwonami, odbudowana dopiero po 1863 r. W 1904 r. kościół przeszedł gruntowną renowację. Naprawiono mury i okna kościoła, przywrócono pierwotny kształt dachom, pokryto dachówką. Do fasady dobudowano kruchtę, wzniesiono nową sygnaturkę, a na fasadzie umieszczono tarczę z herbem Polski! W czasie działań wojennych w 1914 r. kościół znów uciepiał! Dzwonnica, wysadzona w powietrze przez Rosjan 10. X. 1914 r. runęła niszcząc dzwony! Znow kościół odbudowano w latach 1915-23, a historia powtórzyła się podczas walk polsko-ukraińskich jesienią 1918 roku! W latach dwudziestych prace w kościele prowadził architekt ze Lwowa, Witold Rawski. Wykonano wieżyczkę na sygnaturkę, odlano nowe dzwony w firmie Felczyńskich w Przemyśle. W 1931 r. zrekonstruowano dolną część dzwonnicy, a w 1937 r. odbudowano górną kondygnację dzwonnicy. Po 1945 r. kościół zamknięto, a około r. 1990 zamieniono na cerkiew greko-katolicką, nie zapominając o skuci herbu Polski z frontonu kościoła. Dziś wewnątrz jego przedstawia dziwny obraz, coś tam dostawiono, w tym i ikonostas, co w zestawieniu gotyckiego wnętrza razi, a rozglądając się po wnętrzu odnosi się wrażenie, że zapomniano jeszcze resztę wynieść! Ten kościół wyraźnie broni się przed tymi intruzami!

Architektura

Usytuowany obok kwadratowej, 2-piętrowej baszty, na wyniesionym placu, o nieregularnym zarysie, przy drodze – ulicy biegnącej od narożnika rynku, a obecnie placu w niczym nie przypominającego rynku – w kierunku pld.-wschodnim. Murowany z cegły, na kamiennej podmurówce, z kryptą pod prezbiterium i wejściem za-

lanym betonem, może właśnie dlatego ocalał od grabieży. Dwuprzęsłowe prezbiterium zamknięte ścianą prostą, a nawa główna szersza i wyższa, dwuprzęsłowa. Do wschodniego przęsła nawy dostawione prostokątne kaplice: od pld. pw. św. Walentego, od pld. św. Anny. Przy prezbiterium przybudówka mieszcząca zakrystię i skarbiec. W pld. narożniku wieżyczka mieszcząca klatkę schodową. Okna w prezbiterium wysokie, ostrołukowe. W ścianach bocznych kruchty małe, prostokątne okienka, zamknięte łukowo. W wieżyczce wąskie, szeliniowe okienka. W ścianie pld. prezbiterium ostrołukowy portal do zakrystii, a w ścianie zach. półkoliście zamknięty portal prowadzący z kruchty do nawy. Chór muzyczny drewniany, wsparty na dwóch filarkach, z częścią środkową występującą do przodu z balustradą z płaskich, dekoracyjnie wyciętych tralek. Elewacje zewnętrzne kościoła ceglane, w układzie polskim, z



Fot. M. R.

Felsztyn – kościół św. Marcina XVI w. przebudowany jako neogotyck w 1904 r. Baszta 4-rograniasta XV w. – dzwonnica

narożnikami ujętymi w dwuskokowe szkarpy. Fasadę wieńczy wyodrębniona wąska ceglana opaska i skokowy szczyt z 5-cioma ostrołukowymi płycinami, w których przepruto szeliniowe okna na strych. W górnej, środkowej płycinie umieszczony BYŁ herb Polski, obecnie, mimo dużej wysokości, starannie wykuty! Nawa i prezbiterium nakryte dachami dwuspadowymi, kaplice i zakrystia dachami pulpitowymi. Wszystkie dachy kryte dachówką. Nad nawą, w części wschodniej, niewielka wieloboczna wieżyczka na sygnaturkę, obita blachą, zwieńczona żelaznym krzyżem.

Otoczenie kościoła

Zauważalne resztki przykościelnego cmentarza z resztkami obwarowań ziemnych i fosy. Obok, od pld.-zach. strony kościoła, baszta-dzwonnica, wolno stojąca, na rzucie zbliżonym do kwadratu, ceglana, o 3-ch kondygnacjach zwężających się ku górze. W dolnej kondygnacji, w prostokątnym wgłębieniu, okrągłolukowy otwór bramny. Ponad nim dwa okna zamknięte łukami odcinkowymi. W pozostałych elewacjach nieregularnie rozmieszczone prostokątne otwory okienne. W wyższych kondygnacjach przeprute osiowo ostrołukowe okna, w 2-giej kondygnacji zdwojone. Od zach. w 2-giej kondygnacji 4 okrągłolukowe wnęki z zegarem, oczywiście bez śladu... Dzwony (BYŁY!) o wadze 333 kg i 80 kg, napisy: „MARIA JÓZEF GŁOŚ BOGU CHWAŁĘ NA POLSKIEJ ZIEMI”. □

Kościół w Kulikowie

Przed kilkoma miesiącami zwrócono wiernym kościół w Kulikowie. Miasteczko leży na północ od Lwowa przy drodze do Warszawy. Przed wojną służyło m. in. z „chleba kulikowskiego” z czarnuszką.

Parafię w Kulikowie erygował metropolita halicki i lwowski bł. Jakub Strzemię w roku 1339, a w roku 1399 powstał tam pierwszy kościół. Świątynia w obecnej formie, pod wezwaniem św. Mikołaja, pochodzi z 1538 roku.

Po okresie sowieckim zdewastowana, pozbawiona wyposażenia, organów i dzwonów.

Obecna administracja długo odmawiała zwrotu kościoła prawowitym właścicielom, rzymskim katolikom, co pogłębiło jego dewastację.

Panu Redaktorowi Janowi Akielaskowi
współzałożycielowi Fundacji Kresowej
„Semper Fidelis”

wyrazi głębokiego współczucia z powodu śmierci

**Ojca
Adama**

składa Rada Fundatorów oraz Zarząd Towarzystwa
Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.

Zwrócony wreszcie kościół objął proboszcz żółkiewski, ks. kanonik Bazyli Pawełko i już podjął prace remontowe.

Serdeczną opieką otoczyli odzyskaną świątynię miejscowi rzymscy-katolicy.

Kulikowianie oczekują pomocy od ekspatriowanych mieszkańców miasteczka i okolicznych wsi, a także od rodaków.

Żywimy nadzieję, że w odzyskanym Domu Bożym kulikowscy Polacy będą mogli wspólnie modlić się w ojczystym języku. Czekali na to wiele dziesięcioleci.

Apelujemy o pomoc.

Zarząd i Członkowie Towarzystwa Miłośników
Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lublinie

Errata do Nr. 5 (64) 2001 r.

Jest Ma być
str. 41, lewa szp., 8 w. od dołu Dominika Domicela
Zdjęcie na stronie tytułowej SF Nr 5/01 przedstawia
symboliczny grób Jurka Bitschana i Urszulę Sołtysównę
z Nowego Sącza. Zdjęcie wykonał B. Kołcz.

Lista Ofiarodawców za m-ce X-XI 2001 r.

1. Janina Hrycekowa, Katowice	50.-	34. Stanisław Zagula, Węglówka, pomoc świąt.	14.-
2. Anna i Julian Kowaliński, Bytom		35. Kazimierz Berezowski, Tułowice, pomoc świąt.	60.-
3. Janina Blum, Wrocław	100.-	36. Wojciech Bitschan, Warszawa, Cm. Orl. Lw.	50.-
4. Izabela Piekarska, Warszawa	60.-	37. Mieczysław Zabierowski, Głubczyce	64.-
5. Adam Nikorowicz, Dębica, Cm. Orl. Lw.	20.-	38. Stefania Kowalińska, Poznań	20.-
6. Andrzej Hanuszewski, Pyskowie, Cm. Orl. Lw.	30.-	39. Zofia Frankowska, Ustrzyki Dolne, pomoc świąt.	24.-
7. Alicja Kafarska, Warszawa, pomoc świąt.	100.-	40. Jerzy Punzet, Karków	14.-
8. Anna Pawlak, Toruń		41. Tomasz Wiekiński, Przyglów	50.-
9. Św. Mikołaj dla przedszkola we Lwowie	113.-	42. Danuta Wadłewska, Brzeg, pomoc świąt.	50.-
10. Dr T. Z. Błażyński, Anglia	115.-	43. Władysława Trojanowska, Tarnobrzeg	14.-
11. dla Rodaków na Wsch.	20 funt.	44. Irena Skrzypiec, Polanica	40.-
12. Barbara Hoszowska-Bógdół, Rybnik		45. Irena Hrobni, Polanica Zdrój	34.-
13. pomoc Rodakom na Kresach	60.-	46. Wanda Rutkowska-Richter, Warszawa	14.-
14. Władysław Mihułowicz, Pyskowie, Cm. Orl. Lw.	200.-	47. Maria Batko, Opole	50.-
15. Adam Zając, Rzeszów		48. Gabriel Wójcik, Toruń	100.-
16. pomoc Rodakom na Kresach	50.-	49. Jakub Szlachetko, Nowa Sól	20.-
17. Saturnin Wasilewski, Gostyń	164.-	50. Halina Jakubiak, Wrocław, pomoc dzieciom	10.-
18. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań	30.-	51. Wiesław Richter, Wrocław	50.-
19. Andrzej Bętkowski, Rzeszów, Cm. Orl. Lw.	100.-	52. pomoc świąt.	50.-
20. Jan Chłpalski, Kraków	64.-	53. Kazimierz Kapuściński, Milicz, Pomoc świąt.	170.-
21. Andrzej Borzemski, Wrocław	200.-	54. Witold Gaca, Wrocław	30.-
22. Maria Jońca, Gliwice	50.-	55. pomoc świąt.	200.-
23. Bolesław Bolanowski, Łódź, pomoc świąt.	300.-	56. Jadwiga Gajewska, Wrocław, pomoc świąt.	100.-
24. J. R. Machowscy, Kudowa Zdrój, pomoc świąt.	100.-	57. Leszek Smoleński, Bytom, pomoc świąt.	100.-
25. Zofia Krzyżków, Bytom	20.-	58. Halina Gomułowicz, Wrocław, pomoc świąt.	20.-
26. Tadeusz Feczko, Przemyśl	30.-	59. Elżbieta Świątkowska, Wrocław, pomoc świąt.	50.-
27. Bożena Sobolewska, Białystok	54.-	60. Paweł Trypka, Wrocław, pomoc świąt.	50.-
28. Mieczysław Wilczyński, Katowice	50.-	61. Stanisław Oleksa, Wrocław, pomoc świąt.	70.-
29. TMLIKPW Świdwin, pomoc świąt. dla Lwowa	200.-	62. Marta Dębicka-Muzyka, Wrocław, pomoc świąt.	100.-
30. Mieczysław Łagan, Szczecin	100.-	63. Ludwika Petryńska, Wrocław, pomoc świąt.	100.-
31. Karol Kufłowski, Olsztyn, pomoc świąt.	100.-	64. Antoni Świątkiewicz, Wrocław, pomoc świąt.	300.-
32. Maria Mokrzycka, Gliwice, pomoc świąt.	100.-	65. Janina Garbaczewska, Wrocław, pomoc świąt.	100.-
33. Irena Koniewicz, Szczecin, pomoc świąt.	20.-	66. Zuzanna Dyda, Wrocław, pomoc świąt.	100.-
34. Jerzy Fic, Sosnowiec	132.-	67. Romana Barbara, Legnica, pomoc świąt.	20.-
35. Kazimierz Hrynyk, Gdańsk, pomoc świąt.	64.-	68. Czesław Chmiel, Wrocław, pomoc świąt.	40.-
36. Rodrycjusz Gerlach, Lubsko, pomoc świąt.	24.-	69. Waldemar Dawidowicz, Wrocław, pomoc świąt.	150.-
37. Czesława Panz-Nowak, Katowice, pomoc świąt.	50.-	70. N.N., pomoc świąt.	50.-
		71. Józef Tarka, Wrocław, pomoc świąt.	50.-
		72. Alicja Gładka, Wrocław, pomoc świąt.	30.-

Zbiórka pieniężna (kwesta) na odbudowę Cmentarza Łyczakowskiego w dniach 31 X – 4 XI 01 – za zgodą NR ZK-VI-632- 129/213/01/02 Ministra Spraw Wew. i Administracji

1. TMLIKPW Jelenia Góra	1900.-
2. TMLIKPW Kędzierzyn-Koźle	1699,30
3. TMLIKPW Węgliniec	681,89
4. TMLIKPW Rabka	200.-
5. TMLIKPW Przemyśl	1400.-
6. TMLIKPW Kielce	3100.-
7. TMLIKPW Nysa	1500.-
8. TMLIKPW Bydgoszcz	1000.-
9. TMLIKPW Kraków	28946.-
10. TMLIKPW Warszawa	2274.-
11. TMLIKPW Wrocław	533,74
12. TMLIKPW Milicz	4000.-
13. TMLIKPW Piła	80.-
14. TMLIKPW Tarnów	5919,60

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy
najserdeczniejsze podziękowania.

Poszukiwania

Instytut Pamięci Narodowej – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni sowieckich popełnionych w okresie od 17 września 1939 r. do czerwca 1941 r. i od 1944 r., a to deportacji obywateli polskich – mieszkańców byłego województwa stanisławowskiego – w głąb byłego ZSRR. W związku z powyższym zwracam się z prośbą o składanie pod adresem IPN – Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni p-ko Narodowi Polskiemu w Katowicach, ul. Warszawska 19, 40-009 Katowice informacji dotyczących wyżej powołanego postępowania przez osoby deportowane, które do tej pory w tej sprawie nie składały zeznań.

Contents

J. Masior – A winter still	1
D. Śliwińska – Christmas, the Feast of Love. Recipes for Polish X-mas dishes	1
K. Kulas – In the still of Christmas night – their first Christmas in exile	3
J. Masior – History, cry out!	4
Cz. Skiba – Cult of the Unknown Worrier in Lwów	6
W. Richter – Lwów remembrance mosaic	9
A. Jednoróg – An interview with count Wojciech Dzieduszycki	13
E. Krzyżanowska – Pictures – a mirror of soul	19
E. Ziolkowska – Seweryn Goszczyński – great poet and Polish soldier	20
K. Angielska – Seweryn Goszczyński – jubilee celebrations at his native place Winnica	22
P. Stefaniak – The Lwów traces of Friar Albert	24
A. Michałowski – Unveiling and consecration of Lublin memorial to Lwów professors murdered by the Nazis in 1941	26
S. Leszczyński – Franciszek Karpiński – celebrations of the poet's 260th birthday anniversary at Stanisławów	33
Z. Berling – Summer camp at Sulistrowiczki near Wrocław for Polish children from Ukraine	35
K. Karbownik – Report of artistic classes for Polish children from Ukraine	36
H. Wiewiórska – The Borderfolks abroad and in their homeland	37
I. Kopeć, K. Pustelnik – Don't let us forget the Lwów Eagles	39
D. Śliwińska – The Polish Theatre from Lwów on guest performances in Bydgoszcz	41
Z. Umański – The Day of Lwów and Borderland Culture held in Warsaw	42
– Pilgrimage to the Black Forest, the place of Stanisławów intelligentsia execution by Nazis	43
A. Janicki – My Mother's tales	44
W. Wilgusiewicz – Lwowers at the Silesian Technical University	46
R. Węgrzynowicz – 55th Jubilee of the Lwów Academy of Veterinary Medicine veterans	49
K. Dominas – Collection for the Łyczakowski Cemetery by scouts at Milicz	52
J. Hrycekowa – Recollections of expatriation journey	52
M. Rogalski – Sacral structures in the Borderland. Felsztyn	54

Od Wydawcy

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego 2002 Roku pragnę w imieniu Rady Fundatorów i Zarządu Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” złożyć naszym Drogim i Szanownym Czytelnikom w kraju i za granicą życzenia zdrowia, pomyślności oraz spełnienia wszelkich marzeń.



Chciałabym także poinformować, że od 1 listopada 2001 r. Rada Fundatorów powołała nowy Zarząd w osobach:

Krystyna Karbownik – dyrektor
Małgorzata Orzeł – wicedyrektor
Jerzy Tandecki – sekretarz
Zbigniew Umański } – członkowie
Tadeusz Szczyrbak }

Nowy Zarząd pragnie podziękować Pani Danucie Tabińskiej-Juhasz, długoletniej dyrektorce, za Jej trud włożony w rozwój Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”. Została Ona obecnie powołana w skład Rady Fundatorów. Zarząd Fundacji, zgodnie ze Statutem, zaproponował do współpracy z Redakcją „Semper Fidelis” p. Małgorzatę Orzeł, pracownika Zakładu Narodowego im. Ossolińskich od 1982 r., autorkę i współautorkę wielu wystaw prezentowanych w kraju i za granicą, katalogów i artykułów, członka redakcji „Rocznika Wrocławskiego” od 1993 r.

Tradycyjnie przed świętami przedstawiciele Fundacji wyjadą z Telewizją Wrocław z pomocą dla naszych Rodaków. Planujemy wspólne spotkanie opłatkowe z mieszkańcami Stanisławowa i Kołomyi. Chcemy także spotkać się z naszymi Rodakami polskich wiosek w okolicach Lwowa i Sambora. Wyjazd z pomocą dla naszych Rodaków był możliwy dzięki współpracy naszej Fundacji z Zakładem Pracy Chronionej „WTÓRPOL” w Skarżysku-Kamienniej, ale przede wszystkim dzięki wpłatom dokonywanym przez wielu darczyńców, których nazwiska drukujemy. Im to w szczególności pragniemy serdecznie podziękować w imieniu tych, którzy dzięki temu darowi płynącemu z serca, będą mogli godnie spędzić Święta Bożego Narodzenia.

Z wyrazami szacunku
Krystyna Karbownik

Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. (071) 344 88 93. Zarząd: KRYSZYNA KARBOWNIK – dyrektor, MAŁGORZATA ORZEŁ – z-ca dyrektora, JERZY TANDECKI – sekretarz, ZBIGNIEW UMAŃSKI, TADEUSZ SZCZYRBK

Rada Fundatorów: JAN ZIEMBICKI – prezes, ANDRZEJ KAMINSKI – v-ce prezes, DANUTA NESPIAK, WIESŁAWA JELEŃSKA-HOMBEK, DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ, JAN AKIELASZEK

Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”: PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.